
Shreve Anita

Światło na śniegu

Rozdział 1

Przez okno pracowni mojego ojca widać, jak zimowe słońce muska śnieg. Ojciec wstaje, prostuje plecy.

- Jak było w szkole? - pyta.
- Dobrze - odpowiadam.

Odkłada szlifierkę i sięga po wiszącą na haku kurtkę. Przeciagam ręką po powierzchni stołu. Drewno, z wierzchu pokryte pyłem, pod spodem jest jedwabiste.

- Gotowa? - pyta.
- Gotowa - odpowiadam.

Opuszczamy z ojcem mieszczący się w stodole warsztat i wychodzimy na mróz. Powietrze, suche i nieruchome, przy oddychaniu szczypie mnie w nos. Przywiązujemy do butów rakiety śnieżne i klapiemy nimi mocno o zamrożoną skorupę. Kora ma rdzawą barwę, a słońce kładzie za drzewami fioletowe cienie, od czasu do czasu nadając śniegowi szklisty połysk.

Idziemy dość szybko, schylając głowy i starając się unikać gałęzi sosen, ale i tak od czasu do czasu sypie się nam za kołnierzy zimny prysznic. Ojciec mówi:

- Czuję się jak pies, którego pod koniec dnia wypuszczono z domu, żeby sobie pobiegał.

Zawsze zdumiewa mnie cisza lasu, przypominająca widownię tuż przed rozpoczęciem przedstawienia. W tej ciszy słychać szelest suchych liści, trzask łamanych gałązek, szmer strumyka płynącego pod skorupą ściętą lodem powierzchni. Zza lasu dobiega głucho zawodzenie jadącej szosą numer 89 ciężarówki i mruczenie samolotu, lecącego do Lebanon. Idziemy znajomą ścieżką, która kończy się przy resztkach muru pod szczytem wzgórza. Mur, tworzący trzy ustawione do siebie pod kątem

prostym ścianą, stanowi pozostałość ogrodzenia nieistniejącego już gospodarstwa. Po domu i stodole zostały tylko fundamenty. Często się zdarza, że ojciec siada na murze i wypala papierosa.

Tego grudniowego popołudnia mam dwanaście lat (obecnie - trzydzieści) i jeszcze nie wiem, że dojrzewanie jest tuż za progiem, a nieustępliwy narcyzm nastolatki sprawi, iż wkrótce spacer z ojcem po lesie staną się ostatnią rzeczą, na jaką będę miała ochotę. Jednak na razie te wspólne wycieczki są swoistym rytuałem, do którego oboje przywykliśmy. Ojciec spędza zbyt wiele godzin pochylony nad swoją pracą, a ja wiem, że ruch jest mu niezbędnie potrzebny.

Po wykończeniu stół trafi do frontowego pokoju i dołączy do innych wykonanych przez ojca mebli. Czternaście sztuk w ciągu dwóch lat to nie taki znów wielki dorobek, ale ojciec musiał się wszystkiego nauczyć od podstaw, z książek. O to, czego nie może się nauczyć z podręczników, pyta niejakiego Sweetsera ze sklepu żelaznego. Meble ojca są proste, można powiedzieć prymitywne, ale jemu to właśnie odpowiada. Mają przyzwoitą linię i niezłe wykończenie, ale to nieważne. Ważne jest to, że ojciec ma zajęcie, które nie przypomina niczego, co robił dotychczas.

Ułamana gałąź drapie mnie w policzek. Słońce zachodzi. Pozostało nam jeszcze ze dwadzieścia minut do zmroku. Droga powrotna jest z górki, a więc łatwiejsza, i można ją pokonać w niecałe dziesięć minut. Mamy czas na dojście do muru.

I wtedy po raz pierwszy słyszę płacz. Wydaje mi się, że to kot. Zatrzymuję się pod baldachimem sosnowych gałęzi i nasłuchuję. Znow słyszę. Rytmiczne zanoszenie się płaczem.

- Tato - mówię.

Robię krok w tamtą stronę, ale płacz urywa się równie nagle, jak się zaczął. Za mną na zamrożonej skorupie spada z głuchym tąpnięciem pecyna śniegu.

- Kot - wyjaśnia ojciec.

Zaczynamy strome podejście pod górę. Ledwie ciągnę za sobą nogi. Na szczycie ojciec oceni światło i jeśli uzna, że mamy czas, usiądzie na kamiennym murze i będzie się starał dojrzeć nasz dom - żółtą kropkę między drzewami. „O, tam - powie, pokazując w dół. - Widzisz go

teraz?".

Ojciec stracił nadwagę człowieka prowadzącego siedzący tryb życia. Dżinsy ma przetarte na udach, całe w rudawym pyłe drzewnym. Goli się w najlepszym razie co drugi dzień. Jego beżowa kurtka jest poplamiona olejem, smarem i żywicą. Sam się strzyże, a w niebieskich oczach ma zawsze wyraz zdziwienia.

Idę jego śladem i jestem dumna z tego, że nie mam już kłopotu z dotrzymaniem mu kroku. Ojciec rzuca mi przez ramię mleczny cukierek, łapię go w powietrzu. Ściągam rękawiczki, wtykam je sobie pod pachę i zaczynam rozwijać cukierek. Zdejmując celofan, słyszę dalekie trzaśnięcie zamykanych drzwi samochodu.

A potem odgłos zapalania silnika. Dochodzi od motelu położonego po północno-wschodniej stronie wzgórza. Wejście do motelu znajduje się jeszcze dalej od miasta niż droga prowadząca do naszego domu i rzadko mamy okazję tamtędy przejeżdżać. Mimo to wiem, gdzie jest motel, i nieraz podczas naszych spacerów widzę go między drzewami - niski, pokryty czerwonym gontem budynek, w sezonie narciarskim zawsze pełen gości.

I wtedy po raz trzeci słyszę płacz - szarpiający za serce, przejmujący.

- Hej! - woła ojciec.

Zaczyna biec niezdarnie w rakietach na nogach w kierunku, z którego dochodzi płacz. Co kilkanaście kroków przystaje i nasłuchuje, żeby się nie zgubić. Idę za nim, a tymczasem powoli zaczyna się ściemniać. Ojciec wyjmuje z kieszeni i zapala latarkę.

- Tato - mówię z nutą paniki w głosie.

Kiedy ojciec biegnie, promień latarki tańczy na śniegu. Tata zatacza teraz latarką łuk, w tył, w przód i na boki. Księżyc, towarzyszy naszych poszukiwań, unosi się znad horyzontu.

- Jest tam kto!?- woła ojciec.

Posuwamy się trawersem w górę zbocza. Latarka mruga i ojciec potrząsa nią, żeby baterijki zaczęły kontaktować. Latarka wypada mu z ręki i wbija się w pokryty zmarzniętą skorupą śnieg, tworząc w zagłębieniu stożek niesamowitego światła. Ojciec schyla się, żeby podnieść latarkę, i kiedy się prostuje, światło wyławia spośród drzew niebieską plamę materiału w kratkę.

- Halo!

Ale las odpowiada mu ciszą, jakby z niego szydził, jakby to była jakaś gra.

Ojciec macha latarką tam i z powrotem. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zawrócić do domu. Po ciemku w lesie jest niebezpiecznie; łatwo można zabłądzić. Ojciec znów szuka latarką, i jeszcze raz, ale dopiero po jakichś dwudziestu próbach odnajduje niebieską płamę w kratkę. W śniegu leży flanelowy śpiworek z odwiniętym brzegiem.

- Zostań tutaj - nakazuje mi.

Patrzę na ojca, a on biegnie w raketach tak, jak to się czasem dzieje we snach, gdy nie można zmusić nóg, by się poruszały odpowiednio szybko, a potem kuca, ani na chwilę nie spuszczaając światlistego krążka latarki ze śpiwora, który niemal rozszarpuje, wydając odgłos, jakiego nigdy u niego nie słyszałam, i padając na kolana w śniegu.

- Tato! - wrzeszczę, biegnąc do niego.

Młócę rękami powietrze i mam takie uczucie, jakby ktoś mocno napierał na moje piersi. Spada mi czapka, ale brnę dalej, nie bacząc na przeszkody. Wreszcie, zdyszana, docieram do ojca, który nie mówi, że mam odejść. Spoglądam w dół, na śpiwór.

Widzę małą twarzyczkę, z której patrzą na mnie szeroko otwarte oczka, ukryte w fałdach skóry. Czarne włoski sterczą, pozlepiane wodami płodowymi. Dziecko jest zawinięte w zakrwawiony ręcznik i ma sine usteczka.

Ojciec zbliża policzek do maleńkich warg. Wiem, że muszę zachować bezwzględna ciszę.

Jednym szybkim ruchem chwyta lodowaty śpiworek, przytula go mocno do siebie i wstaje. Ale materiał jest nędzny i śliski i ojciec nie może go utrzymać.

Wyciągam rękę, żeby w razie czego złapać maleństwo.

Ojciec ponownie klęka w śniegu. Kładzie tobolek na ziemi, rozpina suwak kurtki i szarpnięciem rozrywa flanelową koszulę, której guziki strzelają na boki, po czym wyjmuję dziecko z zakrwawionego ręcznika. Z brzuszka maleństwa zwisa jakieś piętnaście centymetrów czegoś, co - jak się później miałam dowiedzieć - było pępowiną. Ojciec przytula dziecko do gołej skóry, jedną ręką podtrzymując główkę. Uświadamiam

sobie, że noworodek jest dziewczynką.

Ojciec wstaje z wysiłkiem. Koszulą i wiatrówką otula dziecko, stanowiąc razem z nim jeden ciasno zwinięty tobołek.

- Nicky - zwraca się do mnie - trzymaj się mojej kurtki, jeśli tak będzie ci łatwiej. W każdym razie niech odległość między nami nie przekracza pół metra.

Łapię brzeg wiatrówki ojca.

- Patrz pod nogi i nie trać z oczu moich śladów.

Idąc, kierujemy się zapachem dymu. Czasem go czujemy, a czasem nie. Widzę sylwetki drzew, ale gałęzi nie widzę.

- Trzymaj się mnie - mamrocze ojciec, a ja nie wiem, czy mówi do mnie, czy do maleństwa, przytulonego do jego piersi.

Na pół zjeżdżamy, na pół zbiegamy długim zboczem, w każdym razie czuję w udach piekący ból od ciągłego napięcia mięśni. Ojciec wraz ze spiworkiem zostawił w śniegu latarkę, ale nie mamy czasu po nią wracać. Przedzieramy się między drzewami, gałęzie orzą mnie po twarzy. Włosy i szyję mam mokre od topniejącego śniegu; śnieg zamarza na czole. Od czasu do czasu ogarnia mnie lęk: zabłądziliśmy i nie zdążymy z małą na czas. Dziecko umrze w ramionach ojca. Nie, nie - myślę zaraz potem - nie możemy do tego dopuścić. Jeśli nie trafimy do domu, to dojdziemy do szosy. Musimy. Widzę światło w pracowni ojca.

- Tato, popatrz.

Ostatnie sto metrów wydaje mi się najdłuższym dystansem, jaki przebiegłam w życiu. Otwieram drzwi i przytrzymuję je dla ojca. Wchodzimy w rakietach do stodoły, bambus i katgut kłapią, kiedy podchodzimy do pieca. Ojciec siada na krześle. Rozsuwa poły kurtki i spogląda na maleńką twarzyczkę. Dziecko ma zamknięte oczki i w dalszym ciągu sinawe usteczka. Ojciec przysuwa do nich wierzch dłoni i sądząc z tego, jak zamyka oczy, domyślam się, że mała oddycha.

Rozwiązuję rakiety śnieżne najpierw sobie, a potem ojcu.

- Karetka nie da rady podjechać pod górę - mówi tata. Tuląc małą do siebie, wstaje z krzesła. - Idziemy.

Wychodzimy ze stodoły i kierujemy się do domu. Już po chwili jesteśmy w przedpokoju. Ojciec idzie na górę do swojej sypialni, pokonując po dwa schody. Na podłodze leży porozrzucane ubranie, na

łóżku kolorowe pisma. Łapie sweter, ale odrzuca go, uznając, że jest za szorstki. Bierze koszulę flanelową, ale ta z kolei jest nieuprana. W rogu pokoju stoi niebieski plastikowy kosz na brudną bieliznę, z którą mniej więcej raz na tydzień jeździmy do pralni. Ojciec używa kosza jako czegoś w rodzaju szuflady.

- Podaj mi to. - Wskazuje kosz.

Jednym ruchem ręki zrzuca magazyny na podłogę, a ja stawiam kosz na materacu. Ojciec wyjmuję maleństwo zza pazuchy, zawija je w dwie czyste flanelowe koszule i patrzy na wyłaniającą się z fałd materiału twarzyczkę. Robi w koszyku coś w rodzaju gniazdka z prześcieradła i delikatnie kładzie w nim dziecko.

- W porządku - mówi, żeby dodać sobie animuszu. - Wszystko w porządku.

Wdrapuję się do ciężarówki. Ojciec stawia mi koszyk na kolanach.

- A ty jak? Dobrze? - pyta.

Kiwam głową, wiedząc, że i tak w tej chwili żadna inna odpowiedź nie wchodzi w grę.

Ojciec wsiada do samochodu i wkłada kluczyk do stacyjki. Wiem, że się modli, żeby tylko zapalił. W zimie za pierwszym razem zaskakuje tylko co drugi raz. Silnik kaszle i ojciec zaklina go, żeby zechciał zajęczeć. Boję się spojrzeć na noworodka leżącego w plastikowym koszyku, boję się, że nie zobaczę kłębuszków pary w zimnym powietrzu nad jego buzią.

Ojciec jedzie najszybciej, jak tylko ma odwagę. Zaciskam zęby, kiedy wpadamy w koleiny. Zamarznięta droga jest poorana bruzdami od czasu pierwszych śniegów i jesiennych odwilży. Wiosną, zanim miasto zrobi z drogą porządek, będzie ona prawie nieprzejezdna. Ostatniej wiosny, podczas dwutygodniowej odwilży, musiałam mieszkać u mojej przyjaciółki Jo, inaczej nie mogłabym chodzić do szkoły. Ojciec, który zadał sobie tyle trudu, żeby być samotnym, w końcu przyszedł pewnego dnia do miasta zobaczyć się z córką i jednocześnie przełamać syndrom odosobnienia. Marion, kasjerka z marketu Remy, próbowała go odwiedzić do domu swoim isu-zu, ale nie zdołała pokonać nawet pierwszego zakrętu. Ojciec musiał resztę drogi odbyć na piechotę, po czym przez wiele jeszcze dni bolały go mięśnie łydek.

Małeństwo parska, jestem przerażona. Zaczyna kwilić i nawet w słabym świetle, padającym od deski rozdzielczej, widzę, że mała robi się ogniście czerwona. Ojciec wyciąga rękę, żeby jej dotknąć.

- Cicho, malutka - szepcze w ciemności.

Przez jakiś czas trzyma rękę na miękkim flanelowym wzgórku. Zastanawiam się, czy nawiedziło go bolesne wspomnienie tego, jak uspokajał Clare. Droga w dół zbiega wydaje mi się dłuższa niż kiedykolwiek dotychczas. Mam nadzieję, że mała będzie płakała aż do samego szpitala Miłosierdzia.

Wyjeżdżając na asfalt, ojciec gazuje silnik i tyłem naszej ciężarówki zarzuca z powodu kawałków lodu, wbitych w bieżniki opon. Ojciec dodaje gazu, ile tylko może, nie tracąc kontroli nad wozem. Mijamy stację paliw Mobil, bank i jednoklasową szkołę podstawową, którą ukończyłam w ubiegłym roku. Zastanawiam się, czy ojciec wstąpi do Remy i wręczy noworodka Marion, która mogłaby wezwać pogotowie. Ale tata mijają market, bo zatrzymanie się tylko opóźni to, co właśnie próbuje zrealizować: oddanie małeństwa komuś, kto będzie wiedział, co z nim zrobić.

Mijamy mały skwerek, który w zimie pełni funkcję lodowiska. Pośrodku stoi maszt flagowy z reflektorem.

Kto zostawił dziecko w śpiworze na mrozie?

Skręcamy przy znaku zapowiadającym szpital Miłosierdzia. Obie strony szpitalnego podjazdu oświetlają żółte światła, w ich blasku widzę, jak mała krzywi bardzo w tej chwili brzydką buzią. Ale pamiętam oczy patrzące na mnie w lesie -ciemne, spokojne i uważne. Ojciec podjeżdża pod izbę przyjęć i naciska na klakson.

Drzwi po mojej stronie otwierają się i do ciężarówki wsadza głowę umundurowany ochroniarz.

- Po co ten klakson? - pyta.

Rozdział 2

Patrzę, jak mała znika za potężnymi drzwiami automatycznymi. Ojciec odrzuca głowę do tyłu i zamyka oczy. Na dźwięk dalekiej syreny siada. Wyciera nos w rękaw kurtki. Od jak dawna płacze? Przekręca kluczyk w stacyjce, powodując zgrzyt, ponieważ silnik już pracuje. Prowadzi tak, jakby pierwszy raz siedział za kierownicą, trzymając się znaków wskazujących drogę na parking szpitalny. Dopiero kiedy wysiadamy z samochodu, patrzy w dół i uświadamia sobie, że pod kurtką ma nadal rozpiętą koszulę.

Przy krawężniku, przed wejściem na izbę przyjęć, waha się chwilę.

- Tato?

Obejmuje mnie ramieniem i idziemy do wejścia, ślizgając się na kryształkach soli.

Beżowozielone wejście jest puste; dominuje w nim metal. Mrużę oczy w ostrych światłach, które mrugają jak w dyskotecce. Zastanawiam się, gdzie jest dziecko i dokąd mamy iść. Ojciec kieruje się znakami, wskazującymi drogę na izbę przyjęć, ale każdy krok stawia z wielkim wysiłkiem. Jesteśmy tu obcy. Wszyscy są tu obcy.

Skręcamy za róg i widzimy niewielki pokoik, w którym kilka osób siedzi na plastikowych krzesłach, przymocowanych do ścian. Kobieta w dżinsach i w swetrze spaceruje, jej żółte włosy noszą ślady wałków. Robi wrażenie zdenerwowanej, niespokojnej o nadąsanego chłopca, który może być jej synem. Chłopiec siedzi na krześle, jeszcze w kurtce, i ma brodę obsypaną czerwonymi wypryskami. Wydaje mi się, że znam przyczynę jego wizyty w szpitalu. Poznają to po sposobie, w jaki podtrzymuje prawą rękę: czyżby chodziło o palce? O nadgarstek? Ojciec podchodzi do okienka, ale recepcjonistka rozmawia przez telefon i całkowicie go ignoruje.

Wkładam ręce do kieszeni i patrzę w perspektywę korytarza. Gdzieś tam musi być pokój z łóżeczkiem, noworodek i lekarz, który go bada. Czy mała jeszcze żyje? Recepcjonistka stuka w okienko, żeby zwrócić na siebie uwagę ojca.

- Przywiozłem dziecko - mówi ojciec. - Znalazłem je w lesie.

Kobieta przez chwilę milczy.

- To pan znalazł tego noworodka? - pyta.

- Tak - odpowiada ojciec. Recepcjonistka zapisuje coś na kartce.

- Czy dziecko ma jakieś obrażenia?

- Nie wiem.

- Pan jest ojcem?

- Nie. Znalazłem małą w lesie. Nie jestem też z rodziny. Nie mam pojęcia, kim może być ta mała.

Kobieta ponownie przygląda się ojcu i wiem, co widzi: dość wysokiego mężczyznę około czterdziestki w poplamionej beżowej kurtce; trzydniowy zarost; ciemnoblonde włosy, z lekka przyprószone siwizną; między brwiami głębokie pionowe bruzdy. Zdaje mi się, że ojciec od śniadania przedwczoraj się nie mył.

- Pana nazwisko?

- Robert Dillon.

Kobieta zapisuje szybko czerwonym długopisem.

- Adres?

- Bott Hill.

- Jest pan ubezpieczony?

- Mam ubezpieczenie imienne.

- Czy mogę zobaczyć pana kartę? Ojciec obmacuje wszystkie kieszenie.

- Nie wziąłem portfela - mówi. - Zostawiłem go na półce w przedpokoju.

- A prawo jazdy?

- Też nie mam.

Twarz recepcjonistki zastyga. Odkłada długopis i wolno, spokojnie spleta ręce, jakby się bała gwałtownych ruchów.

- Proszę usiąść - mówi. - Ktoś się zaraz do pana zgłosi.

Siadam obok mężczyzny z ciastowatą twarzą, który kaszle spokojnie

w kołnierzyk pikowanej kurtki w burym kolorze. Ostre światło jest dla wszystkich bezlitosne. Starzy wyglądają prawie jak trupy, ale nawet na twarzach dzieci widać dosłownie każdą najmniejszą skazę. Po jakimś czasie - może było to dwadzieścia minut, a może pół godziny? - do pokoju wchodzi młody lekarz w białym fartuchu. Maskę wisi mu luźno na szyi, stetoskop wystaje z kieszeni na piersi. Za nim widzę policjanta w mundurze.

- Pan Dillon? - pyta lekarz.

Ojciec wstaje i spotyka się z mężczyznami mniej więcej w połowie pokoju, a ja do nich dołączam. Lekarz jest blady, jasnowłosy i wygląda za młodo jak na doktora.

- Czy to pan znalazł dziecko? - pyta.

- Tak - odpowiada ojciec.

- Jestem doktor Gibson, a to komendant Boyd. Komendant Boyd, jeden z zaledwie dwóch policjantów na całe miasteczko Shepherd, jest ojcem Timmy'ego Boyda. Obaj są otyli i mają charakterystyczne prostokątne czarne brwi. Boyd wyjmuję z kieszeni notes i krótki ołówek.

- Czy mała jest zdrowa? - zwraca się ojciec do lekarza.

- Straci palec u ręki, może kilka palców u nóg - odpowiada doktor, pocierając czoło. Mogą być kłopoty z płucami. Ale jest za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Gdzie pan ją znalazł? - pyta Boyd.

- W lesie za domem.

- Na ziemi?

- Tak, w śpiworze. W środku była jeszcze zawinięta w ręcznik.

- Gdzie są teraz śpiwór i ręcznik? - pyta komendant Boyd, oblizując czubek ołówka. Pamiętam, jak robiła to moja babcia, sporządzając listę zakupów. Boyd mówi tak jak większość mieszkańców New Hampshire: wymawia szeroko „a”, połyka „r”, jego zdania mają charakterystyczny ledwie wyczuwalny rytm.

- W lesie. Zostawiłem je w lesie.

- Pan mieszka w Bort Hill, tak?

- Tak.

- Widuję pana czasem - mówi komendant. - U Sweetsera.

- Wydaje mi się, że to było gdzieś w pobliżu motelu - mówi ojciec -

nie pamiętam jego nazwy.

Policjant odwraca się i zaczyna mówić do radia, które przypiął do ramienia. Przyglądam się najróżniejszym akcesoriom, którymi obwieszony jest jego mundur.

- Jak długo dziecko tam leżało? - pyta lekarz.
- Nie wiem - odpowiada ojciec.

Przed oczami mam dziecko leżące w śniegu w ciemnościach.

Chrząkam i ojciec kładzie mi rękę na ramieniu.

- Proszę mi powiedzieć, jak pan ją znalazł - zwraca się Boyd do ojca.
- Byliśmy z córką na spacerze i usłyszeliśmy płacz. Z początku nie wiedzieliśmy, co to jest. Myśleliśmy, że kot. Dopiero potem ten odgłos wydał nam się bardziej ludzki.
- Widział pan coś? Jakichś ludzi w pobliżu dziecka?
- Usłyszeliśmy, jak ktoś zamyka drzwi samochodu. A potem zapala silnik.

Z radia Boyda wydobywa się skrzeczenie i policjant zaczyna mówić do swojego ramienia. Wyraźnie podniecony, odwraca się od nas. Słyszę, jak mówi: „Dwudziestoosmioletnie doświadczenie” i, jest tutaj”.

A potem przeklina pod nosem.

Odwraca się znowu do nas i odkłada notatnik i ołówek. Zabiera mu to wiele czasu.

- Czy jest jakieś pomieszczenie, do którego mógłbym zaprosić pana Dillona? - Boyd zwraca się do lekarza.
- Spodziewam się z Concord detektywa z wydziału kryminalnego policji stanowej.

Doktor ściska palcami grzbiet nosa. Ma oczy zaczerwienione ze zmęczenia.

- Niech zaczeka w dyżurce lekarzy - odpowiada.
- Mogę odwieźć małą do domu - mówi komendant, jakby mnie nie było. - I tak jadę w tamtą stronę.

Przytulam się do ojca.

- Ja chcę zostać z tobą - szepczę. Ojciec przygląda się mojej twarzy.
- Ona zostanie ze mną - mówi.

Idziemy za lekarzem do jadalni dla personelu, położonej w pobliżu poczekalni. W pokoju stoją wysokie metalowe szafy, w rogu narty biegówki, na stole pod ścianą sterta kurtek. Siadam przy innym stole i

przyglądam się automatom. Uświadamiam sobie, że jestem głodna. I że ojciec zapomniał portfela.

Myślę o tym, że mała może stracić palec u rączki albo palce nóg. Zastanawiam się, jakie czekają ją w związku z tym trudności. Czy bez palców u nóg będzie jej trudno nauczyć się chodzić? Czy bez jednego palca u ręki będzie mogła grać w koszykówkę?

- Zadzwoń do matki Jo - mówi ojciec - żeby po ciebie przyjechała.

Potrząsam głową.

- Zabrałbym cię od nich, jak już będzie po wszystkim - dodaje.

- Nie, tu jest mi dobrze - odpowiadam, słowem nie wspominając o głodzie, bo wtedy na pewno wylądowałabym u Jo. - Czy dziecku nic się nie stanie? - pytam.

- Zobaczymy.

- Tato?

- Słucham?

- To było niesamowite, prawda?

- Prawda.

Poruszam się na krześle i siadam na rękach.

- I straszne - dodaję.

- Troszkę.

Ojciec wyjmuję z kieszeni kurtki papierosy, ale zmienia zdanie.

- Jak myślisz, kto ją tam zostawił? - pytam. Ojciec gładzi się po nieogolonej brodzie.

- Nie mam pojęcia.

- Czy myślisz, że nam ją dadzą?

Ojciec robi wrażenie zdziwionego moim pytaniem.

- Przecież ta mała nie jest nasza - mówi ostrożnie.

- Ale myśmy ją znaleźli.

Ojciec pochyla się i splata dłonie między kolanami.

- Znaleźliśmy ją, ale ona do nas nie należy. Będą się starali znaleźć jej matkę.

- Ale matka jej nie chce - protestuję.

- Tego nie wiemy na pewno - mówi ojciec. Potrząsam głową z pewnością charakterystyczną dla dwunastolatki.

- Oczywiście, że wiemy na pewno - odpowiadam. - Jaka matka

zostawia swoje dziecko na śniegu, żeby umarło? Jestem głodna.

Ojciec wyjmuje z kieszeni kurtki cukierka i przesuwa go po stole w moją stronę.

- Co się stanie z małą? - pytam, rozpakowując cukierek.

- Nie jestem pewien, ale możemy zapytać lekarza. Wsadzam cukierek do ust i wpycham go w policzek.

- Ale, tato, powiedzmy im, żeby nam dali tę małą. Wzięłbyś ją?

Ojciec rozwija cukierek dla siebie. Zgniatą celofan w kulkę i chowa do kieszeni.

- Nie, Nicky, nie wziąłbym - odpowiada.

Mijają minuty. Mija pół godziny. Proszę ojca o jeszcze jeden cukierek. Nad naszymi głowami na ekranie telewizyjnym spiker mówi o cięciach w budzecie. Troje nastolatków z White River Junction zostało oskarżonych o rozbój. Zbliża się burza. Oglądam mapę pogody i patrzę na zegar - szósta dziesiąta.

Wstaję i obchodzę pokój dokoła. Nie jest to daleki spacer. Na końcu szeregu szaf widzę lustro wielkości książki. Z powodu aparatu ortodontycznego mam wypchnięte usta. Próbuję się nie uśmiechać, ale czasem nie mogę się powstrzymać. Mam gładką cerę, bez jednego wyprysku. I piwne oczy mamy. I falujące włosy, potargane w tej chwili na czubku głowy. Próbuję rozprostować je palcami.

Do pokoju, bez pukania, wchodzi mężczyzna w granatowym płaszczu i czerwonym szaliku; wydaje mi się, że to kolejny lekarz. Mężczyzna zdejmuje szalik i wieszka go na krześle. Widzę, że ojciec ma ochotę rozpiąć suwak kurtki, ale nie może, bo nie ma guzików przy koszuli.

Mężczyzna zdejmuje płaszcz i kładzie go na szaliku. Zaciera ręce, jakby się spodziewał jakiejś przyjemności. Ma na sobie czarny sweter i sportową marynarkę. I twarz w bliznach po trądziku. Po prawej stronie brody widać dodatkową fałdę skóry, która może stanowić pozostałość po wypadku albo po bójce na noże.

- Robert Dillon? - pyta.

Jestem zdziwiona, że zna nazwisko ojca, i wtedy uświadamiam sobie, że to nie jest żaden lekarz. Prostuję się na krześle. Ojciec kiwa głową.

- George Warren - przedstawia się mężczyzna. - Proszę mówić mi Warren. Może kawy?

Ojciec potrząsa głową.

- A to moja córka, Nicky - mówi.

Warren wyciąga do mnie rękę, którą potrząsam.

- Była z panem, kiedy pan znalazł dziecko? - pyta. Ojciec kiwa głową.

- Jestem detektywem z policji stanowej - wyjaśnia Warren. Wyjmuje z kieszeni drobne i wrzuca do automatu z kawą. - Pan powiedział komendantowi Boydowi, że znaleźliście noworodka na Bort Hill - mówi odwrócony tyłem do ojca.

- Tak powiedziałem.

Ciężki papierowy kubek wpada na miejsce. Obserwuję lejącą się do niego kawę. Warren bierze kubek i dmucha.

- Zostały tam jeszcze śpiwór i ręcznik - dodaje ojciec. - Mała była w śpiworze.

Warren miesza kawę drewnianą pałeczką. Ma siwe włosy, ale twarz młodą.

- Dlaczego pan go tam zostawił? - pyta. - Mam na myśli śpiwór.

- Był za śliski. Bałem się, że mi dziecko wypadnie.

- A jak pan je niósł?

- Wziąłem małą pod kurtkę.

Warren spogląda na kurtkę ojca. Czubkiem buta przysuwa sobie krzesło i siada.

- Czy mogę pana prosić o jakiś dowód tożsamości? - pyta.

- Zostawiłem portfel w domu - odpowiada ojciec. - Spieszyłem się, chciałem jak najszybciej zawieźć dziecko do szpitala.

- Nie wezwał pan policji? Karetki pogotowia?

- Mieszkamy na końcu długiego, dość stromego podjazdu. Miasto nie bardzo o niego dba. Bałem się, że karetka utknie w śniegu.

Warren obserwuje ojca znad krawędzi kubka.

- Niech pan mi coś powie o tym śpiworze.

- Z wierzchu był niebieski, błyszczący, a w środku w kratę - mówi ojciec. - Tani, taki, jakie się kupuje w Amesie. Był też ręcznik. Biały, zakrwawiony.

- Od dawna mieszkacie w Bott Hill? - Warren ostrożnie pociąga drugi łyk kawy. Jego oczy są jednocześnie czujne i dalekie, jakby

wszystko to, co jest ważne, rozgrywało się gdzieś indziej.

- Od dwóch lat.
- Skąd pan jest?
- Z Indiany, ale przyjechałem tu z Nowego Jorku.
- Z miasta Nowy Jork? - pyta Warren, pociągając się za ucho.
- Pracowałem w Nowym Jorku, ale mieszkaliśmy na północ od

miasta.

- Gdyby nie pan, znaleźlibyśmy na wiosnę kupkę kostek - mówi Warren.

Ojciec patrzy na mnie. Wstrzymuję oddech. Nawet nie chcę myśleć o kościach.

- Nie gorąco panu? - pyta detektyw. - Dlaczego pan nie zdejmie kurtki?

Ojciec wzrusza ramionami, ale każdy widzi, że w przegrzanym pokoju jest spocony.

- Co pan robił, kiedy znalazł pan dziecko? - pyta Warren.
- Byliśmy na spacerze.
- Kiedy?

Ojciec zastanawia się chwilę. O jakiej to mogło być porze? Przestał nosić zegarek, bo za często zahaczał nim o narzędzia. Spoglądam na wiszący nad drzwiami zegar. Jest dwadzieścia pięć po szóstej. Mam uczucie, jakby to była północ.

- Po zachodzie słońca - mówi ojciec. - Właśnie zaszło za wzgórze. Znaleźliśmy małą jakieś dziesięć, piętnaście minut później.

- To było w lesie - mówi Warren.
- Tak.
- Często chodzi pan na spacer do lasu po zachodzie słońca?

Detektyw stawia kubek na stole, sięga do kieszeni płaszcza i wyjmuje mały notes. Otwiera go i zapisuje coś krótkim ołówkiem. Chciałabym mieć taki krótki ołówek.

- Jak jest ładna pogoda - odpowiada ojciec - to zwykle kończę pracę około czwartej trzydzieści. I wtedy idziemy się przejść, zanim zrobi się całkiem ciemno.

- Pan z córką?
- Tak.

- Ile masz lat? - zwraca się do mnie detektyw.
- Dwanaście - odpowiadam.
- Siódma klasa?
- Tak.
- Szkoła Regionalna? Kiwam głową.
- O której wysiadasz z autobusu?
- O trzeciej piętnaście.
- I ma jeszcze piętnaście minut drogi na piechotę, pod górę - dodaje

ojciec.

- Jak pan znalazł dziecko, panie Dillon?
- Z pomocą latarki. Usłyszeliśmy płacz. Wtedy już jej szukaliśmy.

To znaczy tej małej.

- Jak długo byliście na spacerze?

Przerywa im głos z głośnika, wzywający doktora Gibsona.

Zastanawiam się, czy nie dzieje się z dzieckiem coś złego.

- Około trzydziestu minut.
- Słyszeliście coś niezwykłego?
- W pierwszej chwili myślałem, że to kot - mówi ojciec. - Słyszałem

też odgłos zamykania drzwi samochodu. A potem odgłos zapalania silnika.

- Ciężarówka? Czy sedana?
- Trudno powiedzieć.
- Po znalezieniu dziecka?
- Nie. Przed.
- Przed czy po usłyszeniu płaczu po raz pierwszy?
- Po. Pomyślałem, pamiętam, że pewnie ktoś - mężczyzna albo

kobieta - wyszedł z dzieckiem na spacer.

- Do lasu? Zimą? Ojciec wzrusza ramionami.
- Podchodziłem pod Bott Hill. Tam jest taki kamienny murek.

Często bywa celem naszych spacerów.

Przypominają mi się te wszystkie chwile, kiedy ojciec, siedząc na murku, pali papierosa. Czy jeszcze kiedykolwiek tam pójdziemy?

- Trafi pan w to miejsce? - pyta Warren. - Tam, gdzie znalazł pan dziecko?

- Nie jestem pewien - odpowiada ojciec. - Ślady mogą być płytkie.

Mieliśmy na nogach rakiety śnieżne, a skorupa była twarda. Rano mógłbym pokazać w przybliżeniu, gdzie to było.

Detektyw Warren opiera się wygodnie na krześle. Spogląda na mnie, po czym się odwraca.

- Panie Dillon - mówi i robi małą przerwę. - Czy pan zna kogoś, kto może być matką tego dziecka?

Pytanie wydaje się ojcu zaskakujące - i z powodu treści, i dlatego, że zostało zadane w mojej obecności.

- Nie - odpowiada ojciec, ale to słowo z wyraźnym trudem wydobywa mu się z ust.

- Pan jest żonaty?

Odwracam się, żeby nie patrzeć na ojca.

- Nie - odpowiada.

- Ma pan jeszcze jakieś dzieci? Czuję w piersiach ciepły wiatr.

- Jestem sam z córką - odpowiada ojciec.

- To dlaczego zdecydował się pan na przeprowadzkę w nasze strony? - pyta detektyw.

Przez chwilę panuje cisza, a ja żałuję, że pozwolono mi zostać w pokoju.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł - słyszę odpowiedź ojca.

- Źle pan znosił tempo?... - sugeruje Warren. Podnoszę wzrok i widzę, że ojciec spogląda na stojące w rogu narty.

- Coś w tym rodzaju.

- Czym pan się zajmował w Nowym Jorku?

- Pracowałem w firmie architektonicznej.

Warren kiwa głową, przyjmując do wiadomości te fakty.

- A co pan robi teraz? W Bort Hill?

- Meble - odpowiada ojciec.

- Jakie meble?

- Najprostsze. Stoły. Krzesła.

Za sobą słyszę otwierające się drzwi. Wchodzi doktor Gibson, zdejmując biały fartuch, który następnie wrzuca do stojącego w rogu pojemnika. Pozdrowia detektywa skinieniem głowy. Albo ci dwaj się znają - myślę - albo rozmawiali, zanim detektyw tu wszedł.

- No, nareszcie jestem wolny - mówi lekarz, wyraźnie wykończony.
- Jak mała? - pyta ojciec.
- Lepiej. Jej stan się stabilizuje.
- Czy mógłbym ją zobaczyć?

Doktor Gibson wyjmuje z szafy żółto-czarną kurtkę.

- Dziecko jest na oddziale intensywnej opieki medycznej i śpi - odpowiada lekarz.

Widzę, jak wymienia z detektywem spojrzenia i spogląda na zegarek.

- Dobrze - mówi w końcu lekarz. - Proszę zajrzeć, ale szybko.

Ostatecznie, nic się nie stanie.

Idziemy za doktorem Gibsonem różnymi korytarzami, pomalowanymi na ten sam przygnębiający zielonkawo beżowy kolor. Detektyw zostaje w tyle i odnoszę wrażenie, że obserwuje mnie i ojca.

Dziecięcy OIOM został zbudowany w kształcie koła, w którym dyżurka pielęgniarek stanowi oś, a poszczególne pokoje szprychy. Mijam siedzących na plastikowych krzesłach rodziców, wpatrzonych w zegary i migające czerwone światła. Czekam, aż ktoś zacznie krzyczeć.

Doktor Gibson kieruje nas do pokoju, który w porównaniu z maleństwem leżącym w plastikowym łóżeczku wydaje się ogromny. Wręcza nam maski i każe je nałożyć na usta.

- Myślałem, że ona będzie na sali noworodków - mówi ojciec przez niebieski papier.

- Dziecko, które znalazło się poza obrębem szpitala, nie może przebywać na oddziale noworodków - wyjaśnia lekarz, pochyla się nad łóżeczkiem, poprawia rurkę i spogląda na monitor.

Dziecko leży w podgrzewanym pojemniku z pleksiglasu. Zabandażowana rączka i nóżka wystają z chudego przypominającego lalkę ciała. Ciemne pozlepiane włoski sterczą na pomarszczonej główce jak ptasie pióra. Mała leciutko cmoka usteczkami, jakbyssała.

Mam ochotę zbliżyć do nich policzek i poczuć na skórze ciepły oddech. Znalezienie małej mogło być najważniejszą rzeczą, jakiej dokonaliśmy z ojcem w życiu.

- Co się z nią stanie? - pyta ojciec.
- Zajmie się nią Towarzystwo Opieki nad Dzieckiem i Rodziną - odpowiada Gibson.

- A potem?
- Rodzina zastępcza. A może adopcja.

Wszyscy czworo w milczeniu zjeżdżamy windą na dół. Uświadamiam sobie, że ojciec śmierdzi. Wsiadamy z windy i doktor Gibson podaje mu rękę.

- Cieszę się, że pan znalazł tę małą, panie Dillon. Ojciec potrząsa ręką doktora.
- Pozwolę sobie zadzwonić jutro - mówi - żeby się dowiedzieć o jej stan.
- Mam dyżur cały dzień. - Gibson wręcza ojcu wizytówkę i oddala się.
- Gdzie pan zostawił samochód? - pyta detektyw. Ojciec musi się chwilę zastanowić.
- Na parkingu od frontu - odpowiada.
- Chciałbym, żebyście pojechali ze mną. I na coś spojrzeli.
- Moja córka jest zmęczona - mówi ojciec.
- Możemy ją tu zostawić - proponuje detektyw. - Zabierze ją pan, kiedy pana odwiozę. To nie potrwa długo.
- Tato, nie - protestuję szybko.

Detektyw otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ojciec praktycznie nie dopuszcza go do głosu.

- Ona jedzie z nami - oznajmia.

Rozdział 3

Warren jeździ czerwonym dżipem, co jest dosyć dziwne jak na policjanta stanowego. Dochodzę do wniosku, że pewnie wykonuje niewiele tajnych zadań. Może taki ciężki wóz jest mu potrzebny do ścigania przestępców po wiejskich bezdrożach.

- Musi pan mną pokierować - mówi Warren. - Rzadko się zapuszczam w te strony.

- W jakie strony? - pyta ojciec.

- W okolice motelu.

Przejeżdżamy przez miasteczko Shepherd w New Hampshire, nazwane tak na cześć Asy Henry'ego Shepherda, rolnika, który tu przybył w 1763 roku, żeby uprawiać ziemię. W miejscowej książce telefonicznej jest ponad trzydziestu Shepherdów.

- Niezła pogoda szykuje się nam na jutro - odzywa się Warren. - Według prognozy radiowej - lód. Nienawidzę lodu.

Ojciec się nie odzywa. W dżipie panuje lodowaty chłód. Siedzę z tyłu. Detektyw prowadzi w rozpiętym płaszczu, czerwony szalik luźno zwisa mu z szyi.

- Najgorszy jest czarny lód. Dwa lata temu była ta historia z rodziną z Karoliny Północnej, która wpadła w poślizg na wyjeździe z autostrady na Grantham. Byli na nartach, ale nie mieli pojęcia o czarnym lodzie. Ich chevrolet dosłownie wyleciał w powietrze.

Obserwuję rytm mroźnych oddechów ojca.

- Jakaś para zameldowała się w motelu niedaleko was - ciągnie Warren. - Właścicielka opisała mężczyznę, ale twierdzi, że kobiety nie widziała. Mężczyzna, biały, metr siedemdziesiąt parę centymetrów wzrostu, dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, czarne falujące włosy, granatowa kurtka dwurzędowa. Wydaje jej się, że miał sześć- czy

siedmioletnie volvo. Mają obowiązek zapisywać numery rejestracyjne samochodów swoich gości, ale ona tego nie zrobiła.

- Volvo? - pyta zdziwiony ojciec.

Detektyw omija naszą drogę i kieruje się na wschód w stronę podjazdu do motelu. Reflektory wyławiają z mroku fragmenty lasu, otaczającego naszą działkę. Przez szybę widzę dziwną lunę na wieczornym niebie, jakby na szczycie wzgórza znajdowało się małe miasto.

Warren jako kierowca ma ciężką nogę. Ojciec nie lubi jeździć na miejscu pasażera; od lat zresztą tego nie robi. Czuję zapach siedzącego przede mną detektywa: mieszaninę mokrej wełny i kawy, z lekką domieszką mięty.

- Tu - mówi ojciec.

Warren skręca w wybrukowany, dość stromy podjazd, prowadzący do niskiego, krytego czerwonym gontem motelu. Na parkingu stoją dwa radiowozy i trzy inne samochody. Las za motelem oświetlają potężne reflektory.

Warren wysiada z dzipa i macha na ojca, żeby do niego podszedł.

- Zostań tutaj - zwraca się do mnie ojciec.

- Chcę iść z tobą - mówię.

- Zaraz wracam - uspokaja mnie.

Drzwi do pokoju są otwarte i widzę w środku dwóch umundurowanych policjantów, z których jednym jest komendant Boyd. Ojciec idzie przez parking do detektywa.

Podciągam kolana pod brodę i obejmuję je ramionami. Szyba po mojej stronie jest zapaćkana, ale widzę ojca, jak przestępuje próg i wchodzi do oświetlonego pokoju. Nie rozumiem, dlaczego zostawili mnie samą w samochodzie. A jeśli osoba, która porzuciła dziecko, żeby umarło na śniegu, jest tu gdzieś w pobliżu?

Przechyliłam się na bok i przewracam, przyjmując na tylnym siedzeniu pozycję embrionalną. Jestem w samochodzie detektywa. Czuję lekkie podniecenie pomieszane ze strachem.

W świetle padającym z parkingu oglądam podłogę dzipa. Widzę przewróconą na bok pustą puszkę po coli, użytą chusteczkę jednorazową i kilka rozrzuconych monet. W kieszeni oparcia jest atlas i

kaseta magnetofonowa. A to co takiego? Sięgam ręką i natrafiam na snickersa, nierozpakowanego. Cofam rękę. Pod siedzeniem pasażera jest długi metalowy przedmiot, może jakieś narzędzie. Poza tym w dziupie panuje porządek - nie tak jak w szoferce mojego taty, która jest zawalona szmatami, kawałkami drewna, trocinami, narzędziami, kurtkami i skarpetami. I do tego jeszcze w niej śmierdzi - jak gdyby psującymi się jabłkami. Ojciec przysięga, że nie ma w samochodzie żadnych jabłek, że go przeszukał, ale ja jestem przekonana, że gdzieś musiało się zawieruszyć przynajmniej jedno zgniłe jabłko.

Ulegam pokusie i przez chwilę płaczę. Czuję ulgę, chociaż do wycierania nosa nie mam nic poza rękawem. Przypomina mi się, jak ojciec płakał na parkingu. Jakby sobie nie zdawał sprawy z mojej obecności.

Ojciec i ja uratowaliśmy czyjeś życie. Jutro rano będę w szkole ważną osobistością. Mam nadzieję, że ojciec nie zakaze mi mówienia o całej tej sprawie. Zastanawiam się, czy napiszą o mnie w gazetach. Zaczynam szcząkać zębami i może nawet trochę sobie w tym pomagam. Myślę o naszym spacerze, o tym, jak znaleźliśmy dziecko w lesie i jak ojciec upadł koło niego na kolana. Zadaję sobie pytanie, czy zmarznięcie jest wystarczającym powodem, żeby teraz wysiąść i wejść za nimi do środka.

Siadam i wyglądam przez okno, które trochę zaparowało.

Jak długo już nie ma ojca? Mam lodowate palce. Co się stało z moimi rękawiczkami? Jestem głodna. Od szkolnego lunchu, czyli od jedenastej trzydzieści, nic nie jadłam. Myślę o snickersie. Czy detektyw się zorientuje, jeśli go zjem? A jeśli się pozna, to czy będzie zły? Sięgam do kieszeni w oparciu siedzenia i wyjmuję batonik. Trzymam go na kolanach, przez cały czas wpatrując się w drzwi do pokoju. Będę musiała szybko zjeść snickersa i ukryć papierek. Nie chciałabym, żeby mnie złapano z połową batonika w buzi.

Rozrywam opakowanie. Batonik jest stwardniały od zimna, ale w środku ma fantastyczny smak. Jem najszybciej, jak tylko potrafię, wycierając usta palcami i wpychając papierek do kieszeni dzinsów. Prostuję się na siedzeniu, lekko zdyszana. Zgarbiona, przygotowana na reprimendę, wysiadam z samochodu i zamykam drzwi. Idę przez odśnieżony parking. Słyszę teraz głosy - rozmyślnie spokojne głosy

pracujących techników. Przystaję na stopniach, przygotowana na oczekiwanie psa.

Pokoik jest mały i byłby przygnębiający nawet bez zakrwawionych prześcieradeł czy pobrudzonej, ściągniętej z łóżka narzuty. Ściany są wyłożone cienką boazerią, która ma wyglądać na sosnę. W pokoju jest komoda i telewizor i panuje silny zapach pleśni. Zakrwawione prześcieradło leży pod jedynym oknem, które jest w tej chwili otwarte. Przez to okno widzę światła reflektorów na śniegu.

Jakiś technik pracuje przy łóżku.

- Tutaj ta kobieta urodziła - mówi Warren.

Na stoliku stoi do połowy napełniona wodą szklanka. Na dywanie leży skarpetka.

- Na pewno są odciski palców - mówi ojciec.

- Odciski palców są w całym pokoju - zgadza się Warren -ale nie będą miały żadnej wartości, jeżeli przynajmniej jednego nie znajdziemy w policyjnych kartotekach, co jest bardzo mało prawdopodobne. - Detektyw wyjmuje z tylnej kieszeni chustkę i wyciera nos. - To maleństwo, które znaleźliście... - mówi. - Ono tu, w tym pokoju, rozpoczęło życie. I zaraz potem ktoś, najprawdopodobniej ojciec, wyniósł je tym oknem i próbował zabić. Nie położył w ciepłym miejscu, w którym ktoś mógłby je znaleźć. Nie wezwał pomocy. Wziął noworodka, urodzonego zaledwie kilka minut wcześniej, wyniósł do lasu w grudniowy wieczór i nagiego, tylko w śpiworze, położył na ziemi. Gdyby pan nie znalazł małej, natrafilibyśmy na nią... kiedy? W marcu? W kwietniu? Jeśli w ogóle. Najprawdopodobniej pierwsze znalazłyby ją psy.

Wyobrażam sobie psa wlokącego po śniegu kość. Ojciec stoi koło detektywa, który rozmawia z technikiem. Komendant Boyd, z mocno zaciśniętymi ustami, podpira ścianę. W miejscu, w którym stoję, z pewnością mnie nie widzi. Usiłuję sobie wyobrazić, co działo się w tym pokoju. Niewiele wiem na temat porodów, ale wyczuwam histerię w ścianach, oczyma duszy widzę pogniecione prześcieradła, porzucone ubranie. Czy kobieta wiedziała, co mężczyzna zamierza zrobić z dzieckiem? Na podłodze leży skarpetka, perłowszara, być może z angory, z warkoczem z boku. Sądząc z rozmiaru, jest to skarpetka

damska. Jeden z techników podnosi ją i wkłada do plastikowej torebki.

- W ciągu piętnastu lat mojej służby w policji stanowej - mówi Warren - widziałem około dwudziestu pięciu porzuconych noworodków. Trzy miesiące temu, w Lebanon, jakaś kobieta wyrzuciła nowo narodzone dziecko do pojemnika na śmieci stojącego przed domem. Zerwała ze swoim chłopakiem. Mały już nie żył, kiedy go znaleźliśmy. Miał nos zatkany zupą Campbella.

Jeden z techników przerywa Warrenowi jakimś pytaniem.

- W ubiegłym roku - podejmuje Warren - czternastoletnia dziewczynka wyrzuciła swoje dziecko z okna pierwszego piętra. Została oskarżona o usiłowanie zabójstwa. - Detektyw dokładnie ogląda szklankę i plastikową torebkę leżącą na nocnym stoliku. - W Newport znaleźliśmy nowo narodzoną dziewczynkę, żywą, na półce w Amesie. W Conway znaleziono nowo narodzonego chłopca w śmietniku na tyłach restauracji. Matka miała dwadzieścia lat. Na zewnątrz było lodowato. Została oskarżona o usiłowanie zabójstwa. - Detektyw kuca, żeby zajrzeć pod łóżko. - Co jeszcze? A, w Manchesterze osiemnastoletnia matka porzuciła swoją nowo narodzoną córeczkę w parku. Zostawiła dziecko w plastikowej torbie. Znalazły je dwie dziesięcioletnie dziewczynki, które jeździły po parku na rowerach. Czy możecie sobie to wyobrazić? Matka została oskarżona o usiłowanie zabójstwa i szczególne okrucieństwo. - Warren wstaje. Pokazując pod łóżko, zadaje technikowi jakieś pytanie. - Albo posłuchajcie: dwa lata temu uczennica drugiej klasy szkoły średniej odkryła, że jest w ciąży. Nic nikomu nie powiedziała. Ukrywała ciążę, nosząc szerokie bluzy i spodnie dresowe i cały czas mając nadzieję, że poroni. Ale nie poroniła. Jesienią poszła do college'u. W dniu poprzedzającym Święto Dziękczynienia, po tym, jak wszyscy rozjechali się do domów, urodziła na podłodze w akademiku córeczkę. Owinęła maleństwo w T-shirt i sweter, włożyła do plastikowej torby na zakupy i zniosła na dół, z trzech kondygnacji schodów, gdzie włożyła je do pojemnika na śmieci, stojącego przed akademikiem. Warren wygląda przez okno.

- Ale ta dziewczyna miała przynajmniej sumienie - mówi. - Wykonała anonimowy telefon do ochrony kampusu, która przyszła i znalazła dziecko. Znalezienie matki też im nie zajęło wiele czasu.

Postawiono jej zarzut narażenia dziecka na utratę zdrowia i skazano na rok aresztu domowego.

- Skąd wiadomo, że to zrobił mężczyzna? - pyta ojciec. - We wszystkich innych wymienionych przez pana przypadkach to kobiety porzucały swoje dzieci.

- Proszę ze mną - zwraca się Warren do ojca. - Chciałbym, żeby pan coś zobaczył.

Mężczyźni odwracają się i w tym momencie spostrzegają mnie, stojącą pod drzwiami.

Ojciec przesuwa się tak, jakby chciał zasłonić mi widok wnętrza pokoju, ale oboje wiemy, że jest za późno - że to, co było do zobaczenia, już zobaczyłam.

- Chyba ci mówiłem, żebyś została w samochodzie. - Jest zdziwiony i jednocześnie zły.

- Ale ja zmarłam.

- Jeśli ci mówię, że masz zostać w samochodzie, to masz w nim zostać.

- Nic się nie stało - przerywa mu Warren, przemykając się obok ojca. - Może iść z nami.

Ojciec rzuca mi lodowate spojrzenie i każe iść przed sobą, za detektywem, który prowadzi nas za budynek motelu. Śnieg jest głęboki i Warren daje nam znaki, żebyśmy szli po jego wolno, precyzyjnie odciskanych śladach. Od okna na tyłach motelu prowadzą w stronę lasu inne ślady. Światła są tak ostre, że muszę przysłonić oczy. W odległości jakichś piętnastu metrów od miejsca, w którym stoimy, dwóch policjantów pochyla się nad śniegiem.

- Ślady butów - mówi Warren - miejscami głębokie na pół metra. Rozmiar dziesięć i pół. Co jakieś pięć metrów facet zapadał się po kolana. Ślady ciągną się przez jakieś pięćset metrów i potem zawracają. Wiecie, jakie to musiało być trudne?

Ojciec mówi, że wie.

- Można złamać nogę - dodaje Warren. Ojciec kiwa głową.

- Wygląda na faceta z miasta, nie sądzi pan? - pyta detektyw.

- Niewykluczone.

- Kobieta zaraz po porodzie nie dałaby rady.

- Myślę, że nie - zgadza się ojciec.

Warren odwraca się do ojca i kładzie mu rękę na ramieniu. Ojciec się cofa.

- Mimo że pan nie chce rozpiąć kurtki - mówi detektyw - i ma pan krew na kołnierzyku, że pan wygląda dość niewyraźnie, mieszka pan przy opuszczonej drodze w pobliżu motelu, otóż mimo tego wszystkiego może miło będzie panu usłyszeć, że jednak nie podejrzewam o to pana.

Wracamy do miasta z komendantem Boydem. Rano wszyscy się dowiedzą. Znów próbuję sobie wyobrazić mężczyznę i kobietę, którzy poszli do motelu, by kobieta urodziła dziecko, a potem skazali je na śmierć. Gdzie są teraz?

- To mój samochód, ten tam - mówi ojciec, kiedy znajdujemy się na szpitalnym parkingu. Komendant podwozi nas do samochodu, a my wysiadamy. - Dziękuję za podwiezienie. - Ale Boyd, w dalszym ciągu powściągliwy, nie odpowiada, tylko wyjeżdża z parkingu.

Wsiadamy do samochodu i ojciec przekręca kluczyk w stacyjce. Silnik zapala od razu. Kiedy czekamy, żeby się rozgrzał, wyglądam przez pokrywającą szybę cieniutką warstwę lodowych kryształków, które lśnią w świetle lampy parkingu. Za tymi kryształkami są drzwi do izby przyjęć, a za nimi łóżeczko, w którym nowo narodzona dziewczynka próbuje rozpocząć życie.

- Nie powinnaś była tego wszystkiego słyszeć - mówi ojciec.

- Nie o to chodzi.

- A o co chodzi? - pyta.

- Bo ja właśnie myślałam o Clarze.

Przy zwiększaniu szybkości trochę nami rzuca. Pod nogami mam pustą puszkę po coca-coli, która mnie trochę denerwuje. Ojciec dodaje gazu, robi ostrą agrafkę na niemal pustym parkingu i wyjeżdżamy w noc.

Rozdział 4

Ślady poślizgu ciągnęły się na długości dwunastu metrów. Ciężarówka z przyczepą pchała volkswagena po autostradzie, jakby to była kupka śniegu do odgarnięcia.

Mama zginęła na miejscu. Clara, która żyła jeszcze, kiedy ją sanitariusze wyciągnęli z wraka samochodu, umarła w karetce, w drodze do szpitala. Było dziesięć dni do Bożego Narodzenia i mama wzięła małą do centrum handlowego na świąteczne zakupy. Z powodów, których nigdy nie poznamy - może sprawił to wdzięk Clary, a może po prostu zaczęła marudzić - mama najprawdopodobniej odwróciła się na chwilę i zjechała na przeciwległy pas, którym właśnie nadjeżdżała ciężarówka. Jej kierowca wyszedł z wypadku jedynie z wybitym stawem barkowym i opowiadał później, że jechał z szybkością niecałych stu kilometrów na godzinę, kiedy nagle zobaczył na swoim pasie zielonego volkswagena.

Ojciec, który do późna przebywał na biurowym przyjęciu świątecznym i był po dwóch martini, o wypadku żony i dziecka dowiedział się dopiero przed samą północą. Kiedy przyszedł do domu i nikogo nie zastał, odczekał z godzinę, po czym zaczął wydzwaniać najpierw po przyjaciółkach mamy, potem po najbliższych szpitalach, aż w końcu na policji uzyskał informację, której nawet kilka tygodni później nie potrafił w pełni ogarnąć. Miesiącami miał uczucie, że gdyby nie zadzwonił na policję, nigdy by nie usłyszał tej koszmarnej wiadomości.

W nocy pojechał do szpitala dziesięcioletnim saabem, który swoją solidnością zdawał mu się urągać. Kiedy się tam zjawił, rzucili się na niego stażyści, którzy musieli z nim walczyć, by dał sobie zdjąć krawat i zdołał wreszcie zaczerpnąć tchu. Kiedy dokonał identyfikacji mamy,

lekarze dali mu chwilę na obejrzenie Clary, która była prawie nietknięta, jeśli nie liczyć dużego owalnego siniaka na czole. Rozmiary straty były niewyobrażalne, a widok idealnego ciała Clary stanowił wyrafinowaną torturę, jaką mógł wymyślić tylko jakiś zazdrosny bóg.

Wypadek wydarzył się w piątek wieczorem, kiedy nocowałam u Tary Rice. Jej matka, do której wiadomość o wypadku jeszcze nie dotarła, zdziwiła się, widząc w sobotę rano pod swoimi drzwiami mojego ojca. Znalaziono mnie na podłodze w pokoju Tary, wśród kłębowiska śpiworów, i kazano się spakować. Kiedy weszłam do kuchni i zobaczyłam ojca, od razu wiedziałam, że musiało się wydarzyć coś strasznego. Jego twarz, jeszcze wczoraj całkiem normalna, dziś robiła wrażenie, jakby została wyrzeźbiona od nowa przez jakiegoś partacza, który pozmieniał i powykrzywił rysy. Ojciec pomógł mi włożyć kurtkę i zaprowadził do samochodu. Mniej więcej w połowie drogi zaczęłam na niego ujadać, jak psiak, który łapie za kostki.

- Tato, co? Powiedz, co się stało?
- No, powiedz, tato. Dlaczego muszę już wracać?
- Co się stało, tato? Powiedz, co się stało?

Kiedy dotarliśmy do samochodu, wyrwałam mu rękę i zaczęłam biec z powrotem do domu Tary. Pewnie myślałam, że przez fakt ponownego przekroczenia jego progu zatrzymam czas i nigdy nie będę musiała usłyszeć tej potwornej nowiny, którą mi ojciec przyszedł powiedzieć. Złapał mnie bez trudu i przytulił buzią do swojego płaszcza. Zaczęłam szlochać, jeszcze zanim cokolwiek powiedział.

Moja rozpacz, której nie potrafiłam wyartykułować inaczej, jak tylko przez strumień bezładnych, przerywanych szlochem słów, objawiała się w miarę upływu dni w krótkich, gwałtownych atakach. Potrafiłam walić pięściami w podłogę albo wyrzucać pościel z łóżka. Kiedyś rąbnęłam przyciskiem do papieru w drzwi swojego pokoju, które pękły w samym środku. Ból ojca nie manifestował się tak dramatycznie jak mój, ale był bardzo zdecydowany i nieustępliwy. Jego ciało nabrało jakiejś koszmarnej sztywności - najczęściej siedział pochylony, z zaciętymi ustami i łokciami wspartymi na kolanach, w kuchni przy stole, dokąd przynoszono mu wodę, kawę, a od czasu do czasu jakieś jedzenie.

Całymi dniami tkwił w naszym domu w Westchester, niezdolny

podjąć pracy. Po przerwie świątecznej kazano mi iść do szkoły w nadziei, że to w jakimś stopniu odwróci moją uwagę od tragedii. Przyjechała babcia, żeby się nami zająć, ale tata nie był z tego zadowolony: przypominała mu lepsze czasy, kiedy latem jeździliśmy do niej do Indiany. Tam spędzałyśmy leniwe poranki - Clara bawiła się w plastikowym brodziku, a mama z zadowoleniem wylegiwała się w jedno-częściowym czarnym kostiumie kąpielowym. W tamte upalne popołudnia, kiedy babcia się nami zajmowała, tata i mama wymykali się czasem do dawnej dziecinnej sypialni ojca i ucinali sobie drzemkę, a ja byłam szczęśliwa, że nie musiałam poddawać się znienawidzonym obozowym rygorom.

Pewnego dnia, kilka tygodni po wypadku, wróciłam ze szkoły i zastałam ojca siedzącego na tym samym drewnianym krześle przy tym samym stole kuchennym, dokładnie tak, jak go zostawiłam po śniadaniu. Byłam przekonana, że stojąca przed nim filiżanka z ciemnym osadem na dnie to ta sama, do której nalał sobie kawę o ósmej rano. Przeraziłam się na myśl, że przez ten cały czas, kiedy byłam w szkole - przez czas trwania matematyki, biologii i filmu *Charly*, który oglądaliśmy na lekcji angielskiego - że przez cały ten czas ojciec siedział na tym krześle.

W marcu oznajmił, że się wyprowadzamy. Kiedy spytałam, dokąd, odpowiedział, że na północ. A kiedy zapytałam, dokąd na północ, odparł, że nie ma pojęcia.

Siadam na łóżku i widzę światło na brzegach zasłon. Rozsuwam je i stawiam nogi na zimnych deskach podłogi. Podnoszę żaluzje i osłaniam oczy. Wszystkie gałązki i jesienne liście są pokryte lśniąca lodową warstwą. Jestem oszołomiona tym odkryciem. Nawet w New Hampshire szkolne autobusy nie wyjeżdżają, kiedy jest lód. Nastawiam radio i słucham ogłoszenia o zamknięciu szkół. Publiczne szkoły Grantham - nieczynne. Publiczne szkoły Newport - nieczynne. Regionalna Szkoła Średnia - nieczynna.

Biorę prysznic, wycieram się i wkładam dzinsy i sweter. Robię sobie filiżankę gorącej czekolady. Szukając ojca, z kubkiem w ręku przechodzę z pokoju do pokoju, przez cały dom, przypominający długi, wąski, wygięty przylądek, z gankiem skierowanym na zachód. Dom jest pomalowany na żółto, z otworami okiennymi i drzwiami w kolorze

ciemnozielonym. Latem oplata ganek dzikie wino, tworząc rodzaj kratki. Farba już jest stara i dom wymaga odmalowania, do czego ojciec ma się zabrać latem. W ubiegłym roku, drugim spędzonym przez nas w tym domu, zrobił niewielki trawnik, który musiałam regularnie strzyc. Resztę naszej działki puścił na żywioł - tam gdzie nie ma lasu, są zarośla i łąki. Czasem w letnie wieczory siadamy z ojcem na ganku, on z piwem, ja z jakąś lemoniadą, i patrzymy, jak nad wybujałymi trawami śmigają ptaki, których nie potrafimy rozpoznać. Od czasu do czasu czytamy książki.

Wchodzę do frontowego pokoju, który ciągnie się przez całą szerokość domu i ma dwa długie okna, wychodzące na południe. Kiedy ojciec kupił ten dom, okna były zamalowane, a u sufitu wisiały dwa zapyziałe żyrandole. Ściany pokrywała spłowiała odpadająca drukowana niebieska tapeta, a kominek był zabity deskami. Ojciec wybrał ten dom z powodu całkowitego odosobnienia i anonimowości, jaką zapewniał. Dwa tygodnie po sprowadzeniu się przesiedział na krześle, niezdolny do tego, by się zająć czymkolwiek, poza tęnym patrzeniem w okno, i dopiero później zaczął krążyć po pokojach. Zdecydował, że obedrze cały dom do żywego.

Zaczął od frontowego pokoju, gdzie najpierw zagipsował sufit, który przypominał paskudny skamieniały lukier na gigantycznym starym torcie urodzinowym, a następnie obdarł ściany aż do tynku i pomalował na białe. Kupił szlifierkę i wyszlifował podłogi, aż osiągnęły ciepły miodowy kolor. Czasami prosił mnie o pomoc, ale większość zrobił sam. Teraz we frontowym pokoju nie ma nic, poza meblami, wykonanymi przez ojca przez ostatnie dwa lata: stoły, półki na książki i drewniane krzesła o prostych oparciach i nogach. Pokój jest czysty, surowy i przypomina szkolną klasę. Myślę, że ojciec podświadomie do tego dążył - jakby chciał powrotu do bezosobowych pokojów swojego dzieciństwa. Czasami używa tego pomieszczenia jako salonu sprzedaży - głównie wtedy, kiedy pan Sweetser ze sklepu żelaznego przysyła mu klientów. Stolarstwo to dla ojca rodzaj kariery zawodowej, chociaż o karierze można było mówić raczej w jego poprzednim życiu; nie w tym.

Pokój, który był kiedyś jadalnią, zabudował półkami od podłogi do sufitu i wypełnił je swoimi książkami. Wstawił tam skórzany fotel, sofę, dwie lampy i położył dywan. Czasem w tym pokoju czytamy i

nazywamy go pokojem wypoczynkowym. Przerabianie pomieszczeń na coś innego, niż były - salonu na salon sprzedaży; jadalni na pokój wypoczynkowy; starej stodoły na warsztat - sprawia ojcu jakąś przewrotną przyjemność. Zaraz za kuchnią ciągnie się długi, wyłożony kremową boazerią korytarz, z potężnymi hakami na wysokości ramienia. Z innego korytarza wchodzi się do małego pokoiku, z którym ojciec nie wiedział, co zrobić. Posprzątał go więc i wstawił tam pudła, których nigdy nie otworzył. W rezultacie powstał rodzaj sanktuarium. Żadne z nas tam nie wchodzi.

Na piętrze są trzy sypialnie; jedna dla mnie, jedna dla ojca i jedna dla babci, kiedy do nas przyjeżdża.

Kuchnia to jedyne pomieszczenie, przy którym ojciec nie próbował majstrować. Jest tam lada z czerwonego laminatu, z brązowymi oprawnymi w metal szufladami. I chociaż wymaga najwięcej pracy, ojciec wchodzi do niej tylko po to, żeby sobie zrobić szybką filiżankę kawy, kanapkę czy prosty obiad dla nas dwojga. Nigdy nie siadamy w kuchni do posiłku, jemy w pokoju wypoczynkowym albo osobno - ojciec w pracowni, a ja w swojej sypialni.

Nigdy nie jadamy w kuchni, bo w naszym poprzednim życiu, w Nowym Jorku, kuchnia była sercem całej rodziny, i choć te dwa pomieszczenia niewiele mają ze sobą wspólnego, to wspomnienia związane z tamtą kuchnią potrafią każde z nas w ciągu sekundy wytrącić z równowagi.

Stół był zawsze zarzucony pismami i pocztą. Ani ojciec, ani matka nie potrafili utrzymać porządku w domu i dlatego, z roczną zaledwie Clarą, drobny nawet bałagan szybko zamieniał się w totalny chaos. Matka przygotowywała jedzenie dla małej w robocie stojącym na ladzie kuchennej, zastawionej całkowicie takimi urządzeniami, jak sokowirówka, maszynka do mielenia mięsa, kuchenka mikrofalowa i młynek do kawy, który robił hałas jak wiertarka udarowa, za każdym razem budząc Clarę. Między stołem a kredensem była dziecinna bujawka, urządzenie, w którym moja siostra, cała zaśliniona, podskakiwała radośnie, dopóki rodzice nie uporali się z przygotowaniem dla niej posiłku. Podczas obiadu ojciec trzymał ją na kolanach, dając do spróbowania to, co akurat jedliśmy, a ona pakowała to sobie do buzi

tłustymi łapkami. Kiedy zaczynała grymasić, huśtał ją na kolanie, a pod koniec obiadu jego koszula była wypačkana marchewką, tłuszczem i puree z groszku.

Mam w albumie zdjęcie, na którym mama próbuje zjeść obiad przy ladzie kuchennej, trzymając jednocześnie Clarę na biodrze. Clara, ze strużką śliny na brodzie, trzyma palec w buzi, a mama, trochę nieostra, stoi tyłem do mnie i wygląda, jakby podrzucała małą, żeby nie grymasiła. W oknie kuchennym, za matką, widać oślepiające odbicie żarówki. W kręgu jej blasku mogę się dopatrzeć ojca, ze szklanką piwa w ręku i otwartymi ustami. Nie mam pojęcia, dlaczego uznałam za konieczne uwiecznienie takiego obiadu, dlaczego uznałam za ważne, by uchwycić plecy mamy czy Clarę z palcem w buzi. Może po prostu aparat był nowy i w ten sposób go testowałam. A może chciałam zirytować mamę. Dziś już nie pamiętam.

Mam także fotografię przedstawiającą mamę, jak trzyma na ręku mnie małą pod topolą w ogródku za domem. Ma długie, gęste, ciemnoblonde włosy, ułożone w fale na sposób, który był pewnie modny w 1972 roku, kiedy miałam rok. Jest ubrana w rozpiętą pod szyją koszulę w kratę i zamiszowy żakiet w rdzawym kolorze. Musiał być wrzesień. Matka robi wrażenie świadomej, że jest fotografowana - uśmiecha się lekko do ojca, który zapewne robi zdjęcie. Mam na głowie idiotyczny różowy kapelusik i się kłkacie. Po mamie odziedziczyłam włosy i szerokie usta, a po ojcu oczy. Po urodzeniu Clary mama obcięła włosy i już nigdy później nie widziałam jej z długimi.

Idę do stodoły i zastaję tam ojca, który siedzi przy piecu z kawą. Podłoga jest zasłana trocinami, a w kątach leżą plastikowe worki wiórów. W powietrzu unoszą się mikroskopijne drobinki, które przypominają ustępujące mgły w słoneczny dzień. Patrząc, jak ojciec odstawia kubek na parapet i schyla głowę. Często się tak zachowuje, kiedy nie wie, że jestem. Ma złożone ręce, łokcie wsparte na udach i szeroko rozstawione nogi. Jego rozpacz nie ma teraz wyraźnego oblicza - nie ma łez, pieczenia w gardle, złości. Tylko jakby ciemność - jakaś czarna chusta, która mu czasem utrudnia oddychanie.

- Tato - mówię.
- Tak. - Podnosi głowę i patrzy na mnie.

- Dziś nie ma szkoły.
- Nie spodziewałem się, że będzie. Która godzina?
- Około dziesiątej.
- Długo spałaś.
- Długo.

Przez okno pracowni, zaraz za sosnami, widzę skrawek jeziora - zieloną taflę w lecie; błękit jesienią, a w zimie po prostu klin bieli. Na lewo od jeziora jest opuszczony stok narciarski z zaledwie trzema torami zjazdowymi. Są też pozostałości wyciągu krzesełkowego i mały szałas na szczycie. Podobno operator wyciągu, jowialny facet o imieniu Al, miał zwyczaj salutować każdemu narciarzowi przy zsiadaniu z krzesełka.

Za polaną, którą wykarczował ojciec, rozciąga się od razu gęsty las. W lecie roi się w nim od komarów i much i zawsze muszę się spryskiwać offem. Ojciec myśli o tym, żeby zbudować ganek, i pewnie za rok czy dwa się do tego weźmie.

- Zjadłaś śniadanie? - pyta.
- Jeszcze nie.
- Są angielskie bułeczki i galaretka.
- Czasem lubię bułeczki z masłem orzechowym.
- Twoja mama mieszała w misce masło orzechowe z twarożkiem - mówi ojciec - a mnie na sam widok tego robiło się niedobrze, ale mama tak bardzo to lubiła, że nie mówiłem, jak nieapetyczna wydaje mi się ta breja.

Wstrzymuję oddech i patrzę w swoją filiżankę. Ojciec prawie nigdy nie mówi o matce, chyba że musi odpowiedzieć na zadane przeze mnie wprost pytanie.

Zaciskam zęby. Wiem, że jeśli pozwolę sobie na łyzy, to na dłuższy czas mogę się pożegnać z jakimkolwiek wspomnieniem mamy, którym ojciec chciałby się ze mną podzielić.

Oczyrna wyobraźni widzę mały obluzowany kamień, mały kamyk, który najpierw się wysuwa do przodu, a potem wypada. Inne kamyki przesuwiają się, próbując wypełnić puste miejsce, ale w dalszym ciągu pozostaje dziurka, przez którą zaczyna przeciekać woda w postaci wspomnień.

- Założę się, że znajdziemy to miejsce. - Usiłuję stworzyć wrażenie, że właśnie w tej sprawie tu przyszedłam. - Jak podejdziemy bliżej, to poznamy je po pomarańczowych taśmach.

Znów przed oczami staje mi maleństwo w śpiworze. Co by było, gdybyśmy nie poszli tam wczoraj na spacer? Zastanawiam się. Co by się stało, gdybyśmy nie znaleźli tej małej? Dochodzę do wniosku, że szczęście jest czymś równie zaskakującym jak pech. Jedno i drugie nie ma żadnej przyczyny -nie jest ani nagrodą, ani karą. Po prostu jest - najbardziej niezrozumiałe ze wszystkich pojęć.

Zastanawiam się, czy policja w dalszym ciągu pilnuje tego miejsca. I decyduję: nie pilnuje, bo i po co miałyby to robić? Zbrodni dokonano, dowody z pewnością zostały zebrane. Wyobrażam sobie śpiwór i zakrwawiony ręcznik bezpiecznie schowane do plastikowych torebek, leżące na półce w komendzie policji. Myślę o detektywie z jego bliźniakiem. O detektywie, który teraz będzie się zajmował inną zbrodnią.

Ojciec milczy.

- Dobrze, to pójdę sama - mówię.

W przedpokoju zdejmuję z haka kurtkę, wkładam czapkę i rękawiczki. Po wyjściu przywiązuję sobie rakiety śnieżne i robię pierwszy krok. Rakiety ślizgają się na lodzie, a ja młóć rękami powietrze, szukając oparcia. Po kilkunastu krokach i jednym poważnym upadku zjeżdżam z powrotem do domu, czepiając się ścian i uważając, by rakiety spode mnie nie uciekły. Jeżeli ojciec nawet widział, jak się ślizgam i przewracam, i jeśli nawet chichotał, to nigdy się z tym nie zdradził.

Wchodzę do domu. Szykuję sobie bułkę z masłem orzechowym i myślę o matce i jej twarożku. Idę na górę, do swojego pokoju, udekorowanego proporczykiem Jankesów i plakatem przedstawiającym Garfielda. Na ścianie maluję wielokolorowy fresk - wszystkie góry zjazdowe w Nowej Anglii - Sunday River, Attitash, Loon Mountain, Bromley, Killington, King Ridge, Sunapee i inne. Naszkicowanie samych zarysów zajęło mi w ubiegłym roku prawie całe ferie świąteczne, ale w sumie wyszła zupełnie niezła mapa. Wszystkie góry, z których zjeżdżałam na nartach, miały czapy śniegu; pozostałe były zielone. Także w moim pokoju jest jedyne dozwolone w domu radio. Zawarliśmy

z ojcem układ, na mocy którego mogę słuchać, czego chcę, byleby dźwięk nie wydostawał się poza obręb mojego pokoju. Czasami ojciec prosi mnie, żebym poszła na górę i wysłuchała prognozy pogody, ale poza tym nie ma do radia żadnych interesów.

Nie mamy też telewizora i nie kupujemy gazet. Zaraz po naszym przyjeździe do New Hampshire ojciec próbował czytać lokalną gazetę. Pewnego ranka zamieścili na pierwszej stronie historię o kobiecie, która cofając się samochodem, przejechała swojego czternastomiesięcznego synka. Ojciec poszedł do kuchni, zgniótł gazetę, wyrzucił ją do pojemnika na śmieci i na tym się skończyło.

W swoim pokoju mam też sztalugi, farby i fotel, który w te rzadkie dni, kiedy nocuje u mnie jedna z koleżanek, można rozłożyć i zrobić z niego pojedynczy tapczanik. Na biurku robię biżuterię z paciorków, a czytam w łóżku. Ojciec zawsze mnie męczył, żebym ścieliła łóżko, dopóki mu nie wytknęłam, że sam tego nie robi, i od tej pory dał mi święty spokój. Nie cierpię chodzenia do pralni i marzę o tym, żebyśmy mieli własną pralkę. Poprosiłam o nią na Gwiazdkę.

Czytając po południu książkę, słyszę coś w rodzaju kapania, przypominającego letni deszcz. Podchodzę do oka i wyglądam. To zaczyna topnieć lód. Świat dokoła domu łagodnieje, zamarznięta skorupa śniegu taje.

Idę do stodoły.

- W porządku - mówi ojciec. - Idziemy.

Ale stawianie kroków w rakietach w ciężkim topniejącym śniegu jest prawie równie trudne jak chodzenie po lodzie. Każdy krok sprawia, że zapadamy się, tracąc równowagę. Nie przeszliśmy nawet trzech metrów, a mnie już bolą nogi. Światło robi się płaskie - najgorsze zarówno do chodzenia, jak i do jazdy na nartach. Nie widzę ani wybrzuszeń, ani zapadlin i chwilami mam takie uczucie, jakbyśmy błądzili we mgle. Przecinamy rodzaj polany, który w lecie byłby trawnikiem, i wchodzimy w las.

Mrużę oczy w paskudnym świetle, próbując iść po płytkich śladach, pozostałych po naszej wczorajszej wyprawie. Od czasu do czasu musimy zgadywać drogę, ponieważ warstwa nawianego świeżego śniegu zamarzła, kryjąc odciski naszych rakiet. Widzę nasze ślady powrotne i

przypomina mi się wczorajszy rozpaczliwy bieg ojca z dzieckiem w ramionach. Dyszę ciężko, ale ojciec jeszcze przyspiesza kroku. Szukamy miejsca, gdzie przestaliśmy podchodzić pod górę i zaczęliśmy zataczać poziome kręgi, kierując się płaczem dziecka. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że mała wołała właśnie nas.

Chodźcie, znajdźcie mnie.

W górze zaczyna cienko zawodzić wiatr, zginając czubki sosen i strącając małe pecyny śniegu na twardą skorupę, która już po chwili jest upstrzona śnieżnymi kulami. Pod kurtką jestem cała mokra. Rozpinam suwak i wpuszczam zimne powietrze, chcąc się trochę ochłodzić. Zdejmuję czapkę i wpycham ją do kieszeni. Odsuwam rękami niskie gałęzie. Wydaje mi się, że straciliśmy ślad, ale ojciec prze do przodu.

Ma dwadzieścia akrów skał, starego lasu i pagórkowatych pól. Całe drewno na wyrób mebli pochodzi z jego ziemi: orzech, dąb i klon, sosna, wiśnia i modrzew amerykański. Miejscowy tartak przerobił mu drewno na gładkie deski, które miały latami leżeć w składzie, zanim zostaną zużyte.

Po jakimś czasie ojciec znajduje nasze wcześniejsze ślady i dalej idziemy już nieco wolniej. Po jakichś piętnastu minutach widzę w oddali skrawek pomarańczowej taśmy.

- O, tam, jest - mówię.

Idziemy do miejsca ogrodzonego przez policję. Taśma została przepleciona między drzewami, zataczając krąg, zwięzający się ku ścieżce prowadzącej do motelu, jak droga dla panny młodej, wracającej ze ślubu. Wewnątrz kręgu, tam gdzie leżał śpiwór, śnieg jest miękki; znajduje się tam odcisk rakiety śnieżnej ojca, obwiedziony cienką czerwoną linią farby w sprayu i podobnie obrysowany odcisk buta numer dziesięć i pół. Żadne z nas nie zauważyło go wczoraj wieczorem. Zastanawiam się, czy policjanci znaleźli latarkę ojca i czy warto zawalczyć o jej odzyskanie. Czy ojciec powiedział o latarce detektywowi Warrenowi? Usiłuję sobie przypomnieć. A może policja myśli, że ta latarka należała do tamtego faceta, i straci masę czasu, próbując go z jej pomocą zidentyfikować?

Obchodzimy obwiedziony taśmą krąg i stajemy tyłem do motelu. Przyglądam się miękkiemu miejscu, w którym leżał śpiwór.

- Tato - pytam - dlaczego ten człowiek włożył dziecko do śpiwora, skoro chciał je zabić?

Ojciec spogląda w górę na nagie gałęzie.

- Nie wiem - odpowiada. - Pewnie dlatego, że nie chciał, żeby zmarzło.

- Ale to nie ma sensu.

Pociągam za plastikową taśmę, chcąc się przekonać, czy jest elastyczna.

- Jak myślisz, jak ją nazwą? - pytam.

- Nie mam pojęcia.

- Może nadadzą jej nasze nazwisko. Może nazwą ją Mała Dillon.

Pamiętasz, jak mówili na Clare? Mała Baker-Dillon?

Przez chwilę stoimy w milczeniu, a ja wiem, że ojciec myśli o Małej Baker-Dillon. Czuję, jak to płynie od niego falami. Mam taśmę owiniętą wokół rękawiczki.

- Tato.

- Co?

- Dlaczego tam, w pokoju motelowym, było tyle krwi i wszystkiego?

Ojciec bierze do ręki trochę miękkiego, mokrego śniegu i zaczyna formować z niego kulkę.

- Kiedy kobieta rodzi, zawsze jest przy tym krew - odpowiada. - I jest też coś, co się nazywa łożyskiem. To łożysko jest pełne krwi, ono odżywia dziecko. I wychodzi po porodzie.

- Wiem o tym - mówię.

- Dlatego ta krew jest czymś naturalnym. Nie znaczy, że kobieta została zraniona czy skrzywdzona.

- Ale to boli, prawda?

W płaskim świetle ojciec wygląda staro. Ma worki pod oczami, niemal zielonkawe i pomarszczone.

- Boli - odpowiada wolno - ale każdy poród jest inny.

- A czy mamę bolało, kiedy ja się rodziłam? Ojciec wali śnieżką w drzewo.

- Bolało - mówi - ale gdyby tu była, z pewnością by ci powiedziała, że po stokroć było warto.

Słyszymy nagle skrzypienie śniegu. Odwracamy się przestraszeni i

widzimy w odległości niecałych trzech metrów detektywa Warrena w czerwonym szaliku na szyi.

- Nie chciałem was przestraszyć - mówi.

- Jasne, że nie chciałeś - mruczy ojciec pod nosem. Warren staje z rękami w kieszeniach. Wygląda jak ktoś, kto ni z tego, ni z owego w samym środku zimy wybrał się na przechadzkę do lasu.

- Byłem u was, ale nikogo nie zastałem, więc na nosa przyjechałem tutaj. - Robi krok do przodu. - Chcieliście jeszcze raz obejrzeć to miejsce, tak?

Podchodzi po śladach pozostawionych wczoraj przez ekipę techniczną, starannie celując butami timberland w poszczególne odciski.

- Ludzie są przewidywalni, panie Dillon - mówi. - Wracamy do miejsc, z którymi wiąże nas jakieś mocne przeżycie. To jest typowe na przykład dla kochanków.

Detektyw zbliża się do nas, ostrożnie stawiając kroki.

- Jest o panu we wszystkich dzisiejszych gazetach, panie Dillon. Zdziwiłem się, że nie ma u pana w domu Kanału 5. Ale, a propos, wasz dom jest szeroko otwarty.

- Wszedł pan do środka, jak rozumiem - mówi ojciec.

- Chciałem panu powiedzieć o małej. Udało mi się podjechać pod sam dom i nie zamierzałem wracać bez zobaczenia się z panem - gdybym naturalnie pana zastał. A, przy okazji, robi pan ładne rzeczy.

Ojciec milczy, nie daje się wciągnąć w rozmowę nawet komplementem.

- Dziecko czuje się dobrze - mówi Warren. Ojciec uderza rakieta w stwardniałą grudę śniegu.

- Jesteśmy po tej samej stronie, panie Dillon - próbuje dalej detektyw.

- Jaką stronę ma pan na myśli?

- Pan znalazł dziecko i uratował mu życie. - Warren wyjmuje z paczki camela i zapala. - Pali pan? - pyta.

Ojciec potrząsa głową, mimo że pali.

- A ja mam znaleźć faceta, który się tego dopuścił - mówi Warren. - Tak to działa. Gramy w jednej drużynie.

- Nie jesteśmy drużyną - odpowiada ojciec.

- Zadzwoń do Westchester - nie daje za wygraną Warren - i rozmawiałem z niejakim Thibodeau. Pamięta pan Thibodeau?

Nawet ja go pamiętam. Policjant Thibodeau przyszedł do nas rano, nazajutrz po wypadku, z nowiną, którą już znaleźliśmy. Ojciec wrzasnął na niego, żeby się wynosił.

- To straszne - mówi Warren. - Ja bym prawdopodobnie zrobił to samo, wyniosłbym się i próbował zacząć życie od nowa. Tylko że nie mam pojęcia, dokąd bym wyjechał. Może do Kanady, do dużego miasta. W mieście można liczyć na anonimowość.

Jeszcze raz pociągam za pomarańczową taśmę.

- Mam dwóch chłopców - ciągnie Warren - osiem i dziesięć lat.

- Idziemy, Nicky - zwraca się do mnie ojciec.

- Muszę złapać tego faceta - mówi Warren.

- Myślę, że nie mamy tu już nic więcej do roboty. - Ojciec udaje, że tego nie słyszy.

Detektyw rzuca w śnieg ledwie zapalonego papierosa. Wyciąga z kieszeni rękawiczki i wkłada.

- Myślę, że wszyscy mamy tu jeszcze dużo do roboty.

Rozdział 5

Po powrocie do domu ojciec dzwoni do doktora Gibsona. Z pokoju wypoczynkowego słyszę, jak rozmawia w kuchni.

- Jestem ciekaw, jak się czuje dziecko - mówi do słuchawki.
- To znaczy, że dobrze, tak?
- A gdzie ona jest teraz?
- I jak długo tam będzie?
- Czy ma już jakieś imię?
- Mała Doris... -powtarza ojciec. Robi wrażenie zdziwionego, wręcz zaskoczonego. - Twierdzi pan, że trafi do rodziny zastępczej, tak?
- Na to wygląda...

Doktor musiał zrobić jakąś uwagę na temat rodziny zastępczej i adopcji, bo ojciec mówi:

- Tak, zimno.

Słyszę, jak nalewa sobie kawę.

- A kiedy system nie działa, to co się dzieje?
- Będzie odpowiadała przed sądem...
- Dziękuję - mówi ojciec. - Chciałem się po prostu upewnić, że z

dzieckiem wszystko w porządku.

Odkłada słuchawkę, a ja wchodzę do kuchni. Ojciec popija letnią kawę i wygląda przez okno.

- Hej - mówi na mój widok.
- Z małą wszystko w porządku? - pytam.
- Wszystko w porządku.
- Nazwali ją Mała Doris?
- Podobno. - Ojciec stawia kubek na stole. - Jadę do Sweetsera.

Jedziesz ze mną?

Akurat tego nie trzeba mi dwa razy powtarzać.

Ojciec przytrzymuje mi drzwi i wchodzimy do sklepu żelaznego. Pan Sweetser podnosi głowę znad gazety, rozłożonej na kontuarze koło kasy.

- Nasz miejscowy bohater - mówi.
- Widzę, że już pan słyszał - odpowiada ojciec.
- Proszę, niech pan sam zobaczy.

Podchodzimy z ojcem do kontuaru. W gazecie, znanej ze szkolnych wiadomości sportowych, niedzielnych komiksów i kuponów, widzę nagłówek: „Noworodek znaleziony w śniegu”. I pod spodem, drobniejszym drukiem: „Miejscowy stolarz znajduje żywego noworodka w zakrwawionym śpiworze”. Nachyliłam się nad kontuarem i czytam gazetę razem z ojcem. Reporter dość wiernie opowiedział historię. Wspomina o motelu, o volvo, o granatowej dwurzędowej kurtce. I ani słowa o mnie.

- Błędnie napisali wasze nazwisko - mówi Sweetser.
- Tak, widziałem - odpowiada ojciec. Dylan. Zawsze to samo.
- Wyciąć wam ten kawałek? - pyta sklepikarz. Ojciec potrząsa głową.
- No więc niech pan mówi, jak to było? - domaga się Sweetser.

Ojciec rozpiną suwak kurtki. Sklep jest ogrzewany stojącym w kącie kapryśnym piecykiem na drewno i temperatura waha się między trzydzieści dwa a piętnaście stopni. Dzisiejszą oceniam na dwadzieścia sześć.

- Byliśmy z Nicky na spacerze i nagle usłyszeliśmy płacz - mówi ojciec. - W pierwszej chwili myśleliśmy, że to jakieś zwierzę. Ale potem usłyszeliśmy, jak ktoś zamyka drzwi samochodu.

- Dziecko było w śpiworze? - pyta Sweetser. Ojciec kiwa głową.

- Niesamowite. - Sweetser przygląda kosmyki różowawych włosów. Zgolił brodę, odsłaniając cofnięty podbródek i nienaturalnie białą skórę, jak świeżo wyliniałe zwierzę. - Człowiek by się nigdy nie spodziewał.

- Pewnie, że by się nie spodziewał - potwierdza ojciec.
- Jak w tych bajkach, co to je żona czyta dzieciakom. Stolarz idzie do lasu i znajduje niemowlę.
- W bajce to by była księżniczka - mówi ojciec.
- Wam się coś takiego powinno przytrafić. - Sweetser stara się być

miły.

Jak na sklepikarza z zabitej deskami dziury, gdzieś między Hanover i Concord, ma imponujący wybór narzędzi. Twierdzi, że lubi czuć ich ciężar i kształt, tak samo jak mój ojciec. Za półkami, pełnymi narzędziami, znajdują się inne półki - z naczyniami z pyrexu, pudełkami nawozu sztucznego Miracle-Gro (zakurzonymi teraz, po sezonie) i puszkami farby Sherwin-Williams. Przy sklepie jest rodzaj przypominającego szopę aneksu, w którym Sweetser sprzedaje antyki. Słowa „antyki” nie należy traktować zbyt poważnie, w większości są to meble z lat sześćdziesiątych.

- A ta para w piątek do was dotarła? - pyta.
- Jaka para?
- Posłałem panu dwoje turystów, którzy pytali o stół shaker.

Powiedziałem, że pan robi stoły podobne do shakerów.

- Nikogo u mnie nie było.
- Bo wasza droga jest do kitu.

Od chwili, kiedy się sprowadziliśmy do miasta, Sweetser mówi, że nasza droga jest do kitu. Mimo to od ponad roku przysyła ojcu klientów. Ale jak do tej pory zaledwie kilka osób zdołało się do nas przedrzeć, tylko że jeśli się to już komuś uda, nigdy nie wychodzi z pustymi rękami.

- Potrzebna mi jest poziomnica - mówi ojciec.
- A co się stało ze starą?
- Stłukłem libelkę.
- To nie jest takie łatwe.
- A jednak się udało.

Ojciec podchodzi do półki z poziomnicami. Jego stara poziomnica, która działała bez zarzutu, dopóki nie stłukł o lodówkę szklanej libelki, miała metalową szynę. Ojciec bierze do ręki drewnianą. Jedne mają libelki owalne, inne łukowate. Ojciec pokazuje mi poziomnicę ze skalą trzystusześćdziesięciostopniową.

- Idę do Remy po kawę - mówi Sweetser, wkładając żółtą kraciastą marynarkę. - Może przynieść i dla pana?
- Nie, dziękuję - odpowiada ojciec.
- Może ciastko?

- Nie, dziękuję, jadłem śniadanie.
- A ty, Nicky? - zwraca się do mnie Sweetser.
- Ciastko kawowe Drake'a? - pytam.
- Ona chce ciastko - oznajmia sklepikarz.

Po wyjściu Sweetsera mówię ojcu, że potrzebna mi jest biała farba.

- Po Bożym Narodzeniu będziemy z Jo zjeżdżały z Gunstock.
- To już ile zaliczyłaś? - pyta ojciec.
- Siedem - odpowiadam, mając na myśli białe wierzchołki na mojej

mapie ściennej.

- Kiedy jedziesz?
- Zaraz po świętach.
- Czy już definitywnie się umówiłaś?
- A o co chodzi? Nie mogę jechać?
- Będzie jeszcze u nas babcia - wyjaśnia ojciec.
- To co, nie mogę jechać na narty? - pytam, ale już z nutą agresji w

głosie. Teraz w ciągu niecałych pięciu sekund potrafię wpaść we wściekłość.

- Owszem, możesz. Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś przedtem spytać. Mogłem mieć jakieś plany. Mogłem zaplanować jakieś wyjście.

- Tato - mówię z niedowierzaniem - przecież my nigdy nigdzie nie wychodzimy.

Biorę puszkę białej farby i idę oglądać antyki. Jest klonowa sypialnia i rozwalająca się zielona sofa. W rogu stoi szafa grająca. Zastanawiam się, czy działa.

Sweetser ramieniem otwiera sobie drzwi i wchodzi z kawą i ciastkiem Drake'a. Ojciec wybiera poziomicę z nieruchomą libelką. Kładzie ją na kontuarze i płaci. Razem z resztą Sweetser daje ojcu mały prostokątny wycinek z gazety.

- Mimo wszystko wyciąłem - mówi.

Wyjeżdżamy z parkingu. Poziomica i wycinek z gazety leżą u mnie na kolanach. Kierujemy się w stronę domu. Napocynam ciastko, obsypując okruchami przód kurtki.

- Tato - mówię - trzeba kupić coś do jedzenia.
- Sporządziłaś listę zakupów?
- Nie, ale nie mamy mleka ani płatków. Skończył się chleb.

Potrzebujemy Bologny. I czegoś na obiad.

- Wolałbym uniknąć chodzenia do Remy - mówi ojciec. - Mam już powyżej uszu występowania w roli lokalnego bohatera.

Ojciec robi skręt o sto osiemdziesiąt stopni i kieruje się do Butson's Market, sklepu położonego poza miastem, do którego można było czasem wejść, nie spotykając nikogo znajomego. Mijamy stację benzynową Mobil i Shepherd Village School, jednoklasową szkołę, wybudowaną w 1870 roku. W szkole jest siedziba K-6; funkcję boiska pełni wyżwirowany teren przed budynkiem. Starsi uczniowie dojeżdżają specjalnym autobusem do Szkoły Regionalnej. Mnie zajmuje to czterdzieści minut w jedną stronę.

Obok szkoły znajduje się kościół kongregacyjny, biały szalowany budynek z długimi oknami i czarnymi żaluzjami. Kościół ma dwuspadowy stromy dach i wieżę z dzwonem. Ani ojciec, ani ja nie byliśmy nigdy w środku.

Mijamy trzy rezydencje miasta - każda położona na wzgórzu - z których dwie pamiętają lepsze czasy. Mijamy Serenity Carpets, beżową przyczepę mieszkalną, ochotniczą straż pożarną (w każdy czwartkowy wieczór o szóstej trzydzieści - bingo) i Nieruchomości Croydona, do których trafiliśmy zaraz po przyjeździe do miasta i gdzie w dalszym ciągu można kupić dom za dwadzieścia sześć tysięcy - może nie jakiś nadzwyczajny, ale zawsze dom. W lecie jeździmy sobie czasem po okolicy w celach krajoznawczych, zapuszczając się w różne bezdroża i nieraz znajdujemy niewielkie enklawy zaskakująco dobrze utrzymanych domostw. „Z czego oni żyją?” - pyta za każdym razem ojciec. Kiedyś spotkaliśmy łosia - siedł sobie wolno przed naszym samochodem, całkowicie tarasując wąską drogę. Jechaliśmy za nim przez jakieś dwadzieścia minut w tempie niecałych dziesięciu kilometrów na godzinę, nie mając odwagi go minąć, mogliśmy za to podziwiać wdzięczne ruchy zadu truchtającego zwierzęcia.

Za Nieruchomościami Croydona ciągnie się ponad sześć kilometrów pustkowiec - po prostu las i strumień płynący równoległe do drogi. Ojciec zwalnia, mijając pierwszą grupę budynków po przerwie, wśród nich szpital Miłosierdzia, mieszczący się w dawnym trzypiętrowym hotelu, który zmienił przeznaczenie w latach trzydziestych. I mimo że

dobudowano do niego nowoczesne skrzydła, nad wejściem do głównego budynku w dalszym ciągu widnieje napis „Hotel De Wolfe, 1898”.

- Zatrzymajmy się, tato - mówię. - Chciałabym ją zobaczyć.

Ojciec wpatruje się w szpital. Wiem, że i on chciałby zobaczyć małą. Jednak po upływie kilku sekund potrząsa głową.

- Za dużo biurokracji - odpowiada, przyspieszając.

Za szpitalem jest ciąg sklepów, do których się kierujemy.

Zatrzymujemy się przed znakiem z szyldami: „Liquor Outlet”, „Butson's Market”, „Family Dollar”, „Frank Renata D.D.S.”.

Mleko - myślę. - Cheerios. Kawa. Kurczaki. Ser żółty. Mięso na hamburgery. Może trochę ciasteczek ring dings.

Po zrobieniu zakupów na cały tydzień ojciec wraca tą samą drogą: mijamy szpital, potem przerwę w zabudowaniach, Nieruchomości, trzy rezydencje i wreszcie położone naprzeciwko siebie, po dwóch stronach ulicy, dom towarowy Remy i Sweetsera. Nasza droga znajduje się niecałe dziesięć kilometrów za miastem. Mijamy domy z frontowymi gankami pełnymi leżanek, plastikowych zabawek i pustych butli gazowych. Jeden z tych domów to mały biały budynek z drewna z małym ogrodzonym podwórczkiem z tyłu. Frontowy ganek jest wypełniony rowerami, rowerkami trzykołowymi, a także kijami bejsbolowymi i hokejowymi. O obecności chłopców w domu świadczy też wywieszona na sznurze pranie: podkoszulki w różnych rozmiarach, dżinsy, koszulki hokejowe albo kąpielówki - w zależności od pory roku. Pośród tego wszystkiego widzę czasem stanik, haleczkę czy ładną nocną koszulkę. Przejeżdżając tędy w zimie, jesteśmy czasem świadkami zmagania kobiety ze zmarzniętymi na kość prześcieradłami. Wyglądają jak tektura, którą kołysz wiatr. Zawsze do niej macham, a ona uśmiecha się i też do mnie macha. Czasem w lecie, jadąc na rowerze, mam ochotę zatrzymać się, przywitać i wejść do domu, gdzie, jak sobie wyobrażam, musi panować straszliwy bałagan.

Ojciec wjeżdża na podjazd.

- Kupiłaś spaghetti? - pyta.

- I sos ragout - odpowiadam.

Parkuje na stałym miejscu koło stodoły. Gasi silnik.

- Może być na kolację? - pyta.

- No pewnie - odpowiadam.
- Kupiłem jogurty.
- Widziałam.
- I lody orzechowe. Twoje ulubione.
- Tato? - zagaduję.
- Skąd dla tej małej wzięli imię Doris?

Ojciec nerwowym ruchem sięga po papierosy, ale uświadamiając sobie moją obecność w samochodzie, rezygnuje.

- Nie wiem. Może tak ma na imię jedna z pielęgniarek.
- A mnie się to kojarzy z nazwą huraganu.
- Pewnie przyjęli jakiś system.
- Myślisz, że jest aż tyle porzuconych dzieci?
- Nie sądzę. Mam nadzieję, że nie.
- To bardzo staroświeckie imię - mówię, opierając się o drzwi.

Ojciec trzyma rękę na klamce, jakby chciał jak najprędzej wysiąść z samochodu.

- Rzeczywiście, w dzisiejszych czasach to dziwne imię dla noworodka - przyznaje.

- Co się z nią stanie? - pytam. - Mówił ci doktor Gibson?
- Pójdzie do rodziny zastępczej. - Ojciec uchyla drzwi.
- I będzie miała nową mamę i tatę, i nowych braci i siostry?
- Najprawdopodobniej.
- To nie jest w porządku.
- Dlaczego nie jest w porządku?
- Że my nie będziemy wiedzieli, gdzie ona jest.
- Tak to musi być, Nicky. - Ojciec otwiera drzwi, dając sygnał, że

rozmowa się skończyła.

- Tato? - pytam.

- Słucham.

- A dlaczego my nie możemy jej mieć? Moglibyśmy ją stamtąd zabrać, żeby była z nami.

Pomysł jest jednocześnie przerażający i wspaniały. W swojej dwunastoletniej głowie wykoncypowałam prostą możliwość zastąpienia jednego dziecka drugim. Ale zaraz po wypowiedzeniu tych słów i zerknięciu na twarz ojca widzę, co zrobiłam. Mimo to, jak przystało na

dwunastolatkę, staje się agresywna.

- A niby dlaczego nie? - pytam nadąsana, tonem osoby niezrozumianej i obrażonej, tonem, który wkrótce miałam opanować do perfekcji. - Czy nie czułbyś się tak, jakby wróciła do nas Clara? Może to zrządzenie losu?

Ojciec wysiada z samochodu. Bierze głęboki oddech.

- Nie, nie czułbym się tak, Nicky. Clara to była Clara. A to dziecko jest kimś zupełnie innym. Nie należy do nas, żebyśmy je mogli sobie ot tak po prostu wziąć. - Ojciec spogląda na stodołę, a potem znów na mnie. - Pomóż mi wnieść do domu te zakupy, zanim lody się rozpuszczą.

- Tato, na dworze jest mróz. Lodom nic się nie stanie. -Ale mówię to już do jego pleców. Zdążył tymczasem zamknąć drzwi i wyjąć z samochodu torbę z zakupami. Patrzę, jak ciężkim krokiem idzie w stronę domu.

Rozdział 6

Tej nocy znów zamarza śnieg i wieje okrutny wicher. Budzi mnie trzask gałęzi pękających pod ciężarem lodu. Trzaski przypominają strzały z broni palnej - jedne przytłumione, inne ostre jak fajerwerki. Hałas wyciąga mnie z łóżka o świcie i już przy oknie czekam, aż się rozwidni. Las za polaną jest usiany połamanymi drzewami, których gałęzie leżą na ziemi; wygląda to jak po przejściu huraganu.

Słyszę kroki ojca na schodach. Wkładam szlafrok i kapcie i zastaję go w kuchni przy ekspresie do kawy. Stoi oparty o zlewozmywak, w samych skarpetach, we flanelowej koszuli, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Ma na sobie te same dżinsy, które nosił przez cały tydzień, a jego zarost domaga się maszynki.

- Tato - mówię - może powinieneś się ogolić.

- Zastanawiam się nad zapuszczeniem brody. - Ojciec przeciąga ręką po policzku.

- Może lepiej się ogól.

Z ekspresu zaczyna ciurkać cienki strumyczek kawy.

- Drzewa nie dają ci spać, tak? - pyta ojciec.

- Obudziły mnie.

- Wiosną będzie dużo sprzątania. - Pochyla się lekko i wygląda przez okno. - Trochę się niepokoję o nasz dach, taki ciężki ten śnieg i tyle lodu. Za mało smoły mamy z frontu. Powinienem był się tym zająć jesienią. Nie cierpię robót na dachu.

- Dlaczego?

- Mam zawroty głowy.

- A co to są zawroty głowy? - pytam.

- Lęk wysokości. Kręci mi się w głowie.

Tego nie wiedziałam o moim ojcu. Zastanawiam się, czego jeszcze o

nim nie wiem. Ojciec napełnia kubek kawą. Otwieram lodówkę i wyjmuję mleko.

- Muszę wejść na dach i go odmieść - mówi.

- Ja ci pomogę - ofiarowuję się entuzjastycznie. Sama myśl o tym, że mogłabym wleźć na dach i rozejrzeć się stamtąd po naszym małym królestwie, wydaje mi się podniecająca.

- Nie cierpię robót na dachu - powtarza ojciec - ale z drugiej strony nie chciałbym mieć tu całej ekipy na karku.

Nie musi mi tego mówić.

- Jeszcze tydzień i zaczniesz ferie.

Na święta, tak jak zawsze, przyjedzie babcia i będzie nam gotowała, i porozwiesza skarpety na prezenty, i w ogóle - jak to ona mówi - „urządzi nam przyzwoitą Gwiazdkę”. Ojciec to wszystko odbębni, ale ja lubię ciasteczka, kandyzowaną skórkę pomarańczową i widok prezentów pod choinką.

- Lepiej się ubierz - mówi ojciec - bo nie zdążysz na autobus.

- Może najpierw sprawdzimy, czy nie będzie padało. A jeśli znów zerwie się śnieżyca?

- Myślę, że jednak powinnaś się ubrać.

W szkole jestem sławna. Chociaż gazety o mnie nie wspominały, to jednak jakoś wszyscy wiedzą, że byłam z ojcem, kiedy znalazł dziecko. Wszyscy pytają mnie o szczegóły, którymi chętnie służę. Opowiadam o tym, jak usłyszeliśmy płacz, jak znaleźliśmy małą i odwieźliśmy ją do szpitala, i jak byliśmy przepytывani przez detektywa.

- I ten śpiwór był zakrwawiony? - pyta mnie w szatni Jo. Jo jest prawie wzrostu mojego ojca. Ma opadające na ramiona blond włosy i wygląda jak rzeźba bogini na dziobie łodzi wikingów.

- Trochę. Zakrwawiony był głównie ręcznik.

- To znaczy, że przy urodzeniu dziecka jest krew? - pyta.

- Oczywiście.

- A skąd ta krew się bierze?

- Z łóżyska - wyjaśniam, bębniąc w szafkę.

- O - mówi zaskoczona Jo.

Kiedy przyjechałam do New Hampshire, fakt, że jestem z Nowego Jorku, został uznany za egzotyczny. Ale to, że nie jestem „masochistką”

- jak miejscowi nazywają swoich sąsiadów ze stanu Massachusetts, położonego na południe od nich - z pewnością liczyło mi się na plus. Mimo to zrozumiałam, że muszą minąć co najmniej dwa pokolenia, a może nawet trzy, nim tutejsi ludzie przestaną nas traktować jak „nowych”.

W szkole mam dwoje przyjaciół - boginię wikingów i Rogera Kelly'ego. We trójkę jadamy lunch, mamy niektóre zajęcia wspólne, a z Rogerem jestem w szkolnym zespole muzycznym. Jednak spotkanie się z Jo czy Rogerem po lekcjach albo w weekendy jest trudne - wszystko trzeba zaplanować naprzód. Matka Jo nie ukrywa, że nie lubi do nas jeździć, poza tym wydaje mi się, że uważa mojego ojca za faceta podejrzanego. Jeśli umawiamy się na wizytę z nocowaniem, to zwykle ja jadę do Jo. Z Rogerem oczywiście u siebie nie nocujemy, ale czasami po szkole grywamy razem w koszykówkę i wtedy wracam do domu ostatnim autobusem.

Kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, miałam więcej niż dwoje przyjaciół. W samej tylko naszej szkole podstawowej były cztery czwarte klasy, a tylko w naszej dzielnicy - trzy szkoły podstawowe. Często nocowałam u koleżanek, i to nieraz w tym samym domu. Chodziłam na lekcje tańca i na gimnastykę, należałam do skautów. Miałam lawendowo-białą sypialnię i łóżko z baldachimem, a na grubym dywanie mogłam bez trudu położyć sześć czy siedem dziewczynek w śpiworach. Najpierw oglądałyśmy filmy w salonie, a potem, o jedenastej, czyli najpóźniej, jak pozwalali nam rodzice, szłyśmy na górę. Malowałyśmy sobie paznokcie albo grałyśmy w Truth or Dare aż do północy, by wreszcie paść wśród chichotów, starając się jednak nie obudzić rodziców, którą to sztukę stale doskonaliłyśmy.

Kiedy Clara skończyła sześć miesięcy, rodzice przenieśli ją do jej pokoju, sąsiadującego z moim. Moje przyjaciółki lubiły się z nią bawić, próbowały nawet pleść jej warkoczyki, ale miała za mało włosów. Jej pokój był żółto-pomarańczowo-niebieski, głównie dlatego, że jedną ścianę pomalowałam w żółte, pomarańczowe i niebieskie rybki różnych kształtów i rozmiarów, jakich nie ma w naturze, nawet na Karaibach. Po przeprowadzce do New Hampshire zastanawiałam się nieraz, co nowi właściciele zrobili z tym pokojem: czy zostawili pływające w wodzie

żółte, pomarańczowe i niebieskie rybki, czy też wymazali moje dzieło i pomalowali ścianę na biało, tak jak nasza rodzina została wymazana z życia za sprawą jednego wielkiego walca drogowego.

Na początku, zaraz po przyjeździe do Shepherd, byłam jak świeża rana - potrafiłam nagle wybuchnąć płaczem, co było trudne do ukrycia w jednoklasowej szkółce. Żeby jakoś pokryć ten brak równowagi emocjonalnej, przyjęłam pozę znużenia i wyższości - jako dziewczyna z Nowego Jorku dawałam do zrozumienia, że jestem lepsza od swoich rówieśników i że nie muszę nawet uważać na lekcjach. Stopniowo wyprowadzano mnie z błędu, aż wreszcie w maju udało mi się dogonić klasę w matematyce.

Wśród krzewów na naszej działce był gąszcz malin, na który natknęliśmy się z ojcem pewnego lipcowego dnia pierwszego roku w New Hampshire. Nazbieraliśmy malin i przez jakiś czas jedliśmy je dosłownie ze wszystkim - z owsianką, z lodami, ze stekiem. Ponieważ jednak okazało się, że mamy więcej malin, niż możemy we dwójkę zjeść, postanowiłam sprzedawać je na końcu naszej drogi. Ojciec poradził mi, żebym spytała Sweetsera, czy przypadkiem nie wie, gdzie można by kupić kilkadziesiąt łubianek na owoce. Sweetser, który potrafił na zawołanie sprokurować dowolną rzecz, sprzedał mi kilka stert łubianek za pięć dolarów, ale nie wziął pieniędzy, nazwał to pożyczką, którą z wielką dumą spłaciłam mu pod koniec pierwszego tygodnia.

Co rano, ubrana w drelichowe krótkie spodnie i pastelową koszulkę, zbierałam maliny do zawieszzonego na ramieniu kosza. Kiedy kosz był pełen, jechałam z nim na rowerze na sam koniec naszej drogi gruntowej. Tam miałam rozstawiony kartonowy stolik i plastikowe krzesło ogrodowe. Napełniałam łubianki malinami, siadałam i czekałam. Mogłam liczyć co najmniej na czworo klientów dziennie. Byli to: kobieta, której nazwiska nigdy nie poznałam, ale która najwyraźniej miała sporo gości; pani Clapper, chodząca po domach pielęgniarka, która codziennie brała łubiankę dla jednej ze swoich pacjentek; pan Bolduc, który codziennie rano przejeżdżał tędy w drodze do miasta po gazetę i pocztę, no i pan Sweetser, który nie miał żadnego wyraźnego powodu, żeby się tu znaleźć, ale który chyba nie opuścił ani dnia. Czasem trafiało mi się ze czworo czy pięcioro klientów, dla których widok dziewczynki

sprzedającej maliny przy tej odległej leśnej drodze musiał być tak dziwny, że czuli moralny obowiązek, by się zatrzymać. W sumie to przedsięwzięcie zajmowało mi - godzinę zbieranie malin, po dwadzieścia minut jazda tam i z powrotem na rowerze i jakieś cztery godziny przy stoliku - około sześciu godzin. Sprzedawałam maliny po siedemdziesiąt pięć centów łubianka i przy odrobinie szczęścia potrafiłam zarobić sześć dolarów dziennie. A zatem sześciodniowy tydzień pracy (czasem, kiedy padało, chroniłam się pod starą parasolką) przynosił mi sumę trzydziestu sześciu dolarów, co dla dziesięcio-, a później jedenastoletniej dziewczynki było fortuną. Siedząc na krześle, czasem czytałam, ale najczęściej patrzyłam w przestrzeń, zatrzymując wzrok na kochających się paziach królowej albo na kwiecie dzikiej marchwi, który potrafił otworzyć się przez noc. Tego lata nauczyłam się śnić na jawie, na przykład, że Clara żyje i rozwija się. Tego pierwszego roku miałyby prawie dwa lata i byłaby pewnie dosyć dokuczliwa, ale ja ją sobie wyobrażałam, jak chodzi wśród traw i kwiatów polnych, które w swoich żółciach i purpurach kryły ją aż po czubek głowy, albo jak sięga po maliny i przewraca łubiankę. Wyobrażałam sobie, jak Clara leży na brzuchu, na moim stoliku, i drzemie, a ja ją gładzę po plecach.

W niedzielę przypada rocznica śmierci mamy i Clary. Pamiętamy o tym oboje, ale żadne z nas przez cały dzień o tym nie wspomina. To, że ojciec wie, poznaję po tym, że cały czas chodzi od domu do stodoły i z powrotem tak, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Patrzy na mnie, kiedy myśli, że tego nie widzę. Chce coś powiedzieć, ale się boi, co z nami będzie, jeśli sobie na to pozwoli. Bierze prysznic w południe, czego prawie nigdy nie robi, i dłuższy czas siedzi w swojej sypialni, gdzie, jak wiem, stoi zdjęcie mamy ze mną i z Clarą. Mam dwanaście lat i w pełni zdaję sobie sprawę z ważnych wydarzeń i rocznic i uważam, że ten dzień powinien być w jakiś sposób uczczony.

- Tato - mówię, kiedy ojciec wreszcie wychodzi ze swojego pokoju.
- Czy moglibyśmy pojechać do marketu Butsona?
 - Po co? - pyta ojciec.
 - Wydaje mi się, że tam sprzedają kwiaty. Nie pyta mnie, po co mi kwiaty.

Od dwóch dni świeci słońce, więc mam rozpiętą kurtkę, a ojciec jest

tylko w swetrze. Ogolił się, ma umyte włosy i nie muszę się go wstydzić, co stanowi postęp w stosunku do ubiegłego roku. W pierwszą rocznicę wypadku ojciec cały dzień przesiedział w stodole bez ruchu. Czułam się bardzo samotna i potrzebowałam pociechy, ale nie miałam odwagi wejść do stodoły i zobaczyć tego, co bym musiała zobaczyć: taty siedzącego z uchylonymi ustami, jakby miał zapchany nos, i z oczami tępo wpatrzonymi w przestrzeń, widzącymi tylko obrazy z przeszłości. Oglądałam więc album, robiłam naszyjnik z paciorków, rozmawiałam z babcią, która zadzwoniła, a potem płakałam tak długo, aż babcia się uparła, żebym w końcu poprosiła tatę.

W markecie Butsona ojciec szuka płynu do mycia naczyń, a ja stoję przed chłodzonymi półkami pełnymi bukietów. Są margerytki i goździki, gipsówka i róże i mimo że bukiety wydają mi się, z grubsza biorąc, jednakowe, to długo się zastanawiam, który wybrać. Goździki mają sztucznie różowy kolor i to mnie denerwuje. W jednym z bukietów, prawie całkowicie żółtym, tkwi w środku jakiś niesamowity kwiat, który może być lilią.

- O, ten jest ładny - mówi ojciec, pokazując na bukiet prawie całkowicie lawendowo-biały.

- Co to za kwiaty, te niebieskawofioletowe? - pytam.

- Nie wiem.

- Czy myślisz, że mamie by się podobały?

- Myślę, że tak.

W drodze do domu cały czas trzymam bukiet w ręku i zastanawiam się, gdzie go postawić. W szafce kuchennej mamy duży słój. Włożę w niego kwiaty, ale nie zostawię ich w kuchni. Mogłabym je postawić na stoliku w pokoju wypoczynkowym, ale to mi się wydaje za banalne. Jeśli zaniosę kwiaty do pokoju ojca, to ich nie będę widziała. Ostatecznie decyduję się postawić bukiet na półce w przedpokoju. Siadam na ławce naprzeciwko i go podziwiam.

- Ładnie wyglądają - mówi ojciec, wychodząc do pracowni.

Ale coś mnie w dalszym ciągu niepokoi. Kwiaty w domu wydają się niestosowne, a co ważniejsze, boję się, że mama i Clara nie będą mogły ich widzieć. To jest naturalnie nielogiczne, bo skoro stały się duchami, które widzą z góry aż do ziemi, to z całą pewnością widzą też przez

mury domów, nie mogę się jednak wyzbyć tego uczucia. Wkładam kurtkę i wynoszę słoń na skraj polany pod las. Stawiam go w śniegu.

Robię krok do tyłu. W słońcu kwiaty wydają się bardziej żywe. Wiem, że do rana zwiędną, ale czuję, że właśnie tu powinny stać.

Myślę o mamie i Clarze. Zamykam oczy. Widzę je bardzo wyraźnie. Powtarzam to od czasu do czasu, żeby obraz był ostry. W mojej wyobraźni czuję ich ciepło, zapach i ruch - skarby, na których utratę nie mogę sobie pozwolić.

Ostatniego dnia przed rozpoczęciem ferii świątecznych mamy w szkole zabawę. W Nowym Jorku obchodziliśmy zawsze łącznie święto Chanuki z Bożym Narodzeniem, ale w New Hampshire obchodzimy tylko Boże Narodzenie; w tej szkole nie ma amatorów Chanuki. Wymieniamy prezenty, a chłopaki dostają małego rozumu, ponieważ mamy pół dnia wolnego. Wylosowałam Molly Curran, a ponieważ mam od zawsze skłonność do dawania tego, co sama chciałabym dostać, kupiłam jej cały zestaw emalii do paznokci. Sama dostałam taśmę z nagraniem zespołu The Police od Billy'ego Brocka, który ma najwyraźniej tę samą skłonność co ja, a na dodatek prawie mnie nie zna i nie wie, że nie mam odtwarzacza. W drodze powrotnej do domu, w autobusie, zastanawiam się, czy zamiast pralki pod choinkę nie poprosić ojca o magnetofon. A może jeszcze nie za późno poprosić o jedno i drugie? - myślę.

Wieszam kurtkę i idę do ojca do pracowni. Jest całkowicie pochłonięty przygotowaniami do klejenia, czynności bardzo precyzyjnej i delikatnej, która w ciągu piętnastu minut potrafi zniszczyć efekt wielu tygodni ciężkiej pracy. Trzeba posmarować powierzchnie klejem, zetknąć je razem, odpowiednio docisnąć, sprawdzić kąt prosty, wreszcie usunąć nadmiar kleju - i to wszystko w ciągu półtorej minuty. Ojciec robi szufladę, pierwszą z dwóch, do małego kredensiku, który musi skończyć przed świętami. To jego pierwsze zamówienie.

- Jak było w szkole? - pyta.
- Dobrze.
- Ostatni dzień.
- Aha.
- Jak się udała zabawa?

- Dobrze.
- Co dostałaś?
- Taśmę The Police.

Patrzę tacie w oczy i mam nadzieję, że myśli: magnetofon, dobry prezent gwiazdkowy dla Nicky.

Mija tydzień i dwa dni od chwili, kiedy poszliśmy do lasu i znaleźliśmy dziecko. Od tamtej pory nie mogę się pozbyć myśli, co by się stało z Małą Doris, gdybyśmy jej nie znaleźli. Oczyma duszy widzę śpiwór jako zamrożony kokon, z długimi sopłami lodu sterczącymi dokoła niczym sztylety. Dzwoniąc do doktora Gibsona po raz drugi, ojciec dowiedział się, że dziecku nie trzeba będzie amputować palców u nóg. „To jest mały zuch” - powiedział doktor i ten komentarz nappełnił mnie dumą. Dowiedzieliśmy się też, że mała zostanie dziś zabrana ze szpitala przez służby społeczne i zawieziona do rodziny zastępczej. Ta informacja bardzo mnie zdenerwowała, wołałabym, żeby Mała Doris została w szpitalu, żeby tam po prostu była. Nie powiedzą nam, dokąd trafi. Cała ta procedura - ze swoją anonimowością i nową obsadą: nowa matka, nowy ojciec, nowi bracia i siostry - przypomina mi program ochrony świadka. Nie zdradzą nam nawet nowego nazwiska dziecka. Dla nas ona na zawsze pozostanie Małą Doris.

Wracam do domu, do kuchni, gdzie robię sobie kubek gorącej czekolady. Wsadzam bułkę do tosterka, cały czas mając przed oczami mamę mieszającą w misce twarożek z masłem orzechowym. Wczoraj dla odmiany widziałam mamę w ogródku: stała pochylona, szorty podjechały do góry, widać było opalone nogi. Ojciec kosił trawę kosiarką John Deere, kierując się w stronę mojej huśtawki. Ale ponieważ patrzył na mamę (usiłując, tak jak mi się teraz wydaje, zobaczyć ją dobrze z przodu), wjechał prosto w huśtawkę. Przód kosiarki podbił huśtawkę do góry, a ojciec odskoczył do tyłu i odturlał się z drogi. Kiedy upadł, silnik zgasł, ale kiedy wstał, kosiarka, w dalszym ciągu uwikłana w huśtawkę, nosem wskazywała w niebo. Mama zaczęła się śmiać, przysłaniając usta wierzchem dłoni.

A znowu wczoraj wieczorem przypomniało mi się, jak mama leży obok ojca na ich łóżku i luźne ramiączko koszulki, w której sypiała, odsłania jej wezbraną pierś. Rozmawiali cicho, żeby nie obudzić

zaledwie tygodniowej Clary, śpiącej tuż obok w łóżeczku. O czym rozmawiali? Dlaczego weszłam do ich pokoju? Nie pamiętam. Podczas gdy rodzice szeptali, na koszuli mamy, u góry, zaczął rozkwitać z zadziwiającą szybkością mokry kwiat wyciekającego pokarmu. Pamiętam, jak mama sięgnęła ręką do piersi i jak szepnęła do ojca: „Och, Rob, och, popatrz”.

W kuchni czuję dym. Bułka utkwiała w tosterze. Wyciągam wtyczkę z gniazdka i widelcem wydłubuję spalony na węgiel kawałek, który następnie wyrzucam łukiem do zlewozmywaka.

Nagle słyszę stukanie i wydaje mi się, że to gałąź stuka o dom. A potem dostrzegam w tym pewną regularność: trzy stuknięcia, przerwa. I znów trzy stuknięcia. I znów przerwa. Przychodzi mi na myśl, że to może być detektyw, i zastanawiam się, czy powinnam powiedzieć, że ojca nie ma w domu. A jeśli detektyw do nas wtargnie i przekona się, że kłamię? Czy mogę odpowiadać przed sądem za okłamanie przedstawiciela prawa? Idę do przedpokoju i otwieram drzwi.

W progu stoi jakaś para, za nimi widzę, że zaczął padać lekki śnieg. Kobieta ma duże prostokątne okulary w niebieskawej oprawce i uczesanie, które trudno by spotkać w całym stanie New Hampshire. Równie ścięte gładkie gęste włosy.

Usta pomalowane błyszczącą wiśniową kredką pod kolor skórzanych rękawiczek. Jest ubrana w białą puchową kurtkę, której z pewnością nie kupiła u L.L. Beana. Mężczyzna rozpiną suwak czarnej narciarskiej wiatrówki, uśmiecha się i mówi:

- W sklepie z antykami powiedziano nam, że niejaki pan Dillon robi proste meble a la Shaker. Czy dobrze trafiliśmy?

Mówię, że tak, oczywiście, ale jestem zaskoczona. Czy to nie tydzień temu Sweetser mówił, że skierował do ojca jakąś parę? Gdzie wobec tego byli do tej pory? W fałdzie czasu? Proszę, żeby weszli, ze względu na śnieg, i obiecuję, że zaraz wrócę. Muszę iść po ojca, dodaję.

- Tato - mówię, wchodząc do pracowni - przyszli jacyś ludzie, którzy chcą obejrzeć twoje meble.

Przerwałam mu w połowie klejenia. Energicznie kręci głową, jakby chciał powiedzieć: „Na miłość boską, Nicky, tylko nie teraz”.

- Zaproszę ich do frontowego pokoju.

Mężczyzna i kobieta otrzepują na wycieraczkę śnieg z butów. Mówię im, że ojciec zaraz przyjdzie i że ja im tymczasem pokażę meble.

Kobieta patrzy na mężczyznę i uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Czy ona nie jest słodka?”.

Idziemy przez kuchnię i przez jadalnię, która pełni teraz funkcję pokoju wypoczynkowego. Mijamy pomieszczenie, do którego ani ja, ani ojciec nigdy nie wchodzimy i które jest czymś w rodzaju sanktuarium. Wprowadzam ich do pokoju z meblami: stoją tu dwa proste krzesła, trzy małe stoły, niski kwadratowy stolik koktajlowy, orzechowy stół jadalny, dębowa półka na książki, gablotka.

- O Boże - mówi kobieta.

- Już rozumiem, co miał na myśli ten człowiek z antykwariatu - dodaje mężczyzna. - Te meble rzeczywiście bardzo przypominają stylem shakery.

- Proste, ale piękne - mówi kobieta.

- I porządnie wykończone.

Zastanawiam się, czy chwalam meble taty ze względu na mnie i czy jak wyjdę z pokoju, posypią się krytyczne uwagi. Kiedy ludzie przychodzą oglądać meble, ojciec prawie zawsze przeprosza i wychodzi na papierosa. Nienawidzi sprzedawać. Klienci zwykle pojawiają się parami - małżeństwa z Massachusetts albo z Nowego Jorku szukają czegoś, co by mogli zabrać ze sobą do domu czy do mieszkania i co by im przypominało o weekendzie albo o wakacjach. Właśnie myślę, co by było, gdyby w tym pokoju założyć podsłuch, kiedy wchodzi ojciec, wycierając ręce w szmatę.

- Przepraszam, że państwo czekaliście - mówi, przekraczając próg.

Ojciec jest nieogolony i nieostrzyżony. Oczy ma w czerwonych obwódkach. O Boże, czyżby płakał? Nie, odpowiadam sobie, to klej; ojciec ma oczy czerwone od wyciewów kleju. Jest cały pokryty pyłem drzewnym i - szczerze mówiąc - wygląda tak, że można się przestraszyć.

Nastaje chwila ciszy. No, dwie. Akurat tyle, że zdążam spojrzeć na mężczyznę, który się gapi na ojca, a potem na ojca, który się gapi na gościa.

- Robert? - pyta mężczyzna.

- Steve?

Podchodzą do siebie i ściskają sobie ręce.

- Słyszałem, że przeprowadziłeś się gdzieś do Nowej Anglii - mówi Steve z niedowierzaniem, jakby nie ufał własnym oczom. - Nie myślałem... Wirginio, to jest Robert Dillon. Pracowaliśmy razem w Nowym Jorku.

Wirginia podchodzi i ściska ojcu rękę. Jego dłoń jest szorstka, pełna nagniotków i pachnie terpentyną.

- A to jest moja córka, Nicky - przedstawią mnie ojciec.

- Myśmy się już poznali. - Steve uśmiecha się do mnie. - Ona nas tu przyprowadziła.

Znów zapada cisza.

- Twoje wyroby są piękne - przerywa milczenie Steve. - Po prostu piękne. Prawda, Wirginio?

- Tak - odpowiada Wirginia - bardzo piękne. - Ten sprzedawca antyków miał rację. Meble rzeczywiście bardzo przypominają shakery.

Patrzę na ojca i pod wpływem jego miny ściska mnie coś w gardle.

- Wiesz co... - Steve przykłada rękę do czoła - chciałem ci powiedzieć... nigdy nie miałem okazji powiedzieć ci, jak bardzo jest mi przykro. W związku... no wiesz, w związku z czym...

Ojciec szybko potrząsa głową.

- Pamiętasz - Steve zwraca się do swojej dziewczyny czy żony. - Mówiłem ci o człowieku, którego żona i dziecko?...

- Och, och, tak! - mówi Wirginia jakby doznała olśnienia. - Och, jak mi przykro - dodaje. - To musiało być straszne.

Ojciec milczy. Wirginia przyciska torebkę do piersi. Steve chrząka i rozgląda się po pokoju.

- W dalszym ciągu pracujesz u Portera? - pyta ojciec.

- Nie, jestem na swoim. - Steve z wyraźną ulgą przyjmuje zmianę tematu. - Rok temu kupiłem dwa kondominia w budynku przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy. - Przerywa. - Teraz są warte dwa razy tyle. W jednym mieszkamy, a w drugim mam biuro. Zatrudniam trzech facetów.

- A Philip dalej w starym miejscu? - pyta ojciec.

- Philip... - Steve potrząsa głową, jakby nie mógł sobie przypomnieć, kto to jest Philip. - A, Philip - mówi w końcu. - Nie, Philip się

wyprowadził. Do San Francisco.

- No, cóż... - mówi ojciec.

- No cóż... - mówi Steve.

Cisza, jaka po tym zalega, wybucha w mojej głowie białym hałasem.

- Jesteście tu na urlopie? - odzywa się po chwili ojciec.

- Tak - odpowiada Steve, znów jakby z ulgą. - Zjeżdżamy na nartach z różnych stoków. Byliśmy na Loon, Sunday River. Killington. Skąd jeszcze zjeżdżaliśmy, Wirginio? W piątek wracamy do domu.

Skorzystaliliśmy z tego, że w tym roku tak wcześnie spadł śnieg i postanowiliśmy wyjechać na urlop przed świętami, żeby uniknąć tłumów. - Przy ojcu Steve robi wrażenie wymuskanego. - A ty co? Jeździsz na nartach?

- Kiedyś jeździłem.

- Ja jeżdżę - odpowiadam jednocześnie z ojcem.

- Głównie chodzimy na raketach śnieżnych - mówi ojciec. - Po lesie.

Steve spogląda w okno, jakby szukał lasu.

- Na raketach śnieżnych - powtarza w zadumie. - Chciałbym kiedyś tego spróbować.

- Tak. Ja też zawsze miałam na to wielką ochotę - dodaje Wirginia.

- Musi być piekielnie ciężko - mówi Steve.

- Bywa - odpowiada ojciec.

- No cóż... - Steve ponownie rozgląda się po pokoju. - Szukaliśmy stolika koktajlowego. I wydaje mi się, Wirginio, że chyba znaleźliśmy to, o co nam chodzi. - Przesuwa dłonią po powierzchni jednego ze stołów taty. Zastanawiam się, czy Steve i Wirginia w ogóle zainteresowałoby się stołem, gdyby nie chodziło o ojca, gdyby ojciec nie stracił żony i dziecka i gdyby nie wyglądał na ostatniego nędzarza.

- Co to za drewno? - pyta Steve.

- Wiśnia - odpowiada ojciec.

- Czyli to jest kolor naturalny, nie barwiony?

- Naturalny, z czasem trochę ściemnieje.

- Naprawdę? A wykończenie?

- Poliuretan, a na to wosk - wyjaśnia ojciec.

- W której jesteś klasie? - zwraca się do mnie Wirginia, wyjmując z

torebki pomadkę ochronną i przeciągając nią po ustach.

- W siódmej - odpowiadam.

Wirginia rozprowadza pomadkę, poruszając wargami.

- To znaczy, że masz...

- Dwanaście lat.

- Dobry wiek. - Wkłada pomadkę do torebki. - Co zamierzasz robić podczas ferii świątecznych?

Zastanawiam się przez chwilę.

- Przyjeżdża babcia.

- O, to miło. - Zarzuca sobie torbę na ramię. - Moja babcia robiła zawsze na święta Bożego Narodzenia pfeffernusse. Wiesz, co to jest?

Potrząsam głową.

- Ile jestem ci winien? - pyta Steve.

- Są boskie - mówi Wirginia. - Zawijane ciasteczka miodowo-korzenne, posypane cukrem pudrem.

Słyszę, jak ojciec chrząka. Nienawidzi rozmów o pieniądzach w żadnej sytuacji.

- Dwieście pięćdziesiąt - mówi szybko.

Patrzę na niego ostro. Wiem, że stół został wyceniony na czterysta. Studiowałam cennik, wetknięty do każdego z dwustu egzemplarzy reklamowych broszurek, jakie ojciec wydrukował za radą Sweetsera. Rozdał niewiele ponad dwadzieścia. Sweetser spierał się z nim na temat cen, uważając, że są stanowczo za niskie.

- Ile godzin pracy kosztował cię ten stół? - pytał.

- To nie ma znaczenia.

- Owszem, ma, jeśli chcesz coś zarobić.

Ojciec wygrał spór i uważa, że jego ceny są teraz uczciwe. Żyje z pieniędzy uzyskanych za dom w Nowym Jorku i za oszczędności. Ale sprzedając ten stół za dwieście pięćdziesiąt dolarów, mógł go według mnie równie dobrze oddać za darmo.

- Załatwione - mówi Steve.

Wybucho zamieszanie - trwają przepychanki, czy próbować załadować stół do samochodu, czy ojciec ma go wysłać. Wreszcie uzgadniają, że ojciec wyśle stół za pobraniem. Wirginia dyskretnie wypisuje czek i kładzie go na stoliku. Wszyscy razem udajemy się do

przedpokoju. Nasi goście zapinają kurtki i ściskają ojcu rękę.

- Miło było cię zobaczyć - mówi Steve.
- Miło było was poznać - zwraca się do mnie i do ojca Wirginia.
- Może byśmy się spotkali - proponuje Steve. - Zatrzymaliśmy się w

Woodstock Inn i jesteśmy jeszcze do piątku. Zadzwoń, dobrze?

Ojciec powoli kiwa głową.

- Jasne, oczywiście.
- Masz coś do pisania? - pyta Steve. - Zanotuję sobie twój numer.

Ojciec znika w kuchni. Powinno być miło - myślę.

- A może chcieliby państwo obejrzeć moją mapę ścienną? - pytam pod wpływem nagłego impulsu. Nie widział jej nikt poza ojcem, babcią i Jo.

- O tak, bardzo byśmy chcieli - mówi Wirginia. - A gdzie ona jest?
- W moim pokoju.

Odwracam się i idę w nadziei, że pójdą za mną. I rzeczywiście, idą, zarzucając mnie pytaniami. Czy podoba mi się w Shepherd? Czy nie tęsknię za Nowym Jorkiem? Czy uprawiam w szkole jakieś sporty? Zaczynam żałować, że się wyrwałam z tym zaproszeniem, zwłaszcza kiedy widzę paczkę rolek papieru toaletowego wetkniętą między sztachety poręczy schodów. Na podeście zostawiłam mokry ręcznik, w łazience panuje nieopisany bałagan: jednorazowe chusteczki na umywalce, ręcznik rzucony na klozet. Sprzątamy z ojcem dom w soboty rano; do wtorku jest już bałagan. Czekam, aż Wirginia i Steve wejdą po schodach. Kiedy mijamy pokój ojca, jestem na tyle przytomna, że zamykam drzwi, by nie zobaczyli niepościelonego łóżka i kosza na bieliznę stojącego na podłodze. Kiedy docieramy do mojego pokoju, już na dobre żałuję swojego głupiego pomysłu. Łóżko jest rozgrzebane, moja flanelowa piżama wala się po podłodze, a na nocnym stoliku leży puste opakowanie po ring dingsach. A co najgorsze, na oparciu krzesła wiszą majtki.

- Fantastyczna - mówi Wirginia.
- Jesteś prawdziwą artystką - dodaje Steve.
- W życiu czegoś podobnego nie widziałam! - wykrzykuje Wirginia.
- Jakich farb używałaś? - interesuje się Steve.

Dopiero wtedy widzę moje malowidło jako coś, czym jest naprawdę:

kiepsko wykonaną prymitywną panoramą trzech północnych stanów Nowej Anglii, z Kanadą jarzącą się różowo prawie pod sufitem, Massachusetts napisanym z błędem, niechlujnie potem poprawionym czarną farbą, i szczytami jakby pokrytymi wapnem tam, gdzie przesadziłam z bielą, zaznaczając „zaliczone” zbocza.

- Musisz być niezłą narciarką- mówi Steve.

- A może byś się wybrała razem z nami na narty - proponuje Wirginia tonem, jakiego bym nie użyła nawet w stosunku do trzylatka.

Chowam ukradkiem majtki do kieszeni.

- Czy to jest górski szałas? - pyta Steve.

- O, popatrz, Steve, Attitash! - wykrzykuje Wirginia. Przesuwam się w stronę drzwi.

- Masz talent po ojcu - mówi Steve - może pójdziesz w jego ślady i też zostaniesz kiedyś architektem.

- Idę na dół - oznajmiam.

- To wielka strata, że musiał porzucić swój zawód - ciągnie dalej Steve. - Nie, żeby jego meble nie były wspaniałe...

- Czy mój ojciec był dobrym architektem?

- Najlepszym - zapewnia mnie Steve. - Był fantastycznym kreślarzem, a nie o każdym architekcie można to powiedzieć.

- Och - wyrywa mi się.

- Prawdopodobnie dlatego te jego meble mają taką wspaniałą linię - dodaje.

- Paciorki! - wykrzykuje Wirginia. - Robisz naszyjniki!

Spotykamy ojca w przedpokoju. Steve bierze od niego świstek papieru i wymachuje nim w powietrzu.

- Zadzwoń do ciebie!

Przez gęstniejący śnieg obserwuję, jak nasi goście idą do samochodu. Widzę, że nie rozmawiają ze sobą, gdy Steve zawraca na trzy razy - wyraźny znak, że czekają, aż znajdą się poza zasięgiem naszego wzroku. Odjeżdżając, uśmiechają się jak na dany sygnał.

- Skończyłeś klejenie? - pytam ojca.

Skupienie wzroku na mnie zajmuje mu chyba z minutę.

- Mniej więcej.

- Dobrze go znałeś? - pytam. - Nie pamiętam go z moich wizyt w

twoim biurze.

- Niespecjalnie. Pracowałem w innym dziale.
- Ona jest ładna, nie uważasz? - Zdejmuję z haka robioną na drutach

czapkę i wymachuję nią w powietrzu.

- Uważam.
- Co mu napisałeś na tej kartce?
- Numer.
- Czyj?
- Nie mam pojęcia - odpowiada ojciec. Podnoszę czapkę, która

upadła na ziemię.

- Zjesz kanapkę z tuńczykiem? - pytam.
- Brzmi zachęcająco.

Ale w dalszym ciągu stoimy w korytarzu i żadne z nas nie ma ochoty się ruszyć. Przez okno widzę, że pada jeszcze mocniej.

- Tato? - pytam, zbliżając się do ojca.
- Co takiego? Wkładam czapkę.
- Lubieś swoją pracę w Nowym Jorku?
- Lubiełem, Nicky. Tak, lubiełem.
- A czy byłeś dobry w tym, co robiłeś? Czy byłeś dobrym

architektem?

- Myśle, że byłem.
- A co projektowałeś?
- Szkoły. Hotele. Różne budynki mieszkalne, poddawane renowacji.
- Czy kiedykolwiek zamierzasz wrócić do tej pracy? - pytam.

Ojciec zdejmuje mi czapkę z głowy i wkłada na swoją.

- Nie sędzę - mówi.
- Myślisz, że będzie duży śnieg?
- Niewykluczone. - W mojej czapce wygląda głupio.
- Szkoda. Już są ferie.
- Co z tego. Miałaś śnieg.
- Kiedy przyjeżdża babcia?
- Jutro wieczorem.
- Czy masz już dla mnie prezent gwiazdkowy?
- To tajemnica.
- Bo pomyślałam, że mogłabym dostać magnetofon... Szczerze

mówiąc, magnetofon jest mi bardzo potrzebny.

- Naprawdę?

Nieco później po południu, robiąc naszyjnik z koralików dla babci, słyszę silnik. Podchodzę do okna i widzę na naszym podjeździe mały niebieski samochód. Patrzę, jak się zbliża do stodoły, pod którą ojciec trzyma swoją ciężarówkę.

Rany - myślę - ruch świąteczny.

Zbiegam po schodach i otwieram drzwi. W progu stoi młoda kobieta z rękami w kieszeniach jasnoniebieskiej kurtki. Spogląda przez opadające na twarz ciemnoblond włosy. Odgarnia je i wsuwa za ucho. Ma włosy bardzo cienkie i bardzo proste.

- Czy zastałam pana Dillona? - pyta głosem tak słabym, że muszę się wychylić za drzwi, żeby ją usłyszeć.

- Powiedziała pani „Dillona”? Kobieta kiwa głową.

- Tak, zastała pani.

- Właściciel sklepu z antykami powiedział, że pan Dillon robi meble i ma coś na sprzedaż. Że mogę tu przyjechać i sobie obejrzeć.

Przepraszam, ale nie wiedziałam, gdzie zaparkować samochód. - W głosie kobiety wyczuwam napięcie; mówi w podnieceniu. Ma oczy koloru kurtki, a na rzęsach płatki śniegu. Śnieg tworzy na jej głowie coś w rodzaju koronkowej czapki.

- Proszę, niech pani wejdzie.

Kobieta przekracza próg. Nogawki jej dzinsów leżą na butach i są na końcach mokre. Szybkim spojrzeniem ogarnia przedpokój - wełniane czapki, czapki bejsbolowe, jesienne i zimowe kurtki, na półce worek soli do posypywania drogi i puszkę WD-40. Z powodu śnieżycy zrobiło się ciemno, wobec tego zapalam światło. Kobieta reaguje na to lekkim drgnieniem głowy. Włosy znów opadają jej na twarz i znów zakłada je za ucho.

- Zaraz poproszę ojca - mówię.

Biegnę do stodoły. Ojciec podnosi głowę znad szuflady, którą właśnie kończy.

- Nie uwierzysz, tato - mówię. - Mamy następną klientkę.

- Wydawało mi się, że słyszę samochód.

Idzie ze mną do domu. Kobieta w dalszym ciągu stoi przy drzwiach.

Jest przygarbiona i ma ręce skrzyżowane na piersiach.

- Meble są we frontowym pokoju. - Ojciec gestem wskazuje kierunek.

- Powinnam zdjąć buty - mówi.

Właśnie miałam powiedzieć, że nie potrzeba, ale już zdążyła rozpiąć suwak czarnego skózanego buta. Zrzuca go i rozpina drugi. Stawia buty na wycieraczkę jeden obok drugiego. Nogawki jej džinsów dotykają podłogi. Kiedy się prostuje, zauważam, że ma ziemistą twarz - zimną w New Hampshire to nic dziwnego.

- Szukam czegoś na prezent gwiazdkowy dla rodziców - mówi.

- Mogę pani pokazać to, co mam. - Ojciec wygląda przez okno. - Nie miała pani kłopotu z dojazdem? - pyta.

- Jest bardzo ślisko - mówi dziewczyna.

Idę za ojcem i kobietą do pokoju frontowego. Ubrana jest w kurtkę, włosy utknęły za kołnierzem. Porusza się sztywno i robi wrażenie, jakby żałowała, że tu przyszła.

A w pokoju jest w tej chwili takie światło, że ojciec i ja widzimy to, czego nie widzieliśmy godzinę wcześniej: że stoły z drzewa wiśniowego, orzechowego i klonowego, a także krzesła są pokryte cienką warstwą kurzu.

- Zaraz przyniosę ścierkę - mówi ojciec.

Kiedy wychodzi, kobieta wyjmuje włosy z za kołnierza i rozpina kurtkę. Przyglądam się, jak jest ubrana. Ma na sobie białą bluzkę, wypuszczoną na spodnie, i różowy sweter, a na szyi srebrny amulet na rzemyku. Czasem robię naszyjniki z paciorków nanizanych na cieniutkie rzemyczki, ze srebrnym zapięciem. Mam zamiar sprzedawać je razem z malinami.

- Podoba mi się twój naszyjnik - mówię.

- O. - Dziewczyna sięga ręką do dekoltu. - Dzięki.

- Sama robię biżuterię - dodaję.

- To wspaniale. - Jej ton dobitnie świadczy o tym, że wcale nie myśli o biżuterii.

Wodzi palcami po stole, zostawiając w kurzu kręty ślad.

- To co, szukasz prezentu, tak? - pytam.

- Tak - odpowiada - dla rodziców.

- Mieszkaś w Shepherd? - pytam, przekonana, że nigdy dotąd nie widziałam jej w mieście.

- Jestem tu na zakupach.

- Przepraszam za kurz - mówi ojciec, wracając ze ścierką. Kobieta odsuwa się, kiedy ojciec wyciera stół.

- Ładne są te meble - mówi.

Błądzi od jednego do drugiego, dotykając każdego po kolei. Pociera palcami oparcie krzesła i dotyka boku półki na książki. I cały czas patrzy na ojca.

- Może przydałaby im się właśnie półka na książki - głośno myśli. Odnoszę wrażenie, że chciałaby jeszcze coś dodać, ale rezygnuje. Ma pełną twarz, chociaż nie jest specjalnie gruba. Ale jej oczy są dziwne, jakby należały do innej twarzy, może nawet niezdrowej. Pod oczami widzę ciemne podkowy.

Wydaje mi się, że jest zbyt skrępowana, żeby zapytać o ceny, więc proponuję cennik.

- Mamy cennik - mówię. Ojciec szybko potrząsa głową. Kobieta odrzuca włosy do tyłu.

- Tak - mówi - oczywiście.

Ignorując ojca, biorę z kominka ulotkę i wręczam dziewczynie. Obserwuję ją, kiedy czyta.

- Z czego to jest zrobione? - pyta, pokazując na małą szafkę.

- Z orzecha - odpowiada ojciec, nie dodając, że szafka ma drzwiczki pokryte fornirem, wstawiane zawiasy i woskowe wykończenie. Jest beznadziejny jako sprzedawca.

Kobieta zachodzi krzesło od tyłu. Wyciąga rękę i opiera się.

- Jest naprawdę piękne - mówi.

Daje krok w bok i potyka się o własną nogawkę. Nachyla się i podwija ją. Obserwuję dziewczynę, kiedy to robi. Podwija drugą nogawkę i prostuje się, ale ja ciągle patrzę na jej stopy. W chwili kiedy moja świadomość rejestruje skarpety z warkoczami po bokach - perłowoszare skarpety z angory - dziewczyna mówi do ojca:

- Nie przyjechałam tu kupować mebli.

Rozdział 7

Ojciec robi wrażenie speszonego. Myśli, że dziewczyna to reporterka, która pod pretekstem zainteresowania meblami przyszła zrobić z nim wywiad.

- Nie rozumiem - mówi.

Ale ja rozumiem. I co z tego? Oczywiście skarpetki, z angorowym wzorkiem, lekko przetarte na pięcie. Ale widzę to także w jej twarzy, chociaż nie powinnam -jestem za młoda, mam tylko dwanaście lat - mimo to widzę... widzę pewną pulchność, sine podkowy pod oczami i skórę jakby mokłą.

Jej ręka wpija się w oparcie krzesła, a ja się boję, że dziewczyna upadnie.

- Przyjechałam panu podziękować - zwraca się do ojca.

- Za co? - dziwi się ojciec.

Tym razem to ona wydaje się zdziwiona.

- Za znalezienie dziecka - odpowiada. Przy słowie „dziecka” jej głos słabnie, jakby nie śmiała wymówić słowa, jakby nie miała do tego prawa.

Ale ojciec, który normalnie zawsze wszystko rozumie, dalej nie może tego pojąć.

- Za to, że pan ją znalazł.

Ojciec marszczy czoło i energicznie potrząsa głową.

- To matka - podpowiadam mu szeptem i widzę, że w głowie ojca jakby nagle coś zaskoczyło.

- Ty jesteś matką? - pyta zdumiony.

Dziewczyna czerwienieje, a jej oczy robią się tak niebieskie jak rybki, które namalowałam kiedyś w pokoju Clary.

Śnieg, zacinający w okna, pada bezgłośnie. Ręka kobiety na oparciu

krzesła wydaje się perłowobiała.

- Jesteś matką noworodka porzuconego na śniegu? - pyta ojciec.
- Tak - odpowiada dziewczyna, mocno zaciskając usta.
- Będę cię musiał poprosić, żebyś sobie poszła - mówi ojciec.
- Ale ja tylko chciałam powiedzieć...
- Daruj sobie - ucina ojciec. Dziewczyna milknie, ale się nie rusza.
- Nie możesz tu przebywać - mówi ojciec. - Zostawiłaś dziecko w

śniegu na pewną śmierć.

- Muszę zobaczyć to miejsce - mówi dziewczyna.
- Jakie miejsce?
- To, gdzie znaleźliście dziecko.

Ojciec wydaje się zaskoczony jej żądaniem.

- Powinnaś to miejsce znać.

Jak może znać to miejsce - mam ochotę zapytać - skoro to nie ona zniosła tam dziecko? Przecież sam detektyw powiedział, że dziecko włożył do śpiwora mężczyzna.

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać - mówi dziewczyna - już jadę.
- Bardzo proszę.

Zaczyna zapinać suwak kurtki. Obchodzi meble dokoła.

- Powinnaś stąd jak najszybciej zniknąć - mówi ojciec. - Szukają cię.
- Wiem.
- To co tu robisz?
- Doniesie pan na mnie?
- Nawet nie znam twojego nazwiska.

- A chce pan je poznać? - pyta, zawierając się ojcu, obcemu mężczyźnie, człowiekowi, któremu zawdzięcza wszystko.

- Nie chcę nawet wiedzieć o twoim istnieniu - mówi ojciec.

Dziewczyna zamyka oczy, a ja mam wrażenie, że za chwilę upadnie. Robię krok do przodu, ale zatrzymuję się - oczywiście jestem za młoda, żeby się na coś przydać.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? - pyta ojciec.

- To nie... - zaczyna.

Jestem przekonana, że zamierzała powiedzieć: „To nie ja”, i najwyraźniej ojciec też tak myśli.

- Byłaś tam, prawda? - pyta.
- Prawda.
- Nie mów ani słowa więcej - mówi ostro ojciec i zwraca się do mnie. - Nicky, wyjdź z pokoju.
- Tato... - protestuję.

Kobietom najpierw odmawiają posłuszeństwa kolana, wygląda, jakby miała ukucnąć. Wyrzuca ręce do przodu, ale uderza podbródkiem w róg stołu. Jeszcze nigdy nie widziałam, jak ktoś naprawdę mdleje. To wygląda zupełnie inaczej niż na filmie czy w książkach. Brzydko i przerażająco.

Ojciec klęka i unosi jej głowę. Niemal natychmiast dziewczyna odzyskuje przytomność, ale nie wie, gdzie jest.

- Nicky, przynieś szklankę wody - poleca mi ojciec. Niechętnie opuszczam pokój. Drżącymi rękami odkręcam kran. Napelniam szklankę prawie po brzeg i biegnąc z powrotem, wychlapuję trochę wody. Kiedy wchodzę do pokoju, dziewczyna siedzi na krześle.

- Co się stało? - pyta.

- Zemdlałaś - mówi ojciec. - Masz, napij się. - Wręcza jej szklankę. - Dasz radę dojść do samochodu? Trzeba cię odwieźć do szpitala.

Jej ręka jest tak szybka, że prawie niewidoczna. Wężowym ruchem chwyta ojca za nadgarstek.

- Ja... nie mogę - mówi, patrząc na niego. - Nie chcę... -Twarz ma bladą, niemal zieloną. - Już jadę. - Puszcza rękę. - Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Przepraszam. - Próbuje wstać. Jej czoło pokrywa się kropelkami potu.

- Siadaj - mówi ojciec i po chwili wahania dziewczyna siada. - Kiedy ostatni raz jadłaś?

- Jeśli mnie pan zawiezie do szpitala - mówi - to mnie aresztują.

Jest to oczywista prawda. Z pewnością ją aresztują.

Dziewczyna nachyla się i wymiotuje sobie na kolana.

Ojciec kładzie jej rękę na karku. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Omdlenie, wymioty - to wszystko jakoś nie pasuje do naszego domu.

- Nicky - mówi ojciec - przynieś mokry ręcznik jednorazowy i miskę.

W kuchni oddzieram kawałek ręcznika, zwilżam go i wyjmuję z

szafki miseczkę. Wracam do pokoju, wręczam dziewczynie papierowy ręcznik, żeby mogła oczyścić dżinsy. Stawiając miskę na podłodze, cała drzę.

Dziewczyna wyciera spodnie, opierając się o nogę stołu.

- Muszę iść do łazienki - oznajmia i wstaje z wysiłkiem. Zaczyna się chwiać na nogach. Ojciec łapie ją za ramię.

- Spokojnie, spokojnie - mówi.

Prowadzi dziewczynę do przedpokoju, skąd jest wejście do łazienki. Patrzę, jak dziewczyna puszcza rękę ojca, znika w łazience i zamyka za sobą drzwi.

Ojciec, wyraźnie zdenerwowany, przeczesuje włosy palcami.

- Katastrofa - mówi.

- Nie możesz jej zawieźć do szpitala- protestuję.

- Ale ona wymaga pomocy lekarskiej.

- Może jest głodna. Albo po prostu bardzo zmęczona.

- Ona tu nie może zostać.

- Ale, tato...

Ojciec i ja stoimy między kuchnią a łazienką, dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, gdyby dziewczyna wzywała pomocy, ale jednocześnie nie na tyle blisko, żeby słyszeć, co się w środku dzieje. Ojciec wkłada ręce do kieszeni i bawi się drobnymi, które w niej nosi. Oboje milczymy, próbując ogarnąć fakt, że do naszego domu, a nawet w nasze życie wtargnęła - choćby tylko na chwilę - ta kobieta. Ojciec podchodzi do drzwi wejściowych, otwiera je, patrzy na śnieg i zamyka. Znow krzyżuje ręce na piersi.

- Chryste - mówi.

Wchodzę na górę i idę do swojego pokoju. W szafie na półce, za plecami, znajduję piżamę, którą mi uszyła babcia. Nie cierpię tej piżamy i nawet chciałam ją wyrzucić, ale ojciec nalegał, żebym jednak jej używała, kiedy przyjeżdża babcia. Piżama jest w dziecięce różowe i niebieskie misie, z szeroką gumą w pasie.

Po powrocie zastaję ojca w kuchni. Pali papierosa. Dym unosi się do góry, a potem gwałtownie, w przeciagu od okna, skręca w lewo. Tkvimy w miejscu - ojciec z papierosem, ja z flanelowym tobołkiem - jakbyśmy czekali, że dziewczyna wezwie nas na pomoc. Najpierw dziecko, teraz

matka.

Drzwi łazienki się otwierają i w szparze widzimy jej głowę. Patrzy najpierw na ojca, potem na mnie.

- Czy mogę z tobą porozmawiać? - pyta. Pokazuję na siebie i spoglądam pytająco.

- Tak, z tobą. Podchodzę do drzwi.

- Czy masz kotexy? - pyta szeptem. Kotexy... kotexy... - myślę - o Boże, kotexy.

- Nie - odpowiadam, zasmucona.

- Nie masz żadnych podpasek? - dziwi się.

- Żadnych. Przechyliła głowę.

- A ile masz lat?

- Dwanaście.

Mam coś w rodzaju podpaski, jakie na początku roku szkolna pielęgniarka rozdawała dziewczynkom z siódmej klasy „tak na wszelki wypadek”, ale trzymam ją w szafce w szkolnej szatni.

- Przykro mi - mówię i rzeczywiście jest mi przykro, a nawet więcej, czuję się upokorzona.

Dziewczyna wygląda przez okno na padający śnieg.

- Paskudna pogoda, prawda? Oferuję jej flanelową piżamę.

- A co to takiego? - pyta.

- Piżama - odpowiadam. - Na mnie jest za duża. Ma szeroką gumę w pasie.

Dziewczyna wysuwa ręce przez szparę w drzwiach i widzę, że ma gołe nogi. Znów spogląda przez okno.

- Może nie jest tak źle? - mówi i zamyka drzwi. Wracam do kuchni i opieram się o czerwoną ladę. Jak ja sobie z tym problemem poradzę? - zastanawiam się. Zamykam oczy i przez chwilę myślę.

- Tato? - mówię w końcu - muszę jechać do Remy. - Mój ton jest trochę agresywny, przewiduję z jego strony opór.

- Do Remy? - Ojciec gasi papierosa na spodku, który mu służy za popielniczkę.

- Muszę coś kupić.

- Co? Wzruszam ramionami.

- Coś dla siebie czy coś dla niej? - pyta.

- Coś dla niej.
- Co takiego?
- Coś dla niej - powtarzam.

Ojciec wstaje i znów podchodzi do okna. Ocenia śnieg, jego głębokość, szybkość, z jaką pada. Samochody są już prawie całkiem zasypane.

- To jest bardzo ważne - dodaję.
- Niczym się nie da tego zastąpić? - pyta ojciec.
- Niczym.
- Jesteś pewna?

Owszem, może ścierką czy ręcznikiem, ale jeszcze nigdy dotychczas nie powierzono mi takiej misji, a ja jestem zdecydowana nie zawieść tej kobiety.

- Proszę cię, tato... -upieram się.
- Ja pojedę - mówi ojciec - a ty zostań. - Ale kiedy to mówi, widzę, że powoli zmienia zdanie. Nie chce, żebym została sama w domu z tą dziewczyną.

- A zresztą... możesz ze mną jechać - decyduje.

Ubieramy się w milczeniu. Stukam do drzwi i mówię dziewczynie, że jedziemy do sklepu i że zaraz wracamy. Wsiadamy do samochodu i ojciec zapala silnik, ale po chwili wysiada, żeby oskrobać z zamarznętego śniegu przednią szybę i okna. Powtarzam sobie, że na dworze nie jest tak źle, ale jest - pada bardzo gęsty śnieg.

Nasza droga, nie odśnieżana, to szklanka. Ojciec prowadzi w skupieniu; nie odzywamy się do siebie.

Zastanawiam się, czy myśli to samo co ja - że właśnie zostawiliśmy w domu obcą kobietę, która zapewne usiłowała zamordować swoje dziecko. Zamordować swoje dziecko. Ta myśl nie daje mi spokoju. Odkąd przeprowadziliśmy się do New Hampshire, nic się nie dzieje, nic się nie przydarza ani ojcu, ani mnie - mało kto ryzykuje długi podjazd pod tę górkę. I oto w ciągu ostatnich dziewięciu dni mieliśmy aż trzykrotnie gości: detektywa Warrena, Steve'a i Wirginię i teraz kobietę, której nazwiska nie znamy do tej pory.

Mijamy szkołę, kościół i miejski skwerek. Na rogu ulic Stropie i Maine tylne koła ciężarówki zaczynają się ślizgać. Ojciec zdejmuje ręce

z kierownicy i po upływie - jak mi się wydaje - wielu sekund wreszcie się zatrzymujemy. Ojciec wrzuca bieg i wjeżdża w ulicę. Modlę się, żebyśmy w nic nie uderzyli, bo byłaby to moja wina.

Przed sobą mamy Remy i Sweetsera, ale ojciec nagle skręca na pocztę. Domyślam się, że chce sprawdzić, czy nie ma jakiejś korespondencji. Jednak zamiast zatrzymać się przed pocztą, zajeżdża od tyłu, do innego budynku, w którym mieści się policja i siedziba sekretarza rady miejskiej.

- Co ty robisz? - pytam z szeroko otwartymi oczami.

Ojciec nie odpowiada. Parkuje samochód, gasi silnik i otwiera drzwi.

- Tato?

Patrzę, jak ojciec idzie na policję. Wyskakuję z samochodu. Czy cały czas zamierzał tu przyjechać? Czy tylko dlatego się zgodził, żeby mnie zabrać z domu na czas, kiedy policja będzie aresztowała matkę dziecka? Czyżby był zdolny do czegoś takiego? Nie jestem pewna. Czasem wydaje mi się, że znam go bardzo dobrze; kiedy indziej znów zastanawiam się, czy w ogóle znam ojca.

- Tato! - drę się, biegnąc za nim.

Ojciec zatrzymuje się przy drzwiach i czeka na mnie, a następnie nachyla się i bardzo serio mówi:

- Wracaj do samochodu.

- Co ty robisz?

- Ty nie masz nic do tego.

- Ale nie możesz... - mówię, wyciągając rękę. - Po prostu nie możesz. - Obudziło się we mnie wielkie poczucie lojalności wobec kobiety, której nawet nie znałam. Energicznie potrząsam głową.

Ojciec czuje lekkie uderzenie w plecy i odsuwa się, bo ktoś właśnie otwiera drzwi. Peggy, sekretarz rady miejskiej, naciąga szal na głowę.

- Cześć, Nicky - mówi i odsuwa się na bok. Poznałam Peggy, kiedy starałam się o pozwolenie na sprzedaż malin przy naszej drodze. Kazała mi zapłacić wtedy siedem dolarów.

Peggy uśmiecha się do ojca.

- Do mnie? - pyta.

- Szczerze mówiąc, szukam komendanta Boyda - odpowiada ojciec.

- Właśnie wyszedł. Razem z Paulem zostali wezwani na

osiemdziesiątkę dziewiątkę. Wypadek przy jednym z wyjazdów. - Peggy patrzy w niebo. - Czy to coś pilnego? Bo mogę skontaktować się z nim przez radio.

Wpatruję się w ojca.

- Nie - mówi ojciec po upływie kilku sekund. - Nie, nie trzeba.

Zadzwoń do niego.

Oddycham z ulgą.

- Na pewno mówili o tobie w dzienniku - zwraca się do mnie Peggy, wciągając rękawiczki. - To dopiero historia! Znaleźć dziecko! - Patrzy na mnie. - I ty byłaś wtedy z tatą!

Kiwam głową.

- Idę do Sweetsera - mówi Peggy. - Muszę kupić jakieś baterie i sól do posypywania drogi, zanim śnieżyca rozszałeje się na dobre. Chcecie zaczekać w środku? Nie zamknę drzwi.

- Nie, nie potrzeba, dziękujemy - mówi ojciec.

- Jeśli się już nie zobaczymy, to na wszelki wypadek wesołych świąt - Peggy składa nam życzenia.

Idziemy z ojcem do samochodu. Wdrapuję się do szoferki. Nie jestem taka głupia, żeby zadać choćby jedno pytanie, w ogóle się nie odzywam.

Przed marketem Remy podjeżdżamy do krawężnika. Poprzez śnieżycę i zaparowaną szybę widzę słabe żółte światło żarówki nad kasą. Ojciec wręcza mi banknot dziesięciodolarowy.

- Tylko szybko - mówi.

Stopnie są kiepsko odsnieżone. Kiedy wchodzę, dzwoni dzwonek, anonsując mnie zupełnie niepotrzebnie. Marion odkłada robótkę na drutach.

- Nicky - mówi. - Moja mała bohaterka. Nie widziałam cię od chwili, kiedy znaleźliście dziecko. I twojego taty też.

- Byliśmy... byliśmy bardzo zajęci.

- No, ja myślę!

Marion, duża ruda kobieta z ciastowatą twarzą, poślubiła męża swojej siostry, wywołując apokaliptycznych rozmiarów aferę, która zbulwersowała nawet najgorętszych zwolenników bardzo nierealistycznej dewizy stanu New Hampshire: „Żyj wolny albo umieraj”. Ale to było wiele lat temu, a teraz Marion jest podporą lokalnej

społeczności. Jej mąż, Jimmy, niegdyś gwiazda szkolnej drużyny futbolowej, waży ponad sto pięćdziesiąt kilo. Jeden syn jest w University of New Hampshire; drugi w więzieniu stanowym odsiada wyrok za napad z bronią w rękę.

Chyba nigdy nie widziałam Marion bez drutów w rękę. Dziś robi coś w paski czerwono-żółte. Mam nadzieję, że nie zamierza w to ubrać nikogo powyżej dwóch lat.

- Opowiedz mi o tym dokładnie! - mówi.
- Hmm - zastanawiam się.
- Powiedz mi coś, o czym nie pisali w gazetach. Myślę jeszcze chwilę.

- Owinęliśmy małą we flanelowe koszule i wsadziliśmy do plastikowego kosza na bieliznę.

- Taaak? - Marion robi wrażenie zadowolonej z tego szczegółu. -

Byliście przerażeni?

- No chyba.

Marion bierze robótkę do rąk.

- I pojechałaś razem z ojcem do szpitala?
- Aha.
- Czy musiałaś zostać z dzieckiem?
- Byliśmy tam tylko chwilę.
- Co z tą małą teraz będzie?
- Nie wiemy.

Cukierkowy uśmiech znika z twarzy Marion.

- To smutne.

- No, ale jednak ją znaleźliśmy - mówię, nie zamierzając delektować się rolą bohaterki.

- Nie, mam na myśli, że to jest smutne dla osoby, która się tego dopuściła - wyjaśnia. - Musiał być jakiś przerażający powód.

Myślę o tym, że osoba, która to zrobiła, jest właśnie w tej chwili w naszym domu, w łazience.

- Skończyłaś czapkę dla swojego taty?
- Tak - odpowiadam, zbliżając się nieznacznie do półek.
- Jak ci wyszła?
- Całkiem nieźle. Myślę, że będzie na niego dobra.

- No i co, jednak zdecydowałaś się na wywinięty brzeg?
- Tak - odpowiadam.

Mama nauczyła mnie robić na drutach, kiedy miałam siedem lat. Ale zupełnie o tym zapomniałam, aż do chwili, kiedy pewnego dnia zobaczyłam Marion z robótką i przyznałam się, że ja też umiem robić na drutach. „Przyznałam się” to dobre wyrażenie, bo w tamtych czasach, we wczesnych latach osiemdziesiątych, robótki na drutach to nie było hobby, do którego dziewczynki w moim wieku by się chętnie przyznawały. Ale Marion, wieczna entuzjastka, zaczęła mnie namawiać, żebym jej pokazała coś ze swoich prac. Więc jej pokazałam - jakiś nieudany szalik, który Marion wychwalała pod niebiosa. Pożyczyła mi nawet włóczkę w malinowym kolorze na czapkę dla mnie. Od tamtej pory właściwie bez przerwy robiłam na drutach. To zajęcie bardzo wciąga, jeśli nie wręcz uzależnia, a poza tym działa uspokajająco i przynajmniej na kilka minut sprawia, że czuję się bliżej mamy. Kiedy mam kłopot z jakimś ścięciem czy wzorem, idę do sklepu i Marion mi pomaga. Zwykle patrzę zafascynowana na to, co Marion robi, na sposób, w jaki kłębek wełny zamienia się w jej rękach w sweter czy w kocyk dla niemowlęcia, ale dzisiaj marzę tylko o tym, by jak najprędzej stąd uciec. Myślę o ojcu, który czeka w samochodzie, i o tym, że śnieg już znowu musiał pokryć przednią szybę.

Wiem, gdzie są rzeczy dla kobiet, i ruszam w tamtym kierunku. Opakowanie podpasek jest większe, niż sobie wyobrażałam. Biorę je z półki i idę z nim do kasy.

Marion kładzie robótkę na kolanach.

- No, no - mówi, patrząc na podpaski. Idiotycznie i bezsensownie rzucam:

- To nie dla mnie.

Marion przechyla głowę i uśmiecha się po macierzyńsku. To jasne, że mi nie wierzy.

Wyjmuję z kieszeni banknot dziesięciodolarowy. Podpaski jakby pulsowały i śpiewały na porysowanym laminacie kontuaru. Marion wybija cenę.

- Dobrze się czujesz? - pyta.
- Dobrze - zapewniam ją.

- Gdybyś miała jakieś problemy, jakiegokolwiek pytania, to zawsze możesz przyjść do mnie.

Kiwam głową. Czuję, że się rumienię.

- Skoro nie ma przy tobie mamy - dodaje Marion lekko. Zagryzam wargę. Chcę stąd jak najprędzej iść.

- Nie ma dziś zbyt wielu klientów - mówi Marion. - Ale trzeba było wiedzieć, jak się wczoraj ludzie pchali po mleko i konserwy. Robili zapasy. Bo zapowiadają wielką śnieżycę. Podobno największą tej zimy, ale oni zawsze się mylą.

Kładę pieniądze na kontuarze.

- Czy od tamtej pory widzieliście dziecko? - pyta Marion, wydając mi resztę.

- Nie.

Spogląda na mnie szybko, a ja słyszę za sobą głos.

- To Nicky, prawda?

Granatowy płaszcz i czerwony szalik przesuwają się koło mnie. Nie słyszałam dzwonka oznajmającego wejście detektywa Warrena. A może w ogóle nie było dzwonka, może detektyw Warren był już w sklepie, kiedy weszłam, tylko w innej alejce.

- Jak się masz - mówi.

- Dobrze - odpowiadam przez zaciśnięte usta.

Marion wkłada podpaski do papierowej torby, ale detektyw zdążył już zobaczyć. Pocę się pod kurtką. Stoję tak, jakby mnie tam nie było - głowa spuszczone, plecy lekko zgarbione. Warren kładzie na kontuarze pisma i gumę do żucia.

- Idę - oznajmiam.

- Camele - mówi detektyw.

- Wesółych świąt! - woła za mną Marion. - I powiedz swojemu tacie, że dla mnie on też jest bohaterem.

- Tak, wszystkiego najlepszego z okazji świąt - mówi Warren - dla ciebie i dla taty.

Idę do drzwi najszybciej, jak tylko mogę sobie pozwolić. Myślę wyłącznie o tym, co się stanie, kiedy ojciec zobaczy detektywa.

Otwieram drzwi, o czym oznajmia dzwonek. Na śliskich stopniach upadam i zjeżdżam na pupie. Zbieram się szybko i biegnę do

samochodu.

Wsiadam, zatrzasnę drzwi i odrzucam głowę na oparcie siedzenia.
W papierowej torbie mam pełno śniegu.

- Jedźmy szybko - mówię do ojca. - Chce mi się siku.

Scandalous

Rozdział 8

Wracamy długo, w napięciu. Chwilami ojciec ma kłopot ze znalezieniem drogi. Od czasu do czasu czuję, jak tylne koła się ślizgają albo jak podskakujemy na głębokich koleinach. Poza nami na drodze są tylko dwa inne samochody; mało kto ma ochotę wyjeżdżać w taką śnieżycę.

Mijamy mały biały dom, pełen dowodów na to, że mieszkają w nim chłopcy. Przecieram szybę i wyteżam wzrok, starając się zajrzeć do środka. W oknach palą się świece. Widzę lampki płonące na choince w salonie. Matka stoi w kuchni przy ladzie. Ma włosy związane w kucyk. Przed moimi oczami przesuwają się wspomnienia świąt Bożego Narodzenia.

Ona zawiesza na choince ozdobę w kształcie niemowlaka.

Wstążeczka, którą został przewiązany jeden z prezentów, jest jaskrawoczerwona i ukarbowana ostrzem nożyczek.

On klęczy, z głową pod gałęziami, i szuka gniazdka.

Kiedy tak myślę o choinkach i ozdobach choinkowych, ogarnia mnie nagłe przerażenie: czy ja rzeczywiście powiedziałam Marion, że podpaski są nie dla mnie? Czy detektyw, który czaił się gdzieś w jednej z alejek sklepu, to słyszał?

Głupia, głupia, głupia.

Ojciec parkuje w swoim zwykłym miejscu, za stodołą. Otwieram drzwi i biegnąc do domu, patrzę na niebieski samochód dziewczyny. Zastaję ją w przedpokoju na ławce. Ma na sobie swoją białą koszulę i flanelowe spodnie od mojej piżamy. Nie bardzo na nią pasują - uda ma obciśnięte różowymi i niebieskimi zwierzątkami, nogawki sięgają ledwie za kolana. Dziewczyna ma nogi białe aż do szarych angorowych skarpetek. Świeżo uprane dżinsy suszą się na haku.

Przypomina potulną skarconą uczennicę, czekającą pod drzwiami gabinetu dyrektora. Wręczam jej papierową torbę. Dziękuje i wymyka się do łazienki. Zdejmuję kurtkę i wieszam na haczyku obok jej džinsów.

Zza drzwi łazienki dochodzi odgłos rozdzierania kartonu i szelest papieru.

Ta kobieta urodziła dziecko. Jakie to jest uczucie? Mam ochotę ją o to zapytać. Wiem, skąd się biorą dzieci, ale to mi nie tłumaczy tego, co tak bardzo pragnę zrozumieć. Czy rodzenie boli? Czy się bała? Czy kocha mężczyznę, który jest ojcem dziecka? Czy ten człowiek czeka na nią gdzieś przy drodze? Czy dziecko, o idiotycznym imieniu Mała Doris, jest skutkiem wielkiej namiętności? Czy kobieta, przebywająca w tej chwili za zamkniętymi drzwiami łazienki, płacze za swoim kochankiem i utraconym dzieckiem?

Wyłania się z łazienki, raczej zatroskana niż zrozpaczona. Przez chwilę stoimy w przedpokoju, a ja nie mam pojęcia, co z nią począć.

- Dziękuję - powtarza. - Czy droga była bardzo zła?
- Była w porządku.

Ojciec obtupuje buty ze śniegu, wpuszczając do domu strumień zimnego powietrza. Zdejmuję kurtkę i wieszam ją na kołku.

- Powinnaś się położyć - mówi do dziewczyny. Prowadzę ją obok kuchni do pokoju wypoczynkowego.

Pada bezwładnie na sofę. Jej brzuch wylewa się nad gumą spodni, co widać w miejscu, gdzie rozchodzą się poły białej koszuli. Koszula nie jest czysta: po wewnętrznej stronie mankietów biegną, niby delikatna fastryga, ciemne koła kurzu. Dziewczyna leży z zamkniętymi oczami, a ja się jej przyglądam.

Ma suche wargi i żadnego makijażu, co stanowi dla mnie pewne rozczarowanie. Jednak wyskubane fachowo brwi świadczą o tym, że o siebie dbała. Rzęsy ma gęste, blond. Na nosie wągry, a na policzkach jeden czy dwa niewielkie wypryski. Włosy opadają na twarz, musiała bardzo szybko zasnąć, skoro jej nie przeszkadzają. Duże piersi opadają ku poduszce sofy.

Czekam tak, jakbym mogła czekać przy łóżku matki, żeby się obudziła czy otworzyła oczy. Z kuchni dochodzi elektryczny wizg otwieracza do konserw i zgrzytanie patelni o palnik. Przykrywam

dziewczynę paskudnym zrobionym na szydełku przez moją babcie czarno-czerwonym pledem, którego ojciec nie pozwala wyrzucić. Spulchniam za jej głową poduszki w nadziei, że ją w ten sposób obudzę, i tak też się dzieje.

Dziewczyna szybko siada, znów jak gdyby nie wiedząc, gdzie jest, niby śpiąca królewna, która przespała tysiąc lat.

- Porzuciłam go - mówi.

Prostuję się na krześle. Porzuciła go? Mężczyznę? Tego, który wyniósł dziecko na śnieg? Wzdryga się.

- Zimno ci - mówię. - Przyniosę ci kurtkę.

- Zostawiłam sweter w łazience.

W jednej chwili jestem na nogach, za wszelką cenę chcę być przydatna. Różowy sweter znajduję na brzegu umywalki. Jest zrobiony z puszystej włóczki - nie z angory, tylko z moheru - i zapina się na guziki z masy perłowej.

Kiedy z nim wchodzę, kobieta się unosi, a ja otulam jej ramiona i plecy. Ona zachowuje się, jakby straciła władzę w rękach; jest ociężała.

Siadam obok niej na podłodze. Pokój jest wypełniony półkami na książki, które się piętrzą nad nami. Poza sofą są tu jeszcze tylko dwie lampy, stolik kawowy, klubowy fotel skórzany, który ojciec uratował z naszego nowojorskiego domu, i krzesło. Wchodzi ojciec z tacą, na której jest w miseczce zupa z kurczaka, z kluseczkami i marchewką w kształcie gwiazdek, pospiesznie ułożone w półkole na talerzyku słone krakersy i szklanka wody.

- Jesteś odwodniona - mówi, przyglądając się dziewczynie.

Dziewczyna siada. Kiedy bierze łyżkę, jej ręka drży.

- Jak tylko skończy się śnieżyca... - Ojciec gestem wskazuje okno.

Jak tylko skończy się śnieżyca... to co? Chciałabym wiedzieć. Siłą zaprowadzi ją do ciężarówki? Zmusi, żeby odjechała swoim niebieskim samochodem po nieodśnieżonej drodze?

Ojciec siada, przyjmując swoją zwykłą pozę: głowa pochylona, nogi szeroko rozstawione, łokcie wsparte na udach. W pokoju szybko robi się ciemno, więc ojciec zapala lampę.

- Jak mnie znalazłaś? - pyta.

- Przeczytałam o panu w gazecie. Tam było pana nazwisko. A gdzie

pan mieszka, dowiedziałam się bez trudu.

Za oknami wielkimi płatkami pada śnieg.

- Byłaś u lekarza? - pyta ojciec. Dziewczyna podnosi oczy.
- W czasie ciąży - dodaje ojciec.
- Nie.
- Nigdy nie byłaś u lekarza?
- Nie.
- To bardzo nierozsądnie.

Dziewczyna otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ojciec unosi rękę, ucinając w ten sposób dalszą rozmowę.

- Nie chcę nic wiedzieć - mówi, wstając. - Nicky, weź się do odśnieżania.

- Teraz? - pytam.
- Tak, teraz. Ja muszę iść do pracowni i skończyć wreszcie tę komodę.

- Ale...

- Żadnych ale. Jeśli nie nadążymy z odśnieżaniem, to się stąd nie wydostaniemy.

Wstaję niechętnie, rzucając leżącą na sofie dziewczynie pożegnalne spojrzenie. Ale ona na mnie nie patrzy. Wlokę się do przedpokoju, siadam na ławce i wciągam buty. A jeśli będzie mnie potrzebowała? Wkładam kurtkę, czapkę i rękawiczki. Czy można ją zostawić samą? Wychodzę z domu i pochylam głowę przed śnieżycą. A jeśli coś jej się stanie, kiedy mnie nie będzie?

Biorę szeroką szufłę i pcham ją przed sobą jak pług. Ze wszystkich moich obowiązków najbardziej nie cierpię odśnieżania, szczególnie kiedy pada śnieg i jest jasne, że za dwie godziny będę musiała robić to wszystko od nowa. Żłobię w miękkim puchu rowy, spychając śnieg na drugą stronę podjazdu. Jestem zniecierpliwiona i robię to w rekordowym tempie. Po upływie dwudziestu minut oceniam wyniki swojej pracy. Wykonałam ją niechlujnie, ale nie mogę przebywać na dworze ani chwili dłużej. Opieram szufłę obok drzwi wejściowych, wchodzę do domu, rozbieram się szybko i idę do pokoju wypoczynkowego.

Kobieta w dalszym ciągu siedzi na sofie, trzymając tacę na kolanach. Zostawiła gwiazdki, które pływają smętnie w złotej oleistej kałuży na

dnie miseczki. Ja zawsze zjadam gwiazdki na początku. Dziewczyna nachyla się, żeby odstawić tacę, ale ja ją wyręczam. Clara Barton. Florence Nightingale.

Dziewczyna znów się kładzie. Światło lampy pada na jej twarz i włosy. Siadam na podłodze i opieram ramię o lamówkę poduszek sofy.

- Jak się nazywasz? - pytam.

- Twój ojciec nie chce wiedzieć - odpowiada. - I nie chce, żebyś tu była.

- Nie powiem mu. Dziewczyna się nie odzywa.

- Musimy się do ciebie jakoś zwracać - staram się ją przekonać.

Zastanawia się przez minutę. Dwie minuty.

- Możesz się do mnie zwracać Charlotte - mówi w końcu.

- Charlotte? Kiwa głową.

„Charlotte” - powtarzam po cichu. Nie znam żadnej Charlotte. Nigdy nie znałam.

- To ładne imię - mówię. - Prawdziwe?

- Tak - odpowiada.

Ale ja chcę wiedzieć znacznie więcej. Ile ma lat? Skąd pochodzi? Kim jest ten mężczyzna? Czy bardzo go kocha?

- Dziecko czuje się dobrze - mówię zamiast tego. Szloch - jakby głośnie przełknięcie, jedno, potem drugie.

Dziewczyna nerwowo mruga oczami, leci jej z nosa, po górnej wardze. Nie potrafi dyskretnie płakać. Wyciera nos różowym rękawem. Biegnę do łazienki i przynoszę zwitek papieru toaletowego.

- Przepraszam, nie powinnam nic mówić - tłumaczę się. Dziewczyna kwituje moje przeprosiny machnięciem ręki.

- Powiedz mi coś o tym - proszę.

- Kiedy nie mogę. - Wyciera nos. - Nie teraz.

Ale w tym „teraz” zawiera się wszystko. „Teraz” oznacza przyszłość, jakiś nieokreślony czas, w którym mi się zwierzy i opowie swoją historię - jeśli tylko poczekam, jeśli tylko okażę się dostatecznie cierpliwa.

Jestem oszołomiona zawartą w tym słowie obietnicą.

- Koniecznie muszę się przespać - oświadcza dziewczyna, jeszcze raz wycierając nos.

- Mamy pokój gościnny - mówię - dla babci. Przyjeżdża do nas na

święta. Możesz się tam zamknąć i przespać.

- A ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu?
- Nie - odpowiadam, nie mając do tego żadnego prawa.

Dziewczyna wstaje z sofy, zrzucając sweter i pled. Prowadzę ją do schodów na tyłach domu. Idzie, przystając, wciągając się po stopniach z pomocą poręczy. Wchodzimy do pokoju z podwójnym łóżkiem, przykrytym białą narzutą, która kiedyś leżała na łóżku moich rodziców. Wyjmuję z szafy kołdrę i jak umiem najlepiej rozkładam ją na narzucie. Koło łóżka stoi mały stolik z lampką; a na prawo od niego komoda z lustrem. W innym kącie jest fotel na biegunach, a obok niego bardzo mocna lampa, którą ojciec tam postawił, żeby babcia mogła sobie siedzieć i czytać, kiedy do nas przyjeżdża. Dziewczyna podchodzi wprost do łóżka, odrzuca kołdrę i natychmiast się kładzie.

- Za chwilę wrócę, żeby sprawdzić, czy niczego nie potrzebujesz - mówię.

Ale ona ma zamknięte oczy i wszystko wskazuje na to, że już śpi.

Odwracam się i niechętnie wychodzę z pokoju. Zamykam drzwi z przesadną delikatnością. Przez jakiś czas siedzę na dolnym stopniu - zdążyłabym w tym czasie solidnie odśnieżyć najbliższe otoczenie domu - i idę do stodoły.

- Zaprowadziłam ją do pokoju gościnnego - mówię. Ojciec odstępuje od piły.

- Nie życzę sobie, żebyś z nią rozmawiała - mówi, opuszczając gogle. - Wydawało mi się, że to jest jasne.

Wzruszam ramionami.

- Jak tylko pogoda się poprawi, poproszę ją, żeby stąd znikła. Nie możesz brać w tym udziału, Nicky.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie możesz brać w tym udziału.

- Nie, chcę powiedzieć, że ty - mówi ojciec, pokazując na mnie palcem. - To bardzo poważna sprawa. I masz nikomu nie mówić na ten temat ani słowa. W każdym razie teraz. I nigdy. Rozumiesz?

Odwracam się i wychodzę z pracowni, zanim ojciec na dobre rozpędzi się ze swoim wykładem. Przynoszę tacę z pokoju wypoczynkowego do kuchni i zmywam naczynia. Dojadam zupę prosto z rondla. Wchodzę na górę i staję pod drzwiami pokoju gościnnego, nasłuchując jakiegos

charakterystycznego odgłosu, jakiegokolwiek odgłosu, który by pozwolił wysnuć jakąś historię. Zawiedziona, idę do swojego pokoju, siadam przy biurku i próbuję pracować nad naszyjnikami z paciorków dla babci. Jest to skomplikowane, ambitne przedsięwzięcie - naszyjnik ma mieć rzeźbiony wisiołek - ale ze zdenerwowania nie mogę zmusić palców, żeby robiły to, co chcę. Od czasu do czasu podchodzę do okna i patrzę na śnieg. Pociesza mnie widok śnieżycy i wiatr, zapowiadający zamieć śnieżną. Będzie problem z ubraniem - myślę - ale ostatecznie może chodzić w koszulach ojca. Dżinsy niedługo wyschną. Niespokojna, kładę się i patrzę w sufit, wyobrażając sobie tydzień, który Charlotte spędzi z nami. Widzę, jak siedzimy we dwie w wygodnych pozycjach - ojca akurat szczęśliwie nie ma - i Charlotte opowiada mi swoją niesamowitą, sensacyjną historię.

Siadam na łóżku. Mam pomysł.

Biorę suszarkę do włosów i idę z nią na dół. Zdejmuję dżinsy Charlotte z kołka w przedpokoju i wieszam je w łazience na drzwiach. Spodnie są mokre po wewnętrznej stronie ud. Łapię je za nogawki i dmucham suszarką w mokre miejsca.

Gruby dżins nie schnie tak szybko, jak w moim pojęciu powinien, a ja się boję, że szum suszarki obudzi Charlotte. Wolałabym też, żeby nie złapała mnie na tej czynności; chcę po prostu, żeby znalazła swoje spodnie ciepłe i elegancko złożone.

Kiedy wyłączam suszarkę, słyszę pukanie do drzwi wejściowych.

Znow jakiś klient? To niemożliwe - myślę. Sami ledwie tu dojechaliśmy.

Wychodzę z łazienki i w szybie drzwi widzę czerwone światło. Zastygam w miejscu, niczym w grze dziecięcej. Wstrzymuję oddech. Nie mam innego wyboru, muszę iść i otworzyć drzwi.

- Nicky - mówi Warren, wchodząc do środka.

Rozlega się staccato obłupywania śniegu, który opada na podłogę.

- Jest tata? - pyta detektyw.

W uszach mam bezgłośny zgrzyt.

- Nie - odpowiadam.

- Chciałem go zapytać o parę rzeczy. - Śnieg z jego butów zaczyna topnieć na wycieracze. - Spieszyłem się, żeby zdążyć przed

najgorszym.

Przez chwilę nie mogę dobyć głosu.

- Gdzie jest ojciec? - pyta Warren, przyglądając mi się badawczo.

- Hmm... musiał iść do lasu po siekiere - mówię. - Zostawił ją gdzieś w lesie i poszedł jej szukać, bo się boi, żeby jej całkiem nie zasypał śnieg.

Czuję zawrót głowy. Kłamstwo jest gigantyczne. Wspaniałe.

- Naprawdę? - dziwi się Warren. Rozpina płaszcz i otrzepuje go ze śniegu, przypominając ptaka z rozpostartymi skrzydłami.

Z korytarza, przez kuchnię, mam widok na pokój wypoczynkowy, na sofę i na brzydki czerwono-czarny szydełkowy pled.

- Co za koszmar na dworze - mówi Warren.

Na poduszkach leży różowy sweter z guzikami z masy perłowej, rozłożony tak, jakby dziewczyna dopiero go zdjęła. Warren po kilkanaście razy wyciera buty.

- Czy mógłbym poprosić o szklankę wody? - mówi, obrzucając wzrokiem wiszące na wieszakach kurtki.

- Jasne - odpowiadam.

Idzie ze mną do kuchni; po drodze spogląda w górę, na schody.

- Mam zimowe opony, ale mimo wszystko...

W kuchni przygląda się naczyniom w zlewozmywaku. Wyjmuję z szafki szklankę, napełniam ją wodą z kranu i wręczam detektywowi. Czuję w jego oddechu miętę i staram się nie patrzeć na jego bliznę.

- Znaleźliśmy latarkę. Chciałem się dowiedzieć, czy to latarka twojego ojca, czy tamtego faceta.

- Prawdopodobnie ojca - mówię szybko. - Zgubiliśmy tamtego wieczoru latarkę w śniegu.

- Tak też pomyślałem. - Warren ponad moją głowę zagląda do pokoju wypoczynkowego. - Ustawiliście już choinkę?

- Zrobimy to w wigilię - odpowiadam. Upija duży łyk wody.

- To ile ty masz lat? - pyta.

- Dwanaście.

Słyszę, że otwierają się drzwi wejściowe.

- Tata - mówię, patrząc obok detektywa. Umieram.

- Co się dzieje? - pyta ojciec.

Pionowe bruzdy na jego czole są bardzo wyraźne.

- Przyszedłem się dowiedzieć, czy tamtego wieczoru, kiedy znaleźliście dziecko, nie zgubiliście przypadkiem latarki - mówi Warren.

- Znalazł pan siekierę?

Ojciec się nie odzywa.

- Pamiętasz, tato, jak mówiłeś, że idziesz do lasu poszukać swojej siekiery? - mówię, patrząc mu w oczy.

- Znaleźliśmy latarkę - powtarza Warren. - Nicky twierdzi, że tamtego wieczoru zgubiliście latarkę.

- To prawda.

- Jakiego rodzaju?

- Nie wiem. Czarna z żółtym włącznikiem.

- Tak, to ta sama.

Ręka mi opada. Zamykam oczy i krzywię się lekko, tak jak nieraz dziewczyny w szkole, jakbym czekała na ustąpienie bolesnego skurczu.

- To co, szykujecie się do Bożego Narodzenia? Ojciec rozpina kurtkę.

- Bo myśmy już ustawili drzewko - mówi Warren, popijając wodę. - Jeden z moich chłopców, ten ośmiolatek, on jest autystyczny, bardzo lubi choinkę.

Ojciec kiwa głową.

- W Concord jest specjalista - ciągnie Warren. - Podobno najlepszy w New Hampshire. Dlatego się tu przenieśliśmy.

Słyszę delikatne skrzypienie podłogi w korytarzu na górze. Patrzę na Warrena, żeby się przekonać, czy i on to słyszy.

Łapię z haczyka ścierkę i zaczynam jeździć nią po podłodze, do czego wciąż stara się mnie nakłonić ojciec.

- Ale to bardzo trudne - mówi Warren - trudne przede wszystkim dla mojej żony, dla Mary. Bo Tommy, czyli nasz syn, nie lubi, żeby go dotykać.

Ojciec wydaje pomruk. Przerwa i - potem znów strumień słów. Posuwam się na ścierce do schodów i patrzę w górę. Na podeście widzę Charlotte z odgniecionym na twarzy śladem poduszki.

- Spodziewamy się rodziny - mówi Warren. - Na wigilii będzie dziewiętnaście-dwadzieścia osób.

Zerkam, by się upewnić, że detektyw nie widzi, i wymownie potrząsam głową, gestem mówiąc wyraźne „nie”.

- Mary i jej siostra zrobią trzysta pierogów - opowiada dalej Warren.
- Bo moja żona jest Polką.

Schylam się po ścierkę i robię ruch, jakbym chciała wytrzeć stopień. Milcząco błagam Charlotte, żeby zrozumiała.

Przechyliła głowę i nareszcie widzę, że zaczyna „słuchać” oczami i dociera do niej obcy głos. Wyciąga ramiona jak baletnica i przez chwilę wydaje mi się, że dofrunie z górnego stopnia. Zakręciwszy na palcach pirueta, Charlotte znika z podestu.

Bardzo ostrożnie cofam się i oddycham z ulgą.

Za oknem śnieg zamienia się w lód i dzwoni o szyby.

- Przyniosę wam trochę — mówi Warren i stawia szklankę na półce.
- Kiepska pogoda. Lepiej sprawcie sobie drugą latarkę.
- Tam, gdzie tę kupiłem, jest ich pełno.
- W jednej mogą zawsze wysiąść baterie.
- Owszem, mogą.

Detektyw spogląda w moją stronę i jednocześnie uchyla drzwi, którymi odsuwa parocentymetrową warstwę śniegu. Macha nam ręką i schylony, przytrzymując poły płaszcz, wychodzi w śnieżycę. Z podniesionym kołnierzem brnie przez podjazd. Rękawiczkami wyciera przednią szybę i wsiada do swojego dżipa, przyglądając się rozmazanym śladom opon w śniegu. Z miejsca, w którym stoi, nie widać ani ciężarówki ojca, ani niebieskiego samochodu Charlotte. Musiałby podejść bliżej lasu, żeby uzyskać właściwy kąt widzenia. Ale tego nie robi. Patrzę, jak wrzuca wsteczny, zawraca i odjeżdża. Ojciec zamyka drzwi.

- Co ty sobie, na miłość boską, wyobrażasz? - zwraca się do mnie. Stoję ze wzrokiem wbitym w podłogę.
- Chcesz nas wpakować w jeszcze gorsze tarapaty? Podnoszę oczy.
- Tylko próbowałam się go pozbyć - mówię. Jest to prawda, ale nie do końca.
- Ona podeszła do schodów - tłumaczę.
- Wiem. Słyszałem.
- Słyszałeś?

- Tak, slyszalem.
- A on slyszal, jak myslisz?
- Nie wiem. Ale ze względu na ciebie mam nadzieje, ze nie.
Ojciec ze zloscia zaciaga suwak kurtki.
- Będe w pracowni.

Scandalous

Rozdział 9

W dniu, w którym opuszczaliśmy Nowy Jork, ojciec załadował na przyczepę pudła, narzędzia, walizki, rowery, narty i książki. Wszystko to nakrył niebieską plandeką i owiązał linką, po czym pochylił głowę nad plastikiem i stał w tej pozie tak długo, że zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zasnął.

Przez cały ranek oczekiwał, że będę mu pomagała w pakowaniu. Po większe rzeczy miała się zgłosić firma przeprowadzkowa już po naszym wyjeździe. Ojciec zostawił mnie w kuchni ze stosem starych gazet i kilkunastoma nowymi pudłami tekturowymi i polecił mi, żebym się zajęła naczyniami. Wskutek jednak zmęczenia, złości i ogólnej inercji ogarnęła mnie całkowita bezsilność: nie chciałam się pakować, nie chciałam się nigdzie przeprowadzać. Brałam do ręki pierwszy lepszy przedmiot, patrzyłam na niego, odkładałam na miejsce, a potem znów podnosiłam i myślałam: jak mam zapakować, na przykład, szybkowar? Co zrobić z mikserem? Bolały mnie nogi, ramiona, bolała mnie głowa od płaczu. Ostatni raz widzę mój przedpokój nocą - powtarzałam sobie od dwudziestu czterech godzin. Ostatni raz będę siedziała na mojej huśtawce. Ostatni raz będę sięgała do tej szafki po cheerios. Nasza przeprowadzka tak wielkim ciężarem przywalała cały dom i jego zawartość, że podniesienie szklanki wymagało siły Herkulesa.

Pakowałam więc bezmyślnie - szklanki razem z talerzykami, resztę talerzy z czymś innym, a do tego wszystkiego zapomniałam te pudła opisać. Po przeprowadzce miesiącami jeszcze musieliśmy rozpakowywać po sześć czy siedem pudeł naraz, żeby znaleźć toster, naczynie z podziałką czy drewniane łyżki.

Kiedy ojciec powiedział, że czas wsiadać do samochodu, nie chciałam się ruszyć z miejsca. Dał mi więc jeszcze z godzinę spokoju, a sam

tymczasem sprawdzał wszystkie pomieszczenia po kilka razy, zaglądając do szaf, szafek i pod łóżka. W końcu musiał mnie po prostu fizycznie wynieść z jedyne go domu, jaki kiedykolwiek znałam, z domu, w którym ciągle jeszcze były sprzęty pamiętające dotyk mamy i Clary. Przez cały czas, aż do autostrady Massachusetts, nie przestawałam szlochać.

Odległość z Nowego Jorku do New Hampshire można pokonać samochodem w trzy godziny, ale nam to zajęło znacznie więcej. Ojciec jechał szosą numer 91, autostradą biegnącą między New Hampshire a Vermontem, właściwie nie wiedząc, w którym stanie ostatecznie wylądujemy. Wreszcie, wyczerpany, zatrzymał się w White River Junction, gdzie zamówiliśmy późną kolację, której żadne z nas nie mogło zjeść. W najbliższym motelu padłam na łóżko w ubraniu, zamierzając później wstać, umyć zęby i rozebrać się, ale nic z tego nie wyszło. Nazajutrz rano obudziłam się zdezorientowana i półprzytomna. Czułam się tak, jak bym się prześlizgnęła przez szczelinę czasu i stała w rozkroku pomiędzy życiem dotychczasowym a przyszłością. O której zresztą myślałam bez entuzjazmu, podobnie jak ojciec.

Rano, przy naleśnikach z jagodami, cały czas marudziłam i ojciec z niesmakiem opuścił restaurację. Kiedy wreszcie wsiadłam do samochodu, próbował się wydostać z White River Junction, żeby jechać dalej na północ. Pamiętam kilka zaskakujących rozjazdów i chwilę, w której ojciec zorientował się, że jesteśmy na szosie 89 i jedziemy... na południe.

- Zobaczymy, dokąd nas ta droga zaprowadzi - powiedział, wzruszając ramionami.

A droga wznosiła się powoli ku niewielkim górkom z niesamowicie białymi skalnymi półkami. Zamarznięte wodospady połyskiwały błękitem, a po północnej stronie drzew i domów tu i ówdzie zalegały białe łaty śniegu. Nie zajechaliśmy daleko - może po pół godzinie ojciec zjechał z autostrady. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że jeśli szybko nie zakończymy naszej podróży, to albo znajdziemy się z powrotem w Massachusetts, albo zabraknie nam paliwa. Zjechaliśmy więc z autostrady na szosę, która na odcinku jakichś dwóch czy trzech kilometrów prowadziła przez niewielkie miasto, i zatrzymaliśmy się przed agencją nieruchomości Croydon Realty.

Przypominałam bezwolną kukłę - siedziałam na miejscu pasażera z rękami złożonymi na obszernej kurtce, z brodą wciśniętą w kołnierz. Nie chciałam nawet patrzeć na ojca.

- Nicky - odezwał się łagodnie.
- Co?
- Musimy się postarać.
- Postarać o co?
- Postarać się o to, żeby się tu jakoś odnaleźć.
- Nie chcę się tu odnajdywać.

Westchnął i słyszałam, jak bębni palcami o kierownicę. Czekał.

- Wiem, jakie to musi być dla ciebie trudne - powiedział w końcu.
- Nie masz zielonego pojęcia - burknęłam, zwijając się w jeszcze bardziej zwarty kłębek.

- Myślałem, że jednak mam - odparł głosem celowo cichym, celowo spokojnym.

Czego nie można było powiedzieć o mnie.

- To jest takie niesprawiedliwe! - wykrzyknęłam.
- Masz rację.
- Ale dlaczego? - jęczałam.
- Tu nie ma „dlaczego”, Nicky.
- Jest, właśnie, że jest. Nie musieliśmy wyjeżdżać. Mogliśmy zostać w domu.

- Nie, Nicky, nie mogliśmy.
- To może ty nie mogłeś.
- To prawda. Ja nie mogłem.

Zaczęłam płakać i trząść się. Wtedy to był mój naturalny stan. Ojciec położył mi rękę na ramieniu. Wykańczałam nas oboje.

- Przykro mi, Nicky - powiedział.

Szarpnęłam się, zrzucając jego rękę. Siadłam prosto i rozejrzałam się dokoła.

- Gdzie one są?! - wykrzyknęłam w nagłym przystępie paniki.

Drzwi agencji nieruchomości Croydon Realty otworzyły się i wyszła z nich kobieta z szycją owiniętą szalikiem. Miała buty do kostek obszyte futerkiem.

- Gdzie jest kto? - zapytał ojciec.

- Wiesz kto - odparłam. - Mama! I Clara! Gdzie one są?
- Och, Nicky - powiedział ojciec bezradnie. Zamknął oczy i oparł głowę na zagłówku.
- Nienawidzę cię! - wrzasnęłam.

Otworzyłam drzwi i wysiadłam na jezdnię między samochodem a krawężnikiem. W przystępie furii zupełnie zapomniałam, że w samochodzie, jak zwykle, zdjęłam buty, żeby sobie nie przegrzać stóp. Stałam więc teraz w samych rajstopach w topniejącym śniegu. Kobieta zatrzymała się na stopniach Croydon Realty. Ojciec oparł czoło na kierownicy.

Kobieta popatrzyła najpierw na mnie, potem na ojca, wreszcie na okrytą plandeką przyczepę. Próbowwała nas ocenić jako klientów. Cofnęła się do biura. Kostki bolały mnie od lodowatej wody. Wskoczyłam z powrotem do samochodu i zatrzasnęłam drzwi najmocniej, jak tylko mogłam. Ojciec wysiadł. Poprawił szary tweedowy płaszcz (który miał na sobie po raz ostatni), przeskoczył przez kałużę i ruszył w stronę agencji nieruchomości.

I tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie z Shepherd w stanie New Hampshire.

Wchodzę na górę, do pokoju gościnnego. Pukam i wołam Charlotte po imieniu.

Nie słyszę żadnej odpowiedzi, wołam po raz drugi. Uchylam drzwi.

Żaluzje są opuszczone, więc chwilę czekam, żeby przyzwyczaić wzrok do panującego w pokoju mroku. Wreszcie ją widzę: siedzi w fotelu mojej babci w jakiejś dziwnie sztywnej pozie, z rękami splecionymi na kolanach.

- Charlotte?
- Chcesz, żebym zeszła na dół - mówi bezbarwnym głosem.
- Nie, nie. - Dociera do mnie, że dziewczyna siedzi w idiotycznych spodniach od piżamy i czeka, że ją zawołamy na dół i wyrzucimy z domu, a może nawet każemy aresztować. - Nie - powtarzam. - To tylko ja, Nicky, przyniosłam ci twoje džinsy. I to - dodaję, wyciągając w jej stronę różowy sweter.
- Wszystko w porządku? - pyta.
- Wszystko. - Nawet w mroku widzę, jak ramiona Charlotte opadają

w wyrazie ulgi.

- A kto to był? - pyta.
- Detektyw. Nazywa się Warren. To właśnie on cię poszukuje.
- O Boże, tak myślałam. A skąd wie, że tu jestem?
- On chyba nie wie. Przyszedł powiedzieć mojemu ojcu, że znalazł latarkę... - przerywam ze strachu, że Charlotte znów zemdleje. - No wiesz, gdzie... - dodaję szybko.
- I twój ojciec mu nie powiedział, że tu jestem?
- Nie.
- Boże... - Tym razem, zamiast paniki, w głosie Charlotte słyszę

ulgę.

- Wszystko w porządku - uspokajam ją. - Już wyszedł. I nie wróci.

W taką pogodę...

- Przeze mnie staliście się współnikami - mówi Charlotte.

Wspólnikami - powtarzam w myślach. Jestem zachwycona tym słowem.

Przesuwa dłonią po leżącym na jej kolanach różowym swetrze.

- Zjadłabyś coś? - pytam.
- Nie teraz.
- Powinnam dać ci się wyspać - mówię.
- Nie idź.

Wstaje z fotela, zostawia dzinsy i sweter na poduszce, po czym wraca do łóżka, odrzuca kołdrę i kładzie się. Jest to tak zwykły, codzienny gest w zupełnie zwykłym pokoju, że z trudem uświadamiam sobie bezmiar jej zbrodni. Nie bardzo wiedząc, co robić, siadam po turecku na podłodze koło łóżka.

- Wiesz coś o dziecku? - pyta Charlotte.

Jestem zdumiona odwagą tego pytania, ale boję się odpowiedzieć, żeby znów nie zaczęła płakać. W mroku ledwie widzę jej twarz. Leży jak dziecko, z dłońmi podłożonymi pod policzek. Wydaje mi się, że czuję jej zapach: ciepły, niespokojny, ale jednocześnie nie pozbawiony czegoś miłego.

Biorę głęboki oddech i zaczynam mówić w pośpiechu:

- Wszystko będzie z nią dobrze. Naprawdę, zobaczysz. Tylko straciła jeden paluszek. Ale palce u nóg i wszystko poza tym jest w porządku. Nie wiem, który palec straciła.

- Och. - Ciche „och”, nawet nie jęk, tylko odgłos, który wsiąka gdzieś w kąty.

- Jest w rodzinie zastępczej. - Mówię teraz bardzo ostrożnie, ponieważ każde słowo może się okazać zdradliwe i wywołać fontanny łez.

- Gdzie? - pyta Charlotte.

- Nie wiemy - odpowiadam. - I chyba nam nie powiedzą. Nazwali ją Mała Doris.

- Doris - powtarza Charlotte, wyraźnie zdziwiona.

- Nie wiemy, dlaczego - mówię. - Może to jest jakiś system. Jak z nazwami huraganów.

- Doris - powtarza Charlotte, a ja słyszę w jej głosie nutę złości. Unosi się i prawie siada.

- Ale to nie będzie jej prawdziwe imię... to znaczy... później - wyjaśniam.

- Ktoś je zmieni...

- Prawdopodobnie.

Głowa Charlotte opada na poduszkę.

- Straszne imię - wyrывa się jej.

- Ale przecież możesz ją odzyskać - mówię szybko. - Jestem o tym przekonana.

Charlotte milczy.

- Nie chcesz jej odzyskać?

- Nie mogłabym się nią zająć. - Głos Charlotte jest dziwnie bezbarwny, pozbawiony wszelkich emocji. - Nie mam gdzie mieszkać.

- Zupełnie nie masz?

Charlotte przewraca się na plecy i patrzy w sufit. Moje oczy przywykły do ciemności i widzę jej profil: nieznacznie wysunięty podbródek, zaciśnięte usta, otwarte oczy, bajecznie długie rzęsy, gładkie czoło.

- Zupełnie.

- Ale przecież musiałaś gdzieś mieszkać - upieram się.

- Oczywiście, że mieszkałam. Ale nie mogę tam wrócić. Już nie mogę.

Mam ochotę zapytać dlaczego, ale tłumaczę sobie, że muszę być

ostrożna i cierpliwa, tak samo jak ojciec, kiedy zapala silnik swojej ciężarówki. Zamiast tego pytam:

- Ile masz lat?

- Dziewiętnaście - mówi Charlotte, odwracając się do mnie. - Jesteście tylko we dwoje? Ty i ojciec?

- Tak.

- A co się stało z twoją mamą?

- Nie żyje - mówię.

Charlotte wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia.

- Tak mi przykro. - Jej palce jeszcze przez chwilę leżą na moim ramieniu, po czym cofa rękę pod kołdrę. - He miałś wtedy lat?

- Dziesięć.

- Musiało ci być bardzo ciężko, prawda? Wzruszam ramionami.

- Miałam też siostrę. Nazywała się Clara. Miała rok. Zginęła razem z mamą w wypadku samochodowym.

Oczekuję znów jej ręki na swoim ramieniu, ale Charlotte trzyma rękę pod kołdrą.

- Jak wyglądała? - pyta.

- Clara?

- Twoja mama. Jaka była?

- Była ładna - odpowiadam. - Niezbyt wysoka, ale szczupła. Miała długie, falujące ciemnoblonde włosy. Po urodzeniu Clary obcięła je, ale ją najlepiej zapamiętałam z długimi.

- Podobna do ciebie? Pokażesz mi zdjęcie? - pyta Charlotte.

- Tak. Pokażę - odpowiadam i już sobie wyobrażam siebie i Charlotte, jak siedzimy razem, pochylone nad albumem.

- Żałuję, że nie mam zdjęcia - mówi Charlotte - choćby jednego zdjęcia.

Te słowa uderzają we mnie jak piłka koszykowa, rzucona mi prosto w pierś. Uświadamiam sobie, że najprawdopodobniej Charlotte nie ma zielonego pojęcia, jak wygląda jej dziecko. Czy w szpitalu zrobiono małej zdjęcie? Czy policja ma je w swoich aktach?

- Gdzie mieszkałaś? - pytam.

- Nie mogę... - zaczyna Charlotte.

- Nikomu nie powiem - zapewniam ją. - Nawet ojcu.

- Powiedzmy, że w małym miasteczku na północ stąd - mówi Charlotte.

- W New Hampshire?

- Mhm, być może. Twój tata to miły facet. Wiem, że mnie tu nie chce i że jest zły, ale mimo wszystko ma miłą twarz. Do której chodzisz klasy?

- Do siódmej.

- Lubisz szkołę? Poprawiam nogi.

- Tak sobie. - Prawdę mówiąc, lubię szkołę, ale wolę nie robić wrażenia zbyt pilnej, żeby nie wyjść na idiotkę. Bo to, co Charlotte sobie o mnie pomyśli, już zaczęło być dla mnie ważne.

- Byłam w szkole - mówi Charlotte.

- W jakiej? - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Charlotte w ławce albo czytającej książkę.

- W college'u. Ale rzuciłam. - Robi przerwę. - Jednak postanowiłam wrócić.

Odnoszę wrażenie, że cała jej historia - historia, którą tak bardzo chcę poznać - jest zawarta w tej właśnie pauzie.

- Masz chłopaka?

Charlotte przysuwa się tak, że jej głowa dotyka krawędzi łóżka. Czuję jej oddech, ale nie wiem, co odpowiedzieć. Myślę o jedynym chłopcu, którego mogłabym nazwać przyjacielem, o biednym Rogerze Kellym, który nie spełnia warunków „chłopaka”.

- Jeszcze nie - odpowiadam.

- Ale będziesz miała - oświadcza, a ja się zastanawiam, skąd ta pewność.

Pochyliłam głowę i zaczynam skubać dywan. Teraz jest odpowiednia chwila, żeby ją zapytać o tego mężczyznę. Waham się jednak i tracę moment, w którym to pytanie byłoby łatwe i naturalne.

- Jak jest na dworze? - pyta Charlotte.

- Dość paskudnie - odpowiadam, podnosząc wzrok. - Musisz u nas zostać. - Czekam na jej protest, ale z ulgą stwierdzam, że nic takiego nie następuje.

- Może będziesz musiała zostać u nas parę dni - próbuję nieśmiało.

- Nie mogę tu zostać - odpowiada i wyciąga rękę spod kołdry. - W

ogóle nie zamierzałam się tu zatrzymywać.

- A dokąd byś poszła?

- Och, mam różne miejsca... - mówi mgliście.

Przez zamknięte drzwi słyszę, że woła mnie z dołu ojciec.

Rozprostowuję nogi i szybko wstaję. Nie chcę, by przyszedł na górę i zobaczył, że siedzę w ciemnym pokoju koło łóżka Charlotte.

- Muszę już iść. Ojciec mnie woła.

- On nie chce, żebyś tu była - mówi Charlotte i podpira się łokciem.

- Dziękuję ci, że mi wysuszyłaś dzinsy.

- Możesz zejść na dół, jak będziesz gotowa - zachęcam ją.

- Nie powinnam tu była w ogóle przyjeżdżać. - Charlotte patrzy na blade pasma światła wokół rolety w oknie.

- Cieszę się, że przyjechałaś - wyrzucam z siebie.

- Powiedz, jak to było? - pyta. - Kiedy ją znaleźliście? Uświadamiam sobie w tej chwili, że wiem coś, czego ona nie wie, i że ta wiedza jest niezasłużona. Znow słyszę głos ojca. Jeszcze chwila i przyjdzie na górę mnie szukać.

- Mała była trochę ubrudzona, ale miała fantastyczne oczka i była taka spokojna, jakby na nas czekała. I miała ciemne włoski.

- Dużo niemowlaków ma na początku ciemne włoski - mówi Charlotte. - A potem te pierwsze włoski wypadają. Czytałam o tym.

- Była śliczna - zapewniam ją.

Przygotowuję się na zwierzęcy jęk - ryk krowy, nawołującej cielę; lwicy szukającej małych - ale jest cicho, więc wychodzę z pokoju.

Rozdział 10

Dwa, trzy razy do roku odwiedzałam ojca w jego biurze w Nowym Jorku. Mieściło się przy Madison Avenue w pobliżu katedry Św. Patryka. Ojciec był zadowolony z tej lokalizacji, bo kiedy przyjeżdżał pociągiem, mógł w razie potrzeby łatwo dobiec do Grand Central. Mama też ceniła sobie ten adres - ze względu na jego centralne położenie, dogodne z uwagi na jej „wypadki do miasta”, jak to nazywała. Interesuje cię „wypadek do miasta”? - pytała, a ja wiedziałam, że oznacza to wizytę w Nowym Jorku. Musiałam wtedy ubrać się w najlepsze rzeczy i włożyć pantofle (żadne tam tenisówki), a także przejść krótką powtórkę z zachowania, tak jak pilot musi od czasu do czasu przejść sprawdzian na sprzęcie, na którym lata.

Wsiadałyśmy do pociągu na naszej stacji. Mama puszczała mnie na miejsce przy oknie, żebym po drodze na Manhattan mogła patrzeć na Hudson River, na skalną ścianę Palisades i na bezmiar George Washington Bridge. Kiedy pociąg dojeżdżał do miasta, a było akurat wolne miejsce, przesiadałam się na drugą stronę przedziału. Usiłowałam sobie wyobrazić ludzi mieszkających przy torach kolejowych. Wytężałam wzrok, wpatrując się w perspektywę długich ulic. Podziwem napawały mnie wysokie budynki mieszkalne i przemyskowe koło nich, zastanawiałam się, czy na dwudziestym piątym piętrze ktokolwiek używał balkonów. Zanurzaliśmy się w długi tunel, z którego wyłanialiśmy się następnie na ogromnej Grand Central Station. Kiedy przemierzałyśmy kamienną podłogę, starałam się dotrzymać tempa stukającym obcasom mamy. Nie puszczała mojej ręki, dopóki nie znalazłyśmy się w obrotowych drzwiach budynku, w którym mieściło się biuro taty.

Hol tego biura był udekorowany modelami budynków za-

projektowanych przez firmę ojca i wyeksponowanych w szklanych gablotach. Skomplikowane i precyzyjne, z postaciami i krzewami zrobionymi z zapalek, nie większe niż mój kciuk, modele te były miniaturowymi wszechświatami, do których koniecznie chciałam się dostać. Ojciec wychodził do holu, witając nas uroczyście, mimo że widzieliśmy się przy śniadaniu. Białą koszulę miał lekko wyrzuconą nad paskiem spodni, długie rękawy zawinięte i elegancko zawiązany krawat. Podczas rytuału, przypominającego nabożeństwo kościelne, całował mamę i przykazywał jej, żeby przypadkiem nie wydała za dużo pieniędzy; mama kwitowała to śmiechem i mówiła mi, żebym była grzeczna.

Kiedy szłam z ojcem korytarzem, mijając boksy pracowników, wychodziły do nas sekretarki i kreślarze, żeby się przywitać i przybić ze mną piątkę. Pamiętam dziewczynę o imieniu Penny, która zawsze miała twarde cukierki w słoju i zapraszała mnie do siebie i zachęcała, żebym próbowała różnych smaków. Ale najlepiej lubiłam Angusa, szefa taty, który sadzał mnie na wysokim stołku przed deską kreślarską i za każdym razem dawał mi nowy komplet kolorowych kredek. Wręczał także przykładowe zadania: miałam narysować a to dom, a to szkołę, a to front sklepu. Zawsze zabierałam się do tych zadań z wielkim zapalem i zawsze słyszałam wyszukane pochwały, zarówno od Angusa, jak i od ojca. „Powiedz mi jeszcze raz, ile masz lat? - pytał Angus ze śmiertelną powagą. - Bo niewykluczone, że będziemy cię musieli zaangażować tuż po gimnazjum”.

Czasem zdarzało się, że udawałam jedną z sekretarek, kiedy ojciec rozmawiał przez telefon albo siedział przy rajzbrecie. W południe wsuwał ręce w jedwabistą podszewkę marynarki i szliśmy na lunch. Jadaliśmy w delikatesach, gdzie zamawiałam naleśniki z serem i miseczkę surówki z kapusty. W szklanej gablotce obracały się desery i pamiętam męki wyboru pomiędzy sernikiem z wiśniami, eklerami czy ciastem z kremem czekoladowym. Ojciec, który normalnie nie jadał deserów, robił dla mnie wyjątek, żebym mogła spróbować przynajmniej dwóch rodzajów. Po lunchu szliśmy do ZOO w Central Parku albo do księgarni, gdzie mogłam sobie wybrać książkę. Ojciec był w biurze Robem, w delikatesach panem Dillon, a dla mnie tatą, mądrym i

fascynującym, w białej koszuli i garniturze i w rozpiętym płaszczu, którego poły powiewały, kiedy szedł chodnikiem, z uniesionym ramieniem i skierowanym w dół palcem, by zatrzymać taksówkę.

Mniej więcej o wpół do czwartej ogarniało mnie zmęczenie i znużenie, ale zwykle już o czwartej zjawiała się mama. Szła, dźwigając torby zakupów, zarumieniona i lekko zdyszana po „wypadzie do miasta”. Zawsze miałam wrażenie, że biegła. Reklamówki były z reguły egzotyczne: jedne błyszczące w różowe i białe paski; inne czarne ze złotym napisem firmowym. Ojciec udawał oburzonego nadmiarem zakupów, ale w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko temu. Kiedyś, kiedy rodzice myśleli, że wyszłam do łazienki i stali plecami do drzwi, mama wyjęła coś z bibułkowego opakowania. Mignął mi niebieski jedwab z delikatną koronką. Ojciec kuksnął mamę w pośladek, co wywołało u niej pozorowany atak agresji i śmiech.

Kiedy nadchodził czas pożegnania, ojciec ścisnął mnie mocno, jakbyśmy leciały z mamą do Paryża, a on rozstawał się z nami na wiele miesięcy, mimo że wracał do domu wkrótce po nas pociągiem szóstą dwadzieścia. Musiałyśmy dosłownie biec na stację i mama niezmiennie zasypiała, nim pociąg przejechał przez tunel. Zaglądałam wtedy do toreb, zdejmując wieka pudełek z butami i dotykając wełny, jedwabiu i bawełny. Najczęściej jednak ja też zasypiałam, opierając mamie na ramieniu głowę, która wkrótce i tak opadała na jej kolana.

W porze obiadu pojawia się Charlotte w dzinsach, białej koszuli i swetrze. Stoi w drzwiach kuchni, obejmując się ramionami. Jej oczy robią wrażenie zmęczonych, a nozdrza są zaróżowione.

- Cześć - mówię.

Walczę z obluzowaną skrobaczką do kartofli. Kartofle i sałata to moja działka. Ojciec stoi przy kuchni i smaży trzy piersi kurczaka. Jest odwrócony plecami do Charlotte i nie reaguje, kiedy wymieniam jej imię. Włosy na czubku głowy ma zwichrzone, tak jak w chwili, kiedy zdejmował czapkę. Prawie całe popołudnie spędził na odgarnianiu śniegu, co przypominało wyścig, w którym stale przegrywał.

Po wyjściu od Charlotte zeszedłam na dół, żeby zobaczyć, czego ojciec chce ode mnie, ale jemu chodziło tylko o to, by mnie stamtąd wyciągnąć. Poszłam więc do siebie zapakować dwa świąteczne prezenty: wełnianą

czapkę z wywijanym brzegiem w niebieskie i białe paski dla taty i rękawiczki dla Jo, z którą miałam jechać na narty. Ciągle jeszcze nie skończyłam naszyjnika z paciorków dla babci. Znużona, ruszyłam do pokoju wypoczynkowego, gdzie rozpałam ogień, wykorzystując odpady drewna z pracowni ojca. Ogień przypomni mi o cukierkach ślazowych - po chwili poszukiwań w szufladzie w kuchni znalazłam na pół otwartą torebkę. Zostały z lata i były twarde jak tektura. Zjadłam kilka, aż zrobiło mi się niedobrze, położyłam się więc na sofie, czekając, żeby mi przeszły mdłości. Myślałam o tym, jak jedna mała decyzja potrafi zmienić całe życie. Decyzja, do której podjęcia wystarczy ułamek sekundy. Co by było, gdybym tamtego grudniowego popołudnia, przed dziesięcioma dniami, kiedy ojciec spojrzął znad swojej roboty i zapytał: „Gotowa?“, odpowiedziała: „Nie“? Gdybym powiedziała, że jestem głodna albo że muszę odrabiać lekcje. Bo przecież gdybyśmy nie poszli na tamten spacer, nie byłoby teraz Małej Doris. Umarłaby na śniegu. Usłyszelibyśmy o tym od Marion albo od Sweetsera i byłibyśmy wstrząśnięci i zasmuceni jak zawsze, kiedy gdzieś w bliskim otoczeniu zostaje popełniona zbrodnia. Może mielibyśmy poczucie winy, że akurat tego dnia nie poszliśmy na spacer. Nie byłoby Charlotte ani Warrena, w każdym razie w naszym życiu.

- Czy Nicky to twoje prawdziwe imię? - pyta mnie teraz w kuchni Charlotte.

Czekam, że odpowie jej ojciec, że powie cokolwiek, ale kiedy się nie odzywa, mówię:

- To jest zdrobnienie od Nicole. - Ojciec w dalszym ciągu stoi tyłem do Charlotte, jakby nie wiedział, że ona jest w kuchni. - Prawda, tato? - pytam dobitnie.

Ale ojciec się nie odzywa.

- Czy mogę w czymś pomóc? - pyta Charlotte.

- Pewnie nie - mruczę pod nosem.

- Wobec tego nakryję do stołu - proponuje Charlotte, rozglądając się za stołem.

- U nas to wygląda inaczej - wyjaśniam cicho.

- To... to ja... po prostu usiądę. - Wyraźnie speszona wychodzi z kuchni.

- Dlaczego taki jesteś? - pytam ojca, kiedy zostajemy sami.
- Jaki? - odpowiada, zdejmując szczypcami mięso z patelni.
- No wiesz... niegrzeczny.
- Jak ci idzie z tymi kartoflami?
- Dobrze - odpowiadam, zagłębiając skrobaczkę w biały miąższ.

Za oknami gwizdże wiatr. Przez minutę śnieg pada równo, ale już po chwili wiatr zamiata nim o szyby. Myślę o Warrenie i zastanawiam się, czy dotarł już do swoich dwóch chłopców w domu. Myślę też o Małej Doris - czy zgodnie z planem zabrano ją ze szpitala i gdzie spędziła ostatnią noc.

Charlotte, ojciec i ja siedzimy w pokoju wypoczynkowym, z tacami na kolanach. Jest to sztuka, którą opanowaliśmy z ojcem do perfekcji, ale która Charlotte wyraźnie sprawia kłopot. Kurczak ślizga jej się po talerzu, a kawałki sałaty lądują na kolanach. Delikatnie zbiera je palcami. Ojciec, z twarzą zastygłą w maskę, je z determinacją. Nie zamierza przyjmować do wiadomości obecności Charlotte poza tym, co absolutnie niezbędne. Jem, miotana różnymi uczuciami: z jednej strony, cała moja czujność jest skierowana na Charlotte; z drugiej, narasta we mnie zniecierpliwienie wobec ojca. Charlotte, zdeprymowana całą tą sytuacją, je niewiele i wydaje się najbardziej speszona z nas trojga - ledwie unosi wzrok znad talerza, a każde przełknięcie wymaga od niej wysiłku. Na przemian to się czerwieni, to blednie, jakby ją nawiedzały fale wstydu. Wygląda tak, jakby się nagle miała zerwać z krzesła i uciec. Sztywność ojca sprawia, że i ja się nie odzywam. Wiatr świszczę i mruga światło, uświadamiając nam, że w każdej chwili możemy zostać bez prądu. Po dwóch zimach spędzonych w New Hampshire mamy zawsze w pogotowiu lichtarze, na pół wypalone świece i całą kolekcję latarek. Lubię nawet wyłączenia prądu, bo wtedy na cały czas śnieżycy idziemy z ojcem do pokoju wypoczynkowego, gdzie jest kominek. Śpimy w śpiworach, a nasza pomysłowość w zakresie rozrywki i przygotowywania posiłków jest poddana ciężkiej próbie. Są to chwile pełne ciepła, które spędzamy w przytulnej atmosferze, i zawsze, kiedy z wdziękiem policyjnych reflektorów wraca elektryczność, o której już zdążyliśmy zapomnieć, jestem trochę rozczarowana.

- Na pewno wyłączą prąd - oznajmiam. - Charlotte i ja możemy spać

tutaj w śpiworach.

Ojciec obrzuca mnie lodowatym spojrzeniem.

- Mnie będzie dobrze na górze - mówi Charlotte.

- Nie będzie ci dobrze, bo nie będzie ogrzewania - wyjaśniam. -

Jedyne ogrzewanie, jakie nam w tej sytuacji zostaje, to kominek tutaj.

Ojciec wstaje i wynosi swoją tacę do kuchni. Charlotte odkłada nóż i widelec, zadowolona, że to już koniec męki. Kładzie głowę na oparciu krzesła i zamyka oczy. Wstaję, biorę tacę jej i swoją i idę w ślady ojca. Dzielimy między siebie obowiązek zmywania - raz zmywa on, raz ja — ale nie mam wątpliwości, że dziś jest moja kolej. Mimo to ojciec już zaczął zmywać.

- Jesteś okropny - mówię.

- To fiasko.

Wracam do pokoju wypoczynkowego i stwierdzam, że Charlotte ma w dalszym ciągu zamknięte oczy; wydaje mi się, że śpi. Siadam naprzeciwko w fotelu ojca i przyglądam się jej twarzy. Powieki ma sinawe, usta lekko uchylone. Zastanawiam się, gdzie była i co robiła w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

Myślę o tym, jak niewiele brakowało, by ojciec powiedział Warrenowi, że na górze śpi Charlotte. I to byłby koniec. Charlotte, w mojej piżamie w różowe i niebieskie misie, zostałaby w naszym przedpokoju zakuta w kajdanki, wyprowadzona do dżipa i wywieziona. I moglibyśmy jej już nigdy więcej nie zobaczyć. Ojciec zawsze by mi mówił, że tak jest najlepiej, a ja bym zawsze wiedziała, że nie ma racji.

Zastanawiam się, gdzie Warren trzyma kajdanki. I czy nosi przy sobie broń.

Biorę do ręki książkę, którą to czytałam, to odkładałam - częściej zresztą odkładałam, niż czytałam, a to znak, że ją najpewniej odłożę na dobre. Znajduję miejsce, w którym przerwałam czytanie, i próbuję coś zrozumieć, ale nie mogę się skoncentrować. Z hukiem upuszczam książkę na stół.

Charlotte otwiera oczy.

- Chcesz obejrzeć mój pokój? - pytam.

Siada prosto, mrugając, jakby z lekka oszołomiona.

- Mogłabym ci pokazać zdjęcie mojej mamy - dodaję.

- Aha, dobrze.

Idziemy na górę do mojego pokoju, w którym zrobiłam porządek, kiedy Charlotte spała. Moja piżama i puste opakowanie po ring dingsach nie rzucają się w oczy. Zaraz po przekroczeniu progu mojego pokoju Charlotte wyraźnie się rozluźnia, jakby się znalazła na bardziej przyjaznym terytorium. Stoi i podziwia malowidło ścienne, a przynajmniej udaje, że podziwia. Ku mojemu zaskoczeniu, nie wydaje się już ono taką amatorszczyzną jak dawniej. Przypomina mi się Steve, z jakimś fikcyjnym numerem telefonu, który podał mu ojciec, i zastanawiam się, kogo zaskoczył, dzwoniąc.

- Jest fantastyczny - mówi Charlotte, z rękami wetkniętymi w tylne kieszenie dżinsów, w pozie, która podkreśla jej wypięty brzuch. Rozglądam się po pokoju i widzę go oczami obcej osoby: biurko z pudełkiem po butach, pełnym paciorków i zwojów cieniutkich rzemyków; łóżko z lawendowo-białą kołdrą, którą sobie przywiozłam z Nowego Jorku; półki z gramami, w które już nie gram; nocny stolik z lampą i radiem. Na podłodze lektura szkolna - *Zabić drozda*.

Charlotte przysiadła na brzegu łóżka - jedynym miejscu, poza krzesłem przy biurku, na którym można usiąść.

- Czy czesałaś się kiedyś we francuski warkocz? - pyta.

- Nie.

- Myślę, że byłoby ci dobrze. Chcesz, żebym ci zaplotła taki warkocz?

- No chyba.

- To usiądź koło mnie. - Bierze w ręce moje włosy i ściąga je do tyłu. Delikatny dotyk jej palców sprawia, że oczy same mi się zamykają. Od śmierci mamy nikt mnie tak nie dotykał. - Będzie mi potrzebna szczotka - mówi.

- Jest na parapecie.

Przesuwam się w stronę biurka, Charlotte staje za mną i zaczesuje włosy do góry. Czesanie, jak dotyk palców, jest kojące, pod jego wpływem popadam w stan, który jest czymś pomiędzy snem a jawą. Przez jakiś czas Charlotte pracuje w milczeniu.

- Jesteś jedynaczką? - pytam.

- Nie, mam dwóch starszych braci. Rodzice to francuskojęzyczni

Kanadyjczycy, bardzo zasadniczy, bardzo religijni. Ale bracia są ogromnie opiekuńczy.

- Czy oni wiedzą?

- A skąd! Chybaby mnie zabili. A już na pewno zabiliby... rozumiesz... mojego chłopaka.

„Chłopak”. To słowo przyprawia mnie o dreszcz, tak samo jak „wspólniczka”.

- Gdzie mieszkaliście przedtem? - pyta Charlotte, dzieląc moje włosy na pasma.

- W Nowym Jorku.

- To po co się tu przeprowadziliście?

- Ojciec tak postanowił. Twierdzi, że musiał, żeby się odciąć od wspomnień. Mówi, że nie mógłby po tym wszystkim mieszkać w naszym domu.

- Nie przeszkadzało ci to?

- Na początku byłam wściekła. Ale potem... nie wiem... doszłam do wniosku, że pewnie tak musiał, i po prostu się przyzwyczaiłam.

Dotykam nasady warkocza. Charlotte zaplata go fachowo, równo, bez dzikich kosmyków, dzięki czemu warkocz idealnie przylega mi do głowy.

- Rety - wyrażam swój podziw.

- Dawno nie oglądałam telewizji - mówi Charlotte, pociągając mnie za kosmyk włosów z lewej strony.

- Ale my nie mamy telewizora. Mam radio, telewizora tata nie chciał. Oboje z mamą uważali, że to niedobrze, by dzieci za dużo oglądały telewizji, a po wypadku ojciec bał się, że nie będzie w telewizji widział nic innego, poza wypadkami i katastrofami.

- A kiedy zginęły twoja mama i siostra?

- Dwa lata temu.

- I od tamtej pory nie miał kto cię czesać, tak?

- Tak.

Charlotte puszcza moje włosy. Widzę ją w małym okrągłym lusterku wiszącym nad biurkiem. Zamyka oczy. Od czasu do czasu świadomość tamtej nocy i następnego dnia, a także tego, co zrobiła i co jej się przydarzyło w tamtym motelowym pokoju, będzie ją prześladowała.

Wiem dokładnie, jakie to uczucie. Zaraz po naszej przeprowadzce do New Hampshire łąpały mnie nagłe ataki żalu - a to na boisku piłki nożnej, a to podczas próby szkolnej orkiestry. I nawet kiedy nie myślałam akurat o matce, w różnych dziwnych chwilach ogarniał mnie żal. Za każdym razem, kiedy wracałam myślą do mamy, stojącej w kuchni z kubkiem kawy, prowadzącej swojego volkswagena czy robiącej na drutach przed telewizorem, gdy oglądałam na wideo jakiś film Disneya, otóż za każdym razem natrafiałam na pustkę. Bardzo mnie to bolało i boli do dziś -jak odkryty przecięty nerw.

- Nic ci nie jest? - pytam.

- Nic. - Patrzę, jak na jej policzki wracają rumieńce. - Bardzo mi pomogła drzemka. I jedzenie.

- Dawno nie jadłaś?

- No, dość dawno.

- Potem możemy zejść na dół i zrobić sobie gorącej czekolady - proponuję. - Ja właściwie żyję gorącą czekoladą.

Słyszę kroki na podeście schodów i chwilę później stukanie do drzwi. Charlotte odkłada szczotkę na biurko i odskakuje ode mnie.

Wchodzi ojciec. Patrzy na mnie, potem na Charlotte i znów na mnie.

- Co tu się dzieje? - pyta.

Dowód na to, co robiłyśmy, w postaci mojej głowy jest aż nadto oczywisty.

Charlotte przesuwa się do przodu i omija mnie. Nie oglądając się za siebie, przemyka obok ojca i wychodzi z pokoju.

- Czy mam ją zamknąć w jej pokoju? - pyta ojciec.

- Nie - odpowiadam. Potrząsa głową.

- Na dworze jest gorzej, niż było - mówi.

To dobrze, myślę. Ojciec nie może wygnać Charlotte, a detektyw Warren nie może do nas dojechać. Chciałabym, żeby padało całymi tygodniami.

- Masz swoją latarkę? - pyta ojciec.

- Mam.

- A baterie?

- Też.

- Sądząc po tym wietrze, będziemy potrzebowali jednego i drugiego.

- A co z nią? - pytam, przechylając głowę w stronę pokoju gościnnego.

- Położyłem jej latarkę przy łóżku.
- Która godzina?
- Około wpół do dziesiątej.
- Nic nie mówisz o moich włosach. - Traktuję to jako małą prowokację.
- Jak nazywacie to uczesanie?
- Francuskim warkoczem.
- Ładnie ci. - Ojciec robi wrażenie wyczerpanego; wygląda zdecydowanie starszej niż na swoje czterdzieści dwa lata. - Idź spać - mówi i wzdycha.

Rozbieram się, kładę do łóżka i gaszę lampkę. Dotykam mojego nowego sztywnego warkocza i wsłuchuję się w jęk wiatru. Od czasu do czasu wydaje mi się, że słyszę na podjeździe samochód. Myślę o detektywie Warrenie. Czy mi uwierzył, kiedy mówiłam o siekierze? Nie mam pojęcia. Może był zadowolony z tego, że nie zastał ojca - łatwiej mu było rozejrzeć się po domu, kiedy nikt dorosły go nie obserwował.

Zasypiam przy akompaniamencie odgłosu skrobania łopata po granitowych stopniach.

Rozdział 11

Tamtego marcowego dnia, gdy przyjechaliśmy do miasta, agentka nieruchomości ubrana w szalik i buty z futrem pokazała nam trzy domy. Pierwszy, położony w pobliżu sklepu Remy, był skromny, jak się wyraziła pani Knight. Widok toalety w garażu wstrząsnął mną, nie mówiąc o brudnym sedesie, w którym musiało zginąć trudne do zidentyfikowania zwierzę. W kuchni były zielone blaty z laminatu i brązowe płytki podłogowe. To, że zdołam tam cokolwiek przełknąć, wydawało mi się mocno wątpliwe. Swój niesmak wyraziłam, stojąc cały czas przy drzwiach frontowych i odmawiając wejścia na górę. Ale niepotrzebnie się martwiłam. Dom, położony przy jednej z najruchliwszych ulic miasteczka, absolutnie nie wchodził w grę z punktu widzenia ojca, który szukał cichej przystani na lata.

Agentka nieruchomości była wścibska. Skąd jesteśmy? Dlaczego zainteresowało nas akurat Shepherd? Czy mamy w tych okolicach jakichś krewnych? Do której chodzę klasy? Byliśmy z ojcem solidarni w swojej powściągliwości - nie dowiedziała się od nas niczego. Gdyby ojciec był w formie, zmyśliłby jakieś fakty z naszego życia, chociażby po to, żeby zatkać jej usta, ale zarówno wyobraźnia, jak i serce go opuściły.

Drugi oglądany przez nas dom nazywał się Wzgórze Sadowe i stał na dwunastoakrowej działce, obsadzonej jabłonkami.

Był to zwykły, ale dobrze utrzymany budynek z pomalowaną na cytrynowy kolor kuchnią, która nawet w marcu pachniała jabłkami. Poszłam na górę, gdzie znalazłam cztery sypialnie z białymi zasłonami w oknach i puszystymi wzgórkami kołder na łóżkach. Miałam ochotę położyć się, zasnąć i obudzić w Nowym Jorku.

Ojciec oglądał dom tylko przez grzeczność, bo w najbliższym

sąsiedztwie stał stragan i chociaż my nie sprzedawalibyśmy jabłek ani żadnych innych produktów pochodzących z cytrynowej kuchni, to musiałyby upłynąć rok czy dwa, nim dawni klienci przestaliby przychodzić i dzwonić. Nie wyobrażałam sobie ojca, raz po raz wychodzącego do drzwi i informującego gości, że w tym roku nie będzie jabłecznika.

- Mam coś jeszcze - powiedziała pani Knight - ale ten dom leży już właściwie poza miastem.

Dla ojca były to magiczne słowa.

- Chętnie bym go obejrzał.

- Ale to kawał drogi po bezdrożach. - Kobieta zerknęła na naszego saaba i niewielką przyczepę. - Może być kłopot ze względu na szkołę córki.

- Mimo to chętnie obejrzę dom - powtórzył ojciec.

- Wobec tego weźmiemy wóz terenowy mojego męża - zdecydowała pani Knight.

Samochód podskakiwał na podjeździe, ślizgając się w miejscach, gdzie spod śniegu wystawało błoto. Dom i stodoła były położone na czymś w rodzaju polany. Kiedy tylko zobaczyłam posiadłość, wiedziałam, że tego właśnie szukał ojciec. Dom był wystarczająco duży dla nas dwojga i pusty, co - jak wiedziałam - z punktu widzenia ojca stanowiło jego dodatkową zaletę: mogliśmy się wprowadzać od razu. A co ważniejsze, stał w odosobnieniu.

Właściwie nie miałam nic do powiedzenia. Nie mogłam obstawać ani przy domu z groteskową toaletą, ani przy farmie. Poza tym, jeśli nie miał to być nasz dawny dom nowojorski, to w gruncie rzeczy było mi wszystko jedno.

W ciągu godziny - ku zachwytowi agentki nieruchomości - ojciec przyjął jej ofertę finansową. Przez dziesięć dni, potrzebne na załatwienie formalności, mieszkaliśmy w motelu za miastem i w tym czasie ojciec co rano woził mnie na stację benzynową Mobil na mleko z pączkiem, a potem do szkoły; po dziesięciu dniach wprowadziliśmy się do nowego domu.

Narzekałam nieustannie. Szkolny autobus mógł dojechać tylko do połowy drogi - żeby do niego dotrzeć, drugie tyle musiałam pokonywać

na piechotę, a to mnie dobijało. W mojej sypialni było lodowato. W szkole wszystkie dzieciaki uznałam za głupkowate, a nauczycielkę za beznadziejną. W łazience na piętrze nie było gniazdka do suszarki, a w prysznicu ciśnienia. Pewnego wieczoru uparłam się, żeby ojciec towarzyszył mi przy odrabianiu lekcji w pokoju wypoczynkowym. Najpierw zaczęłam go zanudzać, żeby mi pomógł, a kiedy próbował cokolwiek tłumaczyć, za każdym razem mu przerywałam. A potem metalową końcówką długopisu pocięłam pracę z matematyki (miałam zwyczaj odgryzania gumek, którego nie mogłam się oduczyć), zostawiając na blacie stolika głębokie rysy. Ojciec wstał i wyszedł do pracowni. Przez jakiś czas siedziałam z długopisem w ręku, próbując śliną wypełnić powstałe w drewnie rowki. Wreszcie ruszyłam za ojcem, układając po drodze linię obrony: to niesprawiedliwe; nie mam żadnych przyjaciół; dzieciaki to głupki; w domu straszy. Otworzyłam drzwi do stodoły, ale w pierwszej chwili nie widziałam dosłownie nic. Ojciec nie zapalił światła. W końcu jednak zobaczyłam go w świetle księżyca, które wpadało przez okna. Stał oparty o ścianę, w drugim końcu ogromnego pomieszczenia. Może po prostu palił papierosa, ale wydał mi się dziwnie wyczerpany i przygnębiony - człowiek, który wie, że stracił wszystko.

Zamknęłam drzwi najciszej, jak mogłam, i wróciłam do domu. Usiadłam na sofie i skończyłam lekcje bez najmniejszego trudu, co mogłam zrobić od samego początku. Przeszukałam wszystkie szafki i znalazłam puszkę kakao. Zagotowałam wodę w rondlu i zrobiłam dwa kubki czekolady. Wyruszyłam z nimi do stodoły, wołając głośno: „Tato!”. Zanim dotarłam do drzwi, zapaliły się światła. Weszłam jakby nigdy nic, jakby zaledwie godzinę temu nic się nie stało w pokoju wypoczynkowym.

- Napijesz się gorącej czekolady? - spytałam. Siedzieliśmy potem razem na ławce, dmuchając w swoje kubki.

- Strzał w dziesiątkę - powiedział ojciec, siląc się na wesoły ton, jeśli nie na bohaterstwo. Żadne z nas słowem nie wspomniało o niedawnej awanturze.

- Jak tu zimno - odezwałam się.

- Postaram się doprowadzić do porządku ten piec.

- Pomyślałam, że przydałoby się kilka plakatów do mojego pokoju.

- W Lebanon musi być jakiś sklep z plakatami. W weekend możemy to sprawdzić.

- Jest jeszcze jedna rzecz, której będę potrzebowała - mówię. -
Chodzi mi o biurko.

Ojciec skinął głową.

- A co z twoją pracą? - zapytałam.

- Jeszcze nie wiem - odparł - może zajmę się jakimś rękodziełem.

Budzi mnie cisza. Wiatr ustał; nic nie bębni w okna; nic nie zacina o szyby. Świat jest całkowicie nieruchomy, jakby odpoczywał po długiej walce, jaką stoczył ubiegłej nocy. Wstaję z łóżka i skacząc po zimnej podłodze, podbiegam do okna. Niebo jest szare, w dalszym ciągu pada śnieg.

Zakładam kapcie i szlafrok i otwieram drzwi. Z kuchni dochodzi odgłos zamykanej lodówki. Tata musiał wstać - myślę.

Ale to nie tatę zastaję w kuchni tego ranka. Z drewnianą łopatką w ręku stoi przede mną Charlotte. Ma na sobie flanelową piżamę w różowe i niebieskie misie i szare angorowe skarpetki. Przyglądam się wzorom na skarpetkach i przez chwilę nie widzę nic poza pokojem motelowym i zakrwawionymi prześcieradłami. Spoglądam na jej twarz.

- Robię tosta francuskiego - mówi. Ma mokre włosy, skręcone z tyłu na szyi w pierścionki, twarz umytą i lśniąca czystością w padającym z góry świetle. - Napijesz się kawy?

- Nie - odpowiadam.

Zmiana, jaka zaszła w Charlotte, jest niepokojąca. Dziewczyna wydaje się nie tylko wypoczęta, ale jakaś zdrowsza, dorodniejsza.

Niedaleko kuchni, na ladzie, leżą talerzyki i sztucce. Na jednym z talerzyków Charlotte kładzie dwa tosty.

- Nie wiem, czy lubisz syrop, więc lepiej przygotuj sobie sama.

- Wygląda na to, że czujesz się lepiej - mówię. Złocisty tost pływa w stopionym maśle. Nalewam sobie szklankę soku i z tacą idę do pokoju wypoczynkowego. Po upływie paru minut Charlotte idzie za mną.

Siada na sofie, a ja na swoim krześle, jakbyśmy już ustanowiły nasze rodzinne relacje. Nagle jej taca się przechyla i syrop ścieka na flanelowe spodnie.

- Oj, przepraszam - mówi, zbierając syrop palcem, który następnie

oblizuje.

Nachyla się nad talerzykiem, ściągając do tyłu ręką włosy. Nerwowym ruchem kroi tosta, zgrzytając widelcem o talerzyk. Robi wrażenie, jakby latami jadła ze mną śniadanie w pokoju wypoczynkowym.

- Jak myślisz, ile centymetrów napadało? - pyta. Wyglądam przez okno.

- Nie wiem - odpowiadam. - Może z jakiś metr?
- Frajda dla narciarzy.
- Po Bożym Narodzeniu jadę na narty.
- Dokąd?
- Do Gunstock.
- Będziesz musiała zamalować następną górę.
- Już kupiłam farbę.

Charlotte siada wygodnie na krześle, w dalszym ciągu z tacą na kolanach. Patrzę na moje śniadanie, którego prawie nie tknęłam. Straciłam apetyt. Nie mogę się przyzwyczaić do tej istoty, która potrafi być załamana, a już za chwilę tryskać życiem.

- Ile może potrwać, zanim nas odkopią? - pyta.
- Nie wiem. Nasza droga jest ostatnia w kolejności odśnieżania.

Może dzień, może dwa.

- To długo - mówi, wyglądając przez okno.

Nie wiem, czy to dobra wiadomość, czy zła. Jestem ciekawa, dokąd pójdzie Charlotte, kiedy się z nami rozstanie.

Bez słowa wyjaśnienia wstaję i wynoszę tacę do kuchni. Przebywając razem z Charlotte, denerwuję się, że wejdzie ojciec i uzna, że dziewczyna nadmiernie swobodnie czuje się w naszym domu. Wchodzę po schodach i zatrzymuję się pod drzwiami jego pokoju. Przykładam do nich ucho, ale nic nie słyszę.

- Tato? - wołam cicho.
- Wejdz - mówi.

Siedzi na brzegu łóżka, całkowicie ubrany, w dżinsach, flanelowej koszuli i granatowym swetrze. Wciąga skarpetki. Po bokach ma zmierzwione włosy, które sterczą na czubku głowy. Przypomina zwariowanego ptaka z sobotniej porannej kreskówki.

W półmroku widzę komodę, a na niej magazyny, drobny bilon, zgniecioną w kulkę chustkę do nosa, skórzaną rękawiczkę i portfel ojca. W rogu stoi krzesło, które służy za szafę. Tego dnia piętrzą się na nim flanelowe koszule, dżinsy i ręcznik. Na nocnym stoliku - budzik, biały kubek i książka o wojnie domowej. Na tym samym stoliku jest jeszcze świeca w lichtarzu i latarka. Na wszelki wypadek.

Robię krok do przodu.

- Wszystko w porządku, tato? - pytam.
- Tak, dlaczego pytasz?
- Bo nie zszedłeś na dół.
- Bardzo późno położyłem się wczoraj spać.

Moje oczy przyzwyczajają się do mroku i dostrzegam nad uszami taty siwe kępkę włosów. Czy to coś nowego?

- Dalej pada? - pyta ojciec.
- Aha.

Wstaje i masuje sobie dolną część pleców.

- Trzeba odśnieżyć drogę do szopy z drewnem na wypadek, gdyby wyłączyli prąd.

- Ja to zrobię - mówię.

Ojciec unosi brew. Nigdy nie zgłaszam się do pomocy w pracach, których nie lubię. Podchodzi do okna i podnosi rolety. Mimo że dalej jest szaro, jak podczas śnieżycy, to jednak światło odbija się od małej fotografii, stojącej na komodzie. Wchodzę głębiej do pokoju, żeby lepiej widzieć zdjęcie.

Przedstawia roczną Clarę. Musiało zostać zrobione wkrótce przed wypadkiem. Na zdjęciu mała ma na sobie niebieski sweterek, ale ktoś, być może nawet ja, owinął jej szyjkę granatowym szalikiem ojca, a na główkę włożył narciarską czapkę. Spod czapki wystaje nierówny brzeg grzywki, a nad uszami sterczą pędzelki włosów. Oczy małej, nienaturalnie wielkie, przybrały kolor sweterka. Flesz oświetlił jej okrągłe policzki i nos, które lśnią jak gdyby wewnętrznym światłem. Dolna warga błyszczy różowo. Clara robi wrażenie zachwyconej swoim nowym strojem i pokazuje w uśmiechu dwa górne zęby. Na czole, z prawej strony, ma czerwony strupek wielkości grochu.

Jest to nowa fotografia, to znaczy stara, tylko świeżo postawiona na

komodzie. I chociaż rzadko wchodzę do pokoju ojca, jestem przekonana, że w dniu znalezienia dziecka jej tam nie było.

Coś się we mnie kurczy, jakby ktoś wyciskał gąbkę.

- Była taka śliczna - odzywa się za moimi plecami ojciec.

Scandalous

Rozdział 12

W dniu pierwszych urodzin Clary ojciec zabrał mnie rano do piwnicy, gdzie napełniliśmy helem z butli kolorowe balony. Kiedy ojciec zaciągnął się gazem, jego głos przypominał głos Kaczora Donalda. Przynieśliśmy balony na górę, podskakiwały w przeciagu, tworząc w pokojach kolorowe skupiska. Wieczorem balony dryfowały jakieś pięć centymetrów od sufitu, a nazajutrz w południe pospadały na podłogę, na krzesła i za telewizor, prowokując ojca do wygłoszenia zaimprovizowanego wykładu o naturze gazów, ciśnieniu i sile ciężenia. Przed wypadkiem tata słyszał ze swoich wykładów, które wygłaszał bardzo poważnie, domagając się poważnego traktowania z naszej strony. Od czasu do czasu mama przewracała oczami i mówiła z wyraźną czułością: „Oho, znów mamy wykład”, ale ja uwielbiałam te „prelekcje” ojca, stawałam się bowiem na czas ich trwania centrum jego uwagi. Te wykłady dotyczyły różnych dziedzin, ale często miały charakter moralizatorski. Wiele razy ojciec kierował do mnie wykłady typu: „Dasz sobie radę sama” - zwykle przed jakimś testem czy meczem, przed którym się denerwowałam. Co znamienne, przed moim pierwszym damsko-męskim party wysłuchałam wykładu pod tytułem: „Pamiętaj, że reputacja to coś bezcennego”. Od czasu do czasu, kiedy narzekałam na klasówkę z matematyki albo nie chciało mi się ćwiczyć na klarncie, musiałam wysłuchać nauki o tym, jak to tylko wytrwała praca przynosi prawdziwe efekty. Aż do czasu, kiedy skończyłam dziewięć lat, mogłam z pamięci recytować wszystkie nauki ojca, jak leciały, ale wtedy jeszcze był dla mnie zbyt wielkim autorytetem, żebym mu śmiała okazywać brak szacunku. Często się zastanawiałam, co by było, gdyby moje dorastanie nie zostało zakłócone katastrofą, i w którym momencie próbowałabym przekonać sama siebie, że nie ma już nic, czego ojciec mógłby mnie

nauczyć.

Poprzedniego dnia mama zawiozła mnie do śródmieścia, żebym kupiła prezent dla mojej siostry. Wtedy po raz pierwszy sama chodziłam po sklepach i byłam bardzo podniecona i zdenerwowana. Mama sto razy wbijała mi do głowy wszelkie możliwe zasady i przestrogi i musiałam trzy razy powtórzyć godzinę i miejsce, w którym się umówiliśmy. Miałam kupić prezent za swoje pieniądze - dziesięć dolarów, które specjalnie w tym celu wyjęłam ze świnki.

Zaczęłam od sklepu, który moi rodzice nazywali „Wszystko za grosik”, chociaż za grosik nic w nim nie można było kupić. Snułam się po alejkach działu z zabawkami, dotykając lalek, puzzli i gier planszowych. Problem z Clarą, uznałam, polegał na tym, że jeszcze nie potrafiła nic robić, poza stawianiem klocków jeden na drugim i nakładaniem kolorowych kółek na stożek. Zrezygnowałam ze sklepu z zabawkami i poszłam do sąsiadującego z nim sklepu z garderobą dziecięcą, gdzie sprzedawali zabawne sukieneczki i płócienne czepeczki i gdzie para skarpetek kosztowała sześć dolarów. Następnie spróbowałam drogerii w nadziei, że może w dziale dla niemowląt dostanę jakąś fantastyczną grę, ale zawiedziona szybko jednak wróciłam do „Wszystko za grosik”. Snując się po alejkach sklepu, doszłam do wniosku, że Clara musi mieć coś, do czego stopniowo by dorastała i czym na razie sama mogłabym się bawić, żeby ją potem móc tego nauczyć.

Na miejscu spotkania zjawiłam się o pięć minut za wcześnie, tak samo jak i mama.

- Co kupiłaś? - zapytała.
- Małego drukarza - odparłam.

Mama upiekła tort urodzinowy w kształcie pociągu. Pozwoliła mi udekorować wagoniki żółtym, zielonym i niebieskim lukrem, czerwony zostawiając na wagon służbowy. Pociąg miał komin z cukierka ślazowego i okna z landrynek i jeździł na stole w jadalni po szynach z lukrecji. Kiedy skończyłyśmy pracę, wyglądał jak najprawdziwsza zabawka i po zdmuchnięciu urodzinowej świeczki nikt nie chciał go napocząć.

Tego ranka Clara obudziła się z bólem ucha. Cały dzień na zmianę to

się darła, to marudziła i zanim zdążył przyjść do nas pierwszy gość, mama miała zszarpane nerwy, a ojciec ciężko wzdychał. Co do mnie, to uważałam moją małą siostrzyczkę za kiepskie towarzystwo, zwłaszcza że byłam trochę zazdrosna o pięknie zapakowane prezenty, z których szczególnie jednego nie mogłam się doczekać.

Urodzinowe przyjęcie dla kogoś, kto ma rok, nigdy nie jest dla kogoś, kto ma rok. Clara kompletnie nie zwracała uwagi ani na uroczysty nastrój, ani na panujący w domu ogólny niepokój. Przyjęcie było dla rodziców i dla mnie. Jeszcze nie wyrosłam z potrzeby uczestniczenia w rozpakowywaniu prezentów i gorączkowego rozdzierania papierów. Clara, obojętna na ogólne podniecenie i zmęczona całodziennym popłakiwaniem, zasnęła, kiedy zaczęliśmy jej śpiewać *Happy Birthday*. Mama, bojąc się budzić rozgrymaszonego malucha, powiedziała, że będziemy się dalej bawić bez Gary, na co bardzo chętnie przystałam. Na większości zrobionych w tym dniu zdjęć Clara śpi w stożkowej czapce na głowie, wyraźnie zakatarzona. Ja z kolei, ubrana w fioletowe legginsy i koszulkę z napisem „My Little Pony” i wyraźnie pobudzona, domagam się uwagi. Mama, która tego dnia cierpiała na ból zęba - wymagającego, jak się później okazało, leczenia kanałowego - ma na zdjęciu pionowe bruzdy między brwiami. Na fotografii, którą zrobiła jakiś czas po wyjściu gości, widać ojca śpiącego na kanapie. Ojciec wygląda niby łódź w morzu pogniecionych papierów, z Clarą rozkrzyżowaną na jego piersiach. Na zdjęciu niemal słychać jego chrapanie.

Dotrzymuję słowa. Podczas gdy ojciec rozmawia z babcią przez telefon, omawiając z nią szczegóły podróży do Lebanon (wszystkie jej loty zostały opóźnione albo odwołane), wkładam kurtkę z kapturem, nieprzemakalne spodnie, czapkę i rękawice narciarskie i idę odsnieżać ścieżkę do szopy. Podróż babci będzie, jak na osobę siedemdziesięcioletnią, bohaterским wyczynem: musi dojechać samochodem do lotniska w Indianapolis, tam wsiąść do samolotu do Newark, w Newark przesiąść się na samolot do Bostonu, gdzie z kolei czeka na połączenie z Lebanon - samolot na dziesięciu pasażerów, do którego nie wsiadłaby większość dwudziestolatków - i dopiero z Lebanon do Shepherd miał ją przywieźć tata swoją ciężarówką. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, taka podróż z domu pod dom trwa

zwykle osiem godzin. Babcia przysięga, że jest to warte zachodu, ale mam wrażenie, że wkrótce nie będzie mogła już tak podróżować i że to my będziemy jeździli do Indianapolis, na co już z góry się cieszę. Dla mnie, dwunastolatki, perspektywa lotu trzema samolotami w jeden dzień wydaje się wprost cudowna.

Śnieg zamienił się w wiry drobnych lodowych kryształków, które kłują mnie w twarz, jeśli nie pochylam głowy. Śnieg pokrywa trawę i małe krzewy; rozciąga się białą płachtą we wszystkie strony i tylko drzewa urozmaicają panoramę. Sosny i brzozy, a także szopę, która jest moim celem, pokrywa biały puch. Gałęzie nabrały garbatych kształtów, tracąc swoją patykowatą ostrość, właściwą wczesnej zimie. Jesteśmy odcięci od świata. Myślę o ludziach, którzy mieszkali w tym domu pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy nie było pługów śnieżnych do oczyszczania podjazdów i dróg. I o rdzennych mieszkańcach tych okolic z czasów, kiedy nie było tu w ogóle żadnych domów, którzy, w sensie dosłownym, musieli się przekopywać przez śnieg, żeby zaczerpnąć powietrza.

Zaczyna się przecierać i mam wrażenie, że rzednący śnieg zwiastuje bliski koniec śnieżycy. Kiedy wyjdzie słońce, krajobraz będzie dosłownie oślepiał. Obok podjazdu znajduje się otwarte pole, na tyle długie, że może z powodzeniem służyć za tor saneczkowy. Jednak tylko po obfitych opadach śniegu jest dobry zjazd, bez hamowania o czubki krzewów. Czasem udaje mi się namówić tatę, żebyśmy zjechali kilka razy na dużych aluminiowych talerzach, żeby jakoś ubić ten śnieg.

Na próbę wykonuję kilka ruchów łopata i czuję, że śnieg jest ciężki. Temperatura rośnie, więc robi się lepki. Oczyszczenie drogi do szopy może potrwać ponad godzinę, więc zaczynam żałować mojej wspaniałomyślności. Mam nadzieję, że kiedy ojciec skończy rozmawiać z liniami lotniczymi, to się nade mną zlituje i mi pomoże.

Biorę się ostro do roboty i natychmiast oblewam się potem. Podniesienie szufli pełnej śniegu na tyle wysoko, żeby móc ją obrócić, wymaga niesamowitego wysiłku. Zdejmuję szalik i czapkę i rozpinam kurtkę. Ale jak to było do przewidzenia, już po upływie kilku minut robi mi się zimno i z powrotem wkładam to, co przed chwilą zdjęłam. Mam za sobą trzy takie cykle rozbierania się i ubierania i postanawiam napić

się gorącej czekolady, kiedy otwierają się drzwi domu.

- Hej! - słyszę głos.

W drzwiach stoi Charlotte. Włosy, które jeszcze nie zdążyły wyschnąć, opadają jej na ramiona.

- Masz może jakąś czapkę i rękawiczki, które mogłabyś mi pożyczyć? - pyta.

- A po co?

- Bo chcę ci pomóc w odmiataniu śniegu. Potrząsam głową.

- Nie, nie możesz, jesteś... - szukam właściwego słowa. „Chora” to niezupełnie to, o co mi chodziło. - No, jesteś... jesteś zmęczona - mówię w końcu.

- Nie, czuję się dobrze. Potrzebuję świeżego powietrza.

Ojciec będzie zły, kiedy zobaczy Charlotte odgarniającą ze mną śnieg. Ale, właśnie, gdzie jest ojciec?

- Musisz podnieść wieko ławy, tam trzymamy czapki i rękawiczki.

Charlotte chowa się do domu i po chwili znów się pojawia. Nabiera w płuca trzy potężne hausty powietrza, jakby od wielu dni przebywała w zamknięciu. Może zresztą przebywała, nie wiem. Dżinsy wepchnęła w cholewy butów, które są ze skóry i nie nadają się na śnieg. Złapała stare skórzane rękawice, których ojciec używał na wyprawy narciarskie w teren, i kolorową czapkę, zrobiłam ją, gdy miałam dziesięć lat, jest pełna różnych błędów i nadpruta na czubku.

- W porządku - mówię - zaczynaj tam, gdzie ja skończyłam. Ja pójdę po drugą łopatę, zacznę od szopy i spotkamy się w środku.

Pod stodołą nasypało tyle śniegu, że sięga mi prawie do pasa. Znajduję skobel, napieram na drzwi i wraz ze mną wpada do ciemnego wnętrza zaspą białego puchu. Jak zwykle w przestronnym pomieszczeniu pachnie słodkavo trocinami i sosną. Nie zawracam sobie głowy zapalaniem światła; wiem, gdzie stoją łopaty. Ojciec może być niechlujny w swojej sypialni, ale w stodole jest pedantyczny. Każde narzędzie ma swoje miejsce na warsztacie albo na wiszącej nad nim desce z kołkami. Większy sprzęt, taki jak szpadle i grabie, stoi oparty o ścianę koło drzwi.

Z łopatą na ramieniu brnę przez zaspę. Skręcam za róg i widzę pracę rąk Charlotte i pryskający na jedną stronę śnieg. Charlotte pracuje z siłą

mężczyzny; w krótkim czasie mojej nieobecności zrobiła więcej niż ja od początku. Zrzuca czapkę i jej włosy kołyszą się rytmicznie z boku na bok. Oddycha szybciej, ale nie ma zadyszki.

Staję do pracy i staram się jej dorównać, ale mam po prostu za słabe ręce. Nie brak mi determinacji, jednak kiedy sprawdzam postępy Charlotte, widzę, że jest dużo szybsza ode mnie.

Spotykamy się znacznie bliżej mojego końca. Charlotte robi ostatni zamach. Uderza mocno łopata o ziemię, żeby strząsnąć z niej resztę śniegu.

- Koniec - ogłasza z satysfakcją.

- To nie był wyścig - mówię.

- A kto się ścigał? - Charlotte zdejmuje rękawice. Śnieg prawie przestał padać.

- Idę do domu - oznajmiam.

- Zaraz tam będę.

W domu siadam na ławce i ściągam buty. Zsuwam z ramion szelki spodni i zostaję w długich kalesonach i w swetrze. Włosy mam zmierzwiłone, z nosa mi leci. Zdrętwiałymi z zimna ustami ledwie mogę poruszać.

- Co ona robi? - odzywa się zza mnie ojciec. Nie słyszałam, jak schodził z góry.

- Trochę mi pomagała przy odśnieżaniu.

- Ona odśnieża?

- Głównie stała. Myślę, że potrzebowała świeżego powietrza.

Właśnie miałam zamiar zrobić nam gorącą czekoladę.

Ojciec przygląda się mojej twarzy.

- Żebyśmy się rozgrzały - dodaję szybko.

Ojciec wchodzi do kuchni i wydaje mi się, że zamierza nalać sobie kawy. Zatrzymuje się jednak przy ladzie. Opiera ręce na laminacie i pochyla głowę. Czy to przypadek, że zawisł akurat nad telefonem? Czy chce dzwonić do detektywa Warrena albo do komendanta Boyda? Ale ojciec prostuje się i rozciera sobie kark.

- Będę w pracowni - mówi.

Robię czekoladę, ale ciągle jeszcze nie ma Charlotte. Stawiam kubki na ławie w przedpokoju i wysuwam głowę na zewnątrz. Charlotte

odeszła czy też przedarła się jakieś dwanaście metrów od domu i patrzy w stronę lasu. Z jej skórzanych butów nic nie zostanie.

Wołam ją po imieniu, ale albo mnie nie słyszy, albo tak jest zaabsorbowana widokiem, że nie zdaje sobie z tego sprawy. Stoi z rękami w kieszeniach kurtki, jakby patrzyła w morze, czekając na powrót męża z długiej podróży, albo wyglądała dziecka, które właśnie straciła z oczu.

- Charlotte! - wołam głośniej i bardziej nagłaco. Odwraca głowę.
- Wracaj! - wrzeszczę.

Początkowo mam wrażenie, że mnie zignoruje, ale po chwili widzę, jak skręca ciało w moją stronę i wraca po swoich śladach, celując stopami dokładnie w odciski własnych butów, tak jak to kilka dni wcześniej robił detektyw Warren. Upada, ale zaraz się podnosi, przez chwilę brnie z trudem, po czym zaczyna skakać, tak jak dziecko skacze na plaży przez fale. Kiedy dopada drzwi, jest zdyszana.

- Zrobiłam dla nas czekoladę. Twój kubek stoi na ławce.
- Dzięki. - Charlotte prześlizguje się koło mnie przez drzwi.
- Patrzyłaś w niewłaściwym kierunku - mówię do jej pleców.

Siada na ławce; ja na schodach. Słyszę ją, ale widzę tylko jej buty. Mam ochotę powiedzieć, żeby je zdjęła, że w ten sposób szybciej rozgrzeje sobie nogi, ale trzymam język za zębami. Wyobrażam sobie, jak grzeje dłonie o kubek, widzę jej nos i policzki, rumiane z zimna. Słyszę, jak dmucha na czekoladę, jak upija łyk gorącego płynu.

- Pokażesz mi to miejsce? - pyta.
- Nie.
- Dlaczego?
- Wiesz, dlaczego.
- Nie widzę w tym nic złego.
- Ale ja widzę, i to wiele złego - mówię, chociaż gdyby mnie przyciśnięto, nie umiałabym powiedzieć co.
- Chciałabym to miejsce zobaczyć.
- Po co? Co ci z tego przyjdzie?
- Nie potrafię tego wytłumaczyć.
- Nie bądź głupia.

Charlotte milczy. Stawiam kubek i ujmuję głowę w dłonie.

- Ta wycieczka będzie grzeszna - odpowiadam po jakimś czasie. - I niebezpieczna. Prawdopodobnie nigdy dotychczas nie używałaś rakiet śnieżnych.

Słyszę, jak Charlotte wyciera nos.

- Owszem, używałam.

Używała? Tak niewiele wiem o życiu Charlotte.

- Nie jestem nawet pewna, czy trafię w tamto miejsce.

Prawdopodobnie śnieg zasypał wszystkie ślady.

Ale tak naprawdę czuję, że bym to miejsce odnalazła. Dwa razy odbywałam tę drogę tam i z powrotem i jestem przekonana, że poznałabym konfigurację drzew w stosunku do stoku. Bez wątpienia wiem, w jakim kierunku należy iść.

- Przestaje padać - mówi Charlotte.

- I co z tego?

- Nie zasypie nam śladów. A dużo ich narobimy.

- Ale tam nic nie ma, Charlotte, poza kawałkiem pomarańczowej taśmy.

Charlotte znów się nie odzywa, a ja w przedłużającej się ciszy robię jej propozycję, o której wiem, że jest niewłaściwa, i której niemal na pewno będę żałowała. Ale jestem z natury lekkomyślna i ta lekkomyślność często dochodzi we mnie do głosu.

- W porządku, ale pod jednym warunkiem.

- Pod jakim?

- Ty odpowiesz na moje pytania, a ja cię tam zaprowadzę - proponuję, wiedząc, że weszłam na niebezpieczny grunt. Jeśli zadam jej pytanie, a ona odpowie, będę musiała wywiązać się ze swojego zobowiązania.

- W porządku - mówi Charlotte. Oddycham nerwowo.

- Kim on jest?

- Ma na imię James - odpowiada bez wahania.

James, myślę.

- Jak go poznałaś?

- W college'u. Ile pytań zamierzasz mi zadać?

- Nie wiem. Kilka. W jakim college'u? Zalega cisza.

- Na to pytanie nie mogę ci odpowiedzieć. Dawaj jakieś inne.

- Kochasz go w dalszym ciągu? - Jestem przekonana, że Charlotte słyszy drżenie w moim głosie.

Waha się.

- Nie wiem... Kochałam go, nawet bardzo. - Przerywa. - Miałam na jego punkcie fioła.

Mówi takim głosem, jakby mówiła o kimś zmarłym. Albo o kimś kochanym kiedyś dawno; a może kochanym nadal, tylko potajemnie.

- Czy on wie, gdzie jesteś?

- Nie.

Odczuwam ulgę. Z przykrością myślałam o tym, że może czeka gdzieś na nią w niewidocznym miejscu.

- Był taki śliczny - dodaje cicho Charlotte.

Nigdy nie słyszałam, żeby o mężczyźnie czy o chłopaku mówiono, że jest śliczny.

- Jak wygląda?

- Ma bardzo czarne kręcone włosy, które opadają na czoło. Często je odgarnia - to taki jego charakterystyczny ruch.

I zielone oczy. Na przodzie ma koronki na zębach, to od gry w hokeja. Nie jest specjalnie wysoki.

- Kto wyniósł dziecko na śnieg? - pytam, wzdychając ciężko.

Kiedy tak siedzę na schodach, mam uczucie, że od jej odpowiedzi zależy cała moja przyszłość, że wszystko, co kiedykolwiek będę w życiu wiedziała o ludziach, już zawsze będzie zależało od tego, co powie ta kobieta.

Charlotte milczy przez dłuższą chwilę. Wyglądam za róg. Siedzi plecami do ściany i patrzy prosto przez okno.

- Oboje postanowiliśmy, że pójdziemy do motelu - mówi wolno.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam, ale się nie odzywam. Zadałam pytania, a ona na nie odpowiedziała. Wstaję, nogi się pode mną uginają. Przyciskam uda rękami, żeby je ustabilizować. Znow biorę głęboki oddech i wolno wypuszczam powietrze.

- W porządku - mówię. - Teraz mogę cię tam zabrać.

Rozdział 13

Tego wieczoru, kiedy urodziła się Clara, ojciec zjawił się pod drzwiami mojego pokoju, by mi powiedzieć, że idę na noc do Tary. Zdawałam sobie niejasno sprawę z niewielkiego zamieszania w domu - tej miary co, powiedzmy, zgubienie kluczy czy nieporządek pozostawiony na dywanie przez któregoś z naszych ulubieńców - jednym słowem, z drobnych kłesk, od których wołałam się odciąć. Clara, jak się okazało, przyszła na świat o trzy tygodnie za wcześnie i nagle bóle porodowe mamy kompletnie rodziców zaskoczyły.

Leżałam w łóżku i czytałam. Ojciec był wyraźnie zdenerwowany - w taki sposób, w jaki bywają zdenerwowani dorośli, kiedy nie chcą niepokoić dzieci, ale sami sobie nie radzą z problemem. Powyciągał z szuflad ubranie i wepchnął je do papierowej torby. Do Tary poszłam w piżamie, na którą nałożyłam kurtkę. Pożegnałam się z mamą, ale ona była jakby nieobecna, całkowicie zajęta trzęsieniem ziemi, które w niej szalało. Chciałam, żeby mnie przytuliła albo pocałowała, i pewnie by to zrobiła, gdybym się uparła, ale ojciec, chcąc jak najszybciej wypełnić powierzone mu zadanie i wrócić do żony, ciągnął mnie już za rękaw.

Zwykle ostrożny jako kierowca, tym razem kurczowo ścisnął kierownicę. Na moje pytania odpowiadał na odczepnego, niczym osoba, która myślami jest gdzie indziej. Do Tary od nas było tylko półtora kilometra, ale mnie się wydawało, że nasza podróż nigdy się nie skończy.

- Co się stało? - zapytałam. - Czy mama umrze?
- Nie. Wszystko jest w porządku. W najlepszym porządku. Ale kiedy przyjechaliśmy do Tary, przesadnie wylewne powitanie pani Rice zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej.
- Gdybyśmy mogli w czymś pomóc... - szczebiotała do szybko

oddalających się pleców ojca. Stojąc przy oknie, patrzyłam, jak tata biegnie do swojego saaba. Od krawężnika odbił się jak wkurzony nastolatek. Czy dziecko umrze? Tara stała koło mnie i patrząc, jak pochlipuję, obgryzała paznokcie do żywego.

- No, no, no - powiedziała pani Rice, a następnie zaproponowała ogólnie amerykański lek na wszelkie zło. - Może być coś zjadła?

Przed upływem godziny zapomniałam o moich troskach. Do późna graliśmy z Tarą i jej bratem w różne gry, a nazajutrz rano, w Dniu Dziękczynienia, spaliśmy do dziesiątej. Dlatego kiedy weszłam do kuchni, ze zdumieniem dowiedziałam się, że mam małą siostrzyczkę o imieniu Clara.

Dopiero później poznałam okoliczności narodzin mojej siostry. Otóż Clara, nie mogąc się już doczekać przyjścia na świat, urodziła się - ku przerażeniu wiozącej mamę na porodówkę salowej - w windzie. Kobieta zatrzymała windę na najbliższym piętrze, wezwała pomoc i moją siostrę odebrał ortopeda w koszuli i krawacie, który po długim, ciężkim dyżurze wybierał się właśnie do domu. Wszyscy byli zdenerwowani, a w szczególności ojciec, który padł w windzie na kolana, żeby złapać swoją córkę dosłownie tuż nad podłogą.

Potem przyszedł po mnie, żeby mnie zabrać do szpitala. Był to zupełnie inny ojciec niż ten, który dzień wcześniej przywiózł mnie do Rice'ów. Prowadził samochód jednym palcem, pogwizdując wesoło, a opowiadając mi historię z windą, chichotał pod nosem, jakby przed chwilą usłyszał fantastyczny dowcip. W szpitalu zaprowadził mnie do noworodków i pokazał moją siostrę. Myślałam, że się pomylił. Na wszelki wypadek sprawdziłam nazwisko. Nie było żadnej pomyłki. Wywieszka nad łóżeczkiem informowała: „Mała Baker-Dillon”.

Clara miała niekształtą głowę i małe szczurze oczka. Kiedy płakała, robiła się purpurowa w białe cętki. W niczym nie przypominała dzieci z kolorowych magazynów, więc kiedy ojciec mnie zapytał: „Powiedz, czy nie jest śliczna?”, dosłownie mnie zatkało.

Następnie zostałam zaprowadzona do mamy, która była jakby nie całkiem normalna i opuchnięta. Powtórzyła za ojcem jak echo: „Widziałas ją? Czy nie jest prześliczna?” - i to mnie już zezłościło. Co się stało z moimi rodzicami? Czy nie widzieli tego samego co ja?

„Mamy na Święto Dziękczynienia dzidziusia” - szczebiotała matka.

Odwieziono mnie do Rice'ów, gdzie miałam zostać na obiedzie świątecznym. Niewiele jest w życiu dziecka sytuacji tak bardzo stresujących, jak obiad świąteczny wśród obcych. Jedzenie u Rice'ów było nie takie - groszek, galaretka i smażone ostrygi, które wzięłam za nadzienie i musiałam wypluć - a poza tym dla dzieci nakryto w kuchni, gdzie stojący na blacie rondel z zakrzepłym sosem wypadał akurat na poziomie mojej głowy. Na domiar złego przez cały czas wracała do mnie jak koszmar świadomość, że mam paskudną małą siostrzyczkę, a to mnie wkurzało i odbierało pewność siebie.

Mama wróciła do domu następnego dnia rano i wtedy ojciec przyjechał, żeby mnie zabrać. Pozbierałam swoje manatki do pogniecionej papierowej torby i poszłam za nim do samochodu. Tata był blady jak ściana, mizerny ze zmęczenia i nie gwizdał. Czując się oszukana i zdradzona, nie zadawałam żadnych pytań, tylko w milczeniu wyglądałam przez okno. Nie musi mi się to wszystko podobać - powtarzałam sobie w kółko.

Kiedy znaleźliśmy się już w domu, ojciec rzucił kluczyki na ladę kuchenną. Postawiłam papierową torbę i zsunęłam z siebie kurtkę, tak że spadła na ziemię. Słyszałam, jak mama woła mnie z sypialni.

- No, idź - zachęcał ojciec, wyczuwając mój opór. Powoli, nie spiesząc się, szłam na górę. Pod drzwiami się zawahałam. W jedwabnym kimonie od ojca mama robiła wrażenie jakiejś miękkiej i nieforemnej. Była uczesana w koński ogon, a na nogach miała krótkie czerwone skarpetki.

- Chodź, wejdz. - Przyzwała mnie gestem dłoni. - Usiądź tu z nami na łóżku.

Wdrapałam się na wysokie białe łoże i uklęknęłam naprzeciwko mamy, która trzymała na rękach śpiącą Clare. Moja siostra zdążyła już stracić cętki, które jeszcze wczoraj pokrywały jej twarzyczkę. Usteczkami, ułożonymi w maleńką podkówkę, cały czas delikatnie cmokała.

- Chcesz ją potrzymać? - zapytała mama.

Nie chciałam, tak samo jak - po latach - nie miałam najmniejszej ochoty po raz pierwszy sięść za kierownicą samochodu czy, przypięta do liny asekuracyjnej, pokonywać lodowca. Bałam się; nie wiedziałam, co

zrobić. Wydawało mi się, że mogę ją udusić albo złamać. A już co najmniej, że się jakoś zbłąźnię. Ale mama zachęcała mnie łagodnie, dodając odwagi.

- No, nie bój się - mówiła szeptem, jakby wzięcie przeze mnie siostry na ręce było tajemnicą tylko między nami dwiema. - Dasz radę.

Odwróciłam się i zapałam plecami o zagłówek łóżka. Mama ostrożnie wsunęła mi małą w ręce. Clara była owinięta jak indiańskie niemowlę, ale jej ciężar i ciepło wprawiły mnie natychmiast w zachwyty. Już nie wyglądała jak szczur, raczej jak prosiaczek. Otworzyła jedno oko, spojrzała mi prosto w twarz i znów je zamknęła. Roześmiałam się. Byłam przekonana, że mówi: „Cześć, siostrze, niech no tylko zacznę widzieć i mówić, to dopiero zobaczysz”.

Do pokoju wszedł ojciec. Uniósł aparat fotograficzny i zrobił nam zdjęcie. Przez cały czas, kiedy mieszkaliśmy w Nowym Jorku, to zdjęcie, oprawione w ramkę, stało w salonie na kominku. Kiedy się przenieśliśmy do New Hampshire, na moje życzenie tata rozpakował je i postawił na półce w pokoju wypoczynkowym. Na fotografii mam głupią minę - jakby mnie ktoś od środka łaskotał piórkami.

Ubieram się, jakbym jechała na Alaskę. Daję Charlotte rękawiczki, szalik i lepszą czapkę, cały czas niespokojna, że pojawi się ojciec, skarci nas i odeśle mnie do mojego pokoju. Na skórzane buty Charlotte niewiele mogę poradzić. Nosi dziewiątkę; ja mam sześć i pół, a ojciec dwunastkę.

- Nie przejmuj się moimi butami, wszystko będzie dobrze.

Po wyjściu z domu udzielam Charlotte szybkiej lekcji posługiwania się raketami śnieżnymi.

- To nic wielkiego - mówię. - Po prostu je przypinasz i idziesz, o tak - dodaję, demonstrując pierwsze kroki.

- Ja wiem, jak to się robi.

Wdrapuje się na śnieżną skarpe, niezdarnie, jakby każda jej noga była ciężkim, trudnym do udźwignięcia kłosem. Mówię, żeby się wyluzowała, cały czas zerkając niespokojnie w stronę stodoły. Wydaje mi się, że słyszę odgłos piłowania, a przynajmniej taką mam nadzieję. Jest szansa, że niepostrzeżenie dotrzemy na skraj lasu. Nie pamiętam czasów, kiedy musiałam ukradkiem wymykać się z domu; przez ostatnie

dwa i pół roku nie było dokąd iść. Kiedy docieramy do miejsca, w którym możemy się zatrzymać dla nabrania tchu, Charlotte ciężko dyszy. Pochyla się i kładzie dłonie na kolanach, jak maratończyk po biegu. Pytam ją w kółko, czy dobrze się czuje, aż wreszcie mówi, żebym dała spokój, wszystko jest w porządku. Wiem, że jeśli ojciec nas nakryje (właściwie nie „jeśli”, tylko „kiedy”), moim największym przewinieniem będzie nie to, że chciałam pokazać Charlotte miejsce, w którym jej dziecko zostało porzucone i praktycznie skazane na śmierć, tylko że naraziłam ją na śmiertelne niebezpieczeństwo. Mam jednak zaufanie do Charlotte, osoby, której prawie nie znam, że mnie ostrzeże, gdyby się znalazła w poważnym kłopotcie.

- Jesteś pewna, że dasz radę? - pytam.

- Stuprocentowo.

Śnieg, otrząśnięty z gałęzi, opada w delikatnych kaskadach. Charlotte zaczyna się pocić. Poluzowuje szalik i rozpiną kurtkę do pasa. Dżinsy ma mokre do kolan, a o jej skórzanych butach wolę nie myśleć. Czuję, jak każdy krok przybliży nas do katastrofy, ale дума, nieuchronność czy po prostu potrzeba parcia do przodu sprawia, że idę dalej.

Po jakimś czasie przestaję myśleć o katastrofie, o ojcu i o Charlotte, zaczynam się koncentrować na nawigacji. Oczyma wyobraźni wyraźnie widzę ścieżkę, ale znalezienie jej wśród leśnego poszycia to już inna sprawa. Poznaję skalne wypiętrzenie i miejsce, w którym skręciliśmy z ojcem w prawo, ale dalej już idę bardziej „na nosa” niż na podstawie znajomości terenu. Czy wspinaliśmy się, skręcając w prawo i idąc ukosem w poprzek góry? Usiłuję sobie to przypomnieć, żałując, że podczas naszej drugiej wyprawy, kiedy spotkaliśmy detektywa Warrena, nie dość uważałam.

Wpadamy w rutynę. Przebywam trzydziestometrowy odcinek drogi, odwracam się, żeby sprawdzić, czy Charlotte idzie za mną, i na nią czekam. Już nie wygląda tak niezdarnie jak na początku, radzi sobie zdecydowanie lepiej. A mnie za każdym razem nawiedza wizja katastrofy, staram się jednak odsunąć ją od siebie. Zdaję sobie nagle sprawę, że narażenie zdrowia Charlotte nie byłoby tym najgorszym, o co oskarżyłby mnie ojciec. Najgorsze byłoby to, że zabłądziłam i zmusiłam innych, żeby nas szukali. Jeśli w ogóle by nas znaleźli.

W pewnej chwili trafiamy na polanę, której nigdy dotychczas nie widziałam. Usiłuję sobie wytłumaczyć, że podczas naszych poprzednich wypadów po prostu ją omijaliśmy, ale jednocześnie wiem, że tak nie było. Wzdragam się przed powiedzeniem Charlotte, że skręciłam w niewłaściwym miejscu, wzdragam się przed przyznaniem tego sama przed sobą, ale nie mam wyboru.

Charlotte, zbyt zdyszana, żeby móc cokolwiek powiedzieć, milczy.

- Trafimy - zapewniam ją.

Odnajdujemy nasze ślady, bardzo wyraźne na dziewiczej powierzchni śniegu, maleńkie znaczki v, pozostawione przez ptaki, i tropy jakichś zwierząt, które musiały tędy przebiegać. Wiem, że najważniejsze to znaleźć miejsce, w którym źle skręciłam. Idę wolno, jak myśliwy, oglądając każde drzewo, każdą niższą gałąź i doszukując się złamań, ale krzewy i gałęzie, które mogliśmy uszkodzić, są niemal całkowicie przykryte śniegiem.

Zdażyłam się już przyznać do porażki sama przed sobą, choć jeszcze nie przed Charlotte, kiedy w oddali widzę plamkę w kolorze malinowym.

- Zaczekaj tutaj - mówię.

Wyrywam do przodu najszybciej, jak tylko mogę. Z odległości kilku metrów przekonuję się, że dobrze się domyślałam: jest to moja czapka, którą zgubiłam tamtego pierwszego wieczoru. Zaczepiła się o kępę krzewów, może przywiana tu w nocy przez wiatr. Mogłam nie zapamiętać drogi precyzyjnie, ale wiedziałam, że musi być niedaleko stąd. Wrzeszczę na Charlotte, żeby do mnie dołączyła.

Podnoszę czapkę. Cieszę się, że ją odzyskałam. Nie cierpię gubić rzeczy, które sama zrobiłam.

- Moja czapka - zwracam się do Charlotte. - To znaczy, że droga jest tu gdzieś blisko.

Ślad, który pozostawiliśmy z ojcem, idąc dwukrotnie tam i z powrotem, utworzył niewielkie zagłębienie, jakby pod śniegiem płynął strumyk. Gestem pokazuję Charlotte, że ma za mną iść. Trzymam się niewyraźnego tropu i przez jakieś piętnaście minut idziemy przed siebie. Nagle widzę charakterystyczny skrawek pomarańczowej taśmy.

Czekam na Charlotte, żeby się ze mną zrównała.

- To jest to - mówię, wskazując taśmę.

Charlotte stoi przez chwilę, usiłując uspokoić oddech. Czekam, co zrobi. Ja już swoją rolę odegrałam. Jestem jedynie przewodniczką. Moje zadanie polega jeszcze tylko na tym, żeby pokazać jej drogę do domu.

Charlotte rusza naprzód, ja za nią; nasze pozycje się odwróciły. Podmuch wiatru gnie czubki sosen, strącając na ziemię śnieżny pył.

Charlotte nachyla się i przemyka pod pomarańczową taśmą.

Ślady butów, obwiedzione czerwoną farbą, zniknęły. Kopiec śniegu może być z powodzeniem kryjówką jakiegoś dzikiego stworzenia. Wolę nie myśleć o dziecku leżącym tu niby pod warstwą kołder.

Charlotte wchodzi w sam środek ogrodzonego obszaru i klęka. Ma na głowie czapkę w fioletowo-białe paski, którą jej dałam; rękawiczki zdążyła już zdjąć. Klęczenie w śniegu w raketach śnieżnych na butach musi być co najmniej niewygodne. Rakiety wyginają stopy i wrzynają się z tyłu poniżej talii.

Charlotte nabiera śniegu i przytyka go do twarzy. Zakrywa usta, nos i oczy. I tak go trzyma przez wiele, jak się wydaje, minut. W zetknięciu z ciepłym ciałem śnieg zaczyna topnieć i spływać po brodzie. Charlotte płacze, co widać po drżeniu ramion. Szybkim kocim ruchem kładzie się na śniegu, zatapiając twarz w miękkim puchu.

Stoję po drugiej stronie taśmy. Czekam dłuższą chwilę, wreszcie się odzywam:

- Charlotte?

Zrywa się na kolana i zaczyna odgarniać śnieg. Najpierw prawą, a potem lewą ręką. Prawa, lewa. Prawa, lewa. Prawa, lewa. Pełnym złości ruchom towarzyszą słowa, których początkowo nie rozumiem. Wydaje mi się, że to tylko jęki i szlochy, ale po chwili słyszę słowo „głupia”. A potem „jak mogłam”. Charlotte nachyla się i z wściekłością wali rękami w śnieg. Słyszę, jak powtarza: „Boże, Boże, Boże”.

Czegoś takiego sobie nie wyobrażałam. Spodziewałam się cichej sceny, przynoszącej ulgę i uzdrawiającej. Ale nie takiego ataku furii. Nie takiego gwałtownego wybuchu żalu.

Charlotte odwraca się i siada na śniegu, z nogami wyciągniętymi w bok, podparta z tyłu rękami. Twarz ma purpurową i mokrą.

Czekam, całkowicie bezradna.

- Boże - mówi. Nie do mnie ani nie do żadnego boga, w którego mogłaby ewentualnie wierzyć. Po prostu unosi twarz do nieba.

Po czym nachyla się i krzyżuje ramiona na piersiach. Zwiesza głowę, jakby się zwijała do środka. W tej pozycji, bez ruchu, pozostaje przez pięć, może dziesięć minut.

- Charlotte?

Unosi głowę, jak gdyby zdziwiona moim widokiem. Odgarnia włosy z twarzy.

- Chyba powinniśmy wracać - mówię.

Wstaje z trudem, potykając się na raketach śnieżnych, i przełazi pod taśmą. Widzę, że zostawiła fioletowo-białą czapkę, ale nie mam ochoty prosić, by po nią wróciła.

- Z powrotem ty idziesz pierwsza - oznajmiam. - Łatwo znajdziesz ślady. Jeśli zmylisz drogę, to ci powiem.

Twarz ma podrapaną i obolałą. Siniak - pozostałość po uderzeniu o róg stołu - robi się żółtozielony. Wygląda jak pobita. Wracam po czapkę i chowam ją do kieszeni. Idąc z tyłu, wpatruję się w plecy niebieskiej kurtki. Charlotte wyciera nos rękawem, co jednak niewiele pomaga. Myślę o jej podrapanej twarzy i boję się, że leżąc w śniegu, mogła ją sobie odmrozić.

Charlotte posuwa się bardzo wolno i muszę uważać, żeby nie nadeptywać na jej rakiety. Ale nie chcę iść pierwsza z obawy, że się nagle położy albo po prostu zabłądzi. Zastanawiam się nad jej złością i żalem. Czy była zła na siebie, czy na mężczyznę, który zostawił tam dziecko? Nie na mężczyznę, tylko na chłopaka z college'u. Studenta, jak ona. Charlotte ma dopiero dziewiętnaście lat. Jest dziewiętnastoletnią dziewczyną. A może kobietą? Zastanawiam się. Chłopak czy mężczyzna?

W miejscu, w którym źle skręciłam, wołam Charlotte, żeby jej wskazać właściwą drogę. Przypomina automat, który posuwa się do przodu, bo po prostu nie ma alternatywy. Jeśli się zatrzyma, to się położy i zwinie w kłębek na śniegu, i nigdy jej nie zmuszę, żeby wstała. Widzę, jak się potyka i wyciąga ręce, by nie stracić równowagi. Ostra kora sosnowa zostawia na jej dłoniach zadrapania.

- Włóż rękawiczki - mówię.

W połowie drogi uświadamiam sobie, że jestem głodna. Od śniadania nie miałam nic w ustach, a i śniadanie zjadłam skromne. Szukam w kieszeniach gumy albo resztek krakersów w celofanowym opakowaniu, pozostałych ze szkolnego lunchu. Charlotte zatrzymuje się nagle przede mną, a ja na-deptuję na tyły jej rakiet śnieżnych.

- Co się stało? - pytam.

Kiedy nie odpowiada, zaczynam wyglądać zza niej. Z daleka widzę poruszający się beżowy kształt. -. Niech to szlag - mówię.

Wysuwam się do przodu i idę na spotkanie ojcu, wiedząc, że jeśli zostanie zmuszony do tego, by do nas podejść, to będzie jeszcze bardziej zły. Spotykamy się na ścieżce. Jego furia jest monumentalna.

- Co wy, na miłość boską, wyrabiacie? - pyta prawie przez zaciśnięte usta.

- Ja właśnie...

- Czy masz chociaż blade pojęcie, co zrobiłaś? - przerywa mi w pół słowa. - Przecież ona mogłaby znów zemdleć. Mogłabyś zabłądzić. Obie mogłybyście tego nie przeżyć...

Z trudem poznaję wykrzywioną twarz ojca. Pokazuje w kierunku, z którego przyszedł.

- Macie być w domu najszybciej, jak tylko możecie - mówi, patrząc spoza mnie na Charlotte. - A co do ciebie... - zaczyna.

Ale widok jej twarzy nie pozwala mu dokończyć. Zadrapania są teraz bardziej widoczne, oczy spuchnięte.

- Co się stało? - pyta.

Ani Charlotte, ani ja nie odpowiadamy. Nawet sobie nie wyobrażam, jak mogłabym chociaż spróbować opisać to, co miało miejsce w pomarańczowym kręgu. Wiem, tak jak wie dziesięcio-, jedenasto- czy dwunastoletnie dziecko, że uczestniczyłam w czymś, w czym nie powinnam była uczestniczyć, że widziałam coś, czego nie powinnam była widzieć. Już teraz mam pewność, że nigdy, ale to nigdy nie wymażę z pamięci Charlotte szaleńczo rozmiatającej śnieg.

Rozdział 14

Idę na skróty, między drzewami, wiedząc, że ojciec będzie musiał poczekać na Charlotte. Nie chcę usłyszeć, że mam iść do swojego pokoju. Pójdę tam z własnej nieprzymuszonej woli, od razu położę się do łóżka i naciągnę kołdrę na głowę. Przy odrobinie szczęścia zasnę i obudzę się, nie pamiętając przeżyć ostatniej godziny.

Z odnalezieniem ścieżki nie ma najmniejszego kłopotu -przedeptały ją trzy osoby w raketach śnieżnych. Ojciec, który wyraźnie był wściekły, pozostawił najgłębsze ślady. Znow zaczyna padać śnieg.

Mechanizm opadów śnieżnych zawsze wprawiał mnie w zdumienie: najpierw w powietrzu pojawiają się pojedyncze płatki śniegu i nigdy nie wiem, czy to już pada, czy tylko wiatr strąca je z gałęzi drzew. A potem zaczyna się równomierny opad, delikatny, ale nieustępliwy, przypominający sceny z filmów albo z kart świątecznych.

Nie minęło piętnaście minut od chwili, kiedy rozstałam się z ojcem i Charlotte, a złapała mnie regularna śnieżycą. Zastanawiam się, czy nie poczekać na ścieżce, na wypadek gdyby śnieg przykrył ślady, zanim ojciec i Charlotte się ze mną zrównają, ale dochodzę do wniosku, że ojciec na pewno trafi do domu. Wolę sobie nie wyobrażać ich milczącego marszu - Charlotte z przodu, ojciec za nią. Dwoje nieznanym w lesie.

Przed wejściem do domu odpinam rakiety, wchodzę, w kuchennej szafce znajduję paczkę ring dingsów i szybko uciekam z nią do swojego pokoju. Zrzucam na podłogę mokre ubranie i zostaję w samej bieliźnie. W lustrze nad biurkiem widzę twarz, czerwoną w cętki; włosy mam jak strąki. Siadam na brzegu łóżka i zaczynam pakować do ust ring dingsy.

W dalszym ciągu jedząc, kładę się i przykrywam pod brodę. Świat za moim oknem jest nieprzezroczysty. Słyszę najpierw otwieranie i

zamykanie drzwi, a potem tupanie na wycieracze w przedpokoju. Drzwi ponownie się otwierają i zamykają. I znów tupanie. Żadnej wymiany słów, tylko ciche kroki stóp w skarpetkach na schodach. Słyszę skrzypienie drzwi pokoju gościnnego, znów kroki na schodach, tym razem cięższe. Drzwi sypialni ojca się zamykają. Leżę w łóżku i nasłuchuję, ale panuje kompletna cisza.

Budzi mnie pukanie do drzwi. Mam wrażenie, że w sypialni jest zimniej, niż być powinno. Podpieram się na łokciach i widzę za oknami ciemność.

- Nicky - mówi ojciec.
- Chwileczkę.

Odrzucam kołdrę i łapię wiszący na drzwiach szlafrok. Zawijam pasek i otwieram drzwi.

W ciemnym korytarzu stoi ojciec. Trzyma skierowaną w dół latarkę, w której świetle widzę jego twarz.

- Nie ma prądu - mówi.
- Która godzina?
- Siódma. Ubierz się i zejdź do pokoju wypoczynkowego. I obudź ją, niech też zejdzie. - W dalszym ciągu nie może wymówić jej imienia. - I, Nicky...

- Słucham?
- Żebyś nigdy... mówię poważnie: żebyś nigdy więcej nie robiła podobnych numerów.

Wpatruję się w plamę światła na podłodze.

- Jeszcze pół godziny i nie zdołabym was znaleźć. -W jego głosie nie słyszę już furii, tylko ojcowską naganę.

- Przepraszam - mówię.
- No, ja myślę - słyszę w ciemności.

Żeby obudzić Charlotte, muszę ją potrząsnąć za ramię. Śpi z twarzą wgniecioną w poduszkę i z uchylonymi ustami. Zastanawiam się, o czym śni. O swoim chłopaku, który ma na imię James? O Małej Doris, zanim została Małą Doris? A może jej sny są bardziej szczegółowe i bardziej przerażające - może śni jej się noworodek, przysypany wzgórkami śniegu?

- Nie ma prądu - informuję ją, widząc, że siada. - Musimy zejść do

pokoju wypoczynkowego. Tam jest kominek.

Charlotte robi wrażenie zdezorientowanej.

- Co? - pyta.
- Ubierz się ciepło.
- Która godzina?
- Siódma. Masz tu na stoliku latarkę. Weź ją. I uważaj, szczególnie na schodach.

Kiedy się zjawiam w pokoju wypoczynkowym, w kominku już się pali. Na stolikach stoją płonące świece. Z doświadczenia wiem, że trzeba się bardzo ciepło ubrać. Mam na sobie dwa swetry, długie kalesony i dwie pary skarpet. Słyszę krzątającego się w kuchni ojca. Podchodzę do okna i wyglądam. Burza śnieżna ustała i pokrywa chmur zaczyna się rwać. Na zachodzie widać gwiazdy i księżyc. Uwielbiam widok światła księżycy na śniegu, płynny błękit krajobrazu jakby odlanego z formy. Koło sofy leżą dwa zwinięte śpiwory. Normalnie byłyby dla ojca i dla mnie. I spaliłyśmy blisko kominka, ale tym razem, jak się domyślam, są przeznaczone dla mnie i dla Charlotte. Ojciec - nie mam co do tego wątpliwości - nie będzie spał w tym samym pokoju co ona.

Wchodzi ojciec.

- Mówiłaś jej, żeby zeszła na dół?
- Aha.
- Masz tu dla niej sweter.

Na poręczu sofy leży złożony gruby szary sweter.

- Co robisz? - pytam ojca.
- Jajecznice na bekonie.

Przy zapalonym gazie ojciec nie zmarznie. Pewnie będzie spał w kuchni.

Klękam przed kominkiem i dorzucam podpałki. Na podłodze są dwa wypalone miejsca po iskrach, które wypadły, kiedy obsunęło się polano. Wnętrze kominka jest czarne od sadzy.

W drzwiach pojawia się Charlotte. Ma na sobie napięty na piersiach różowy sweter, jest świeżo uczesana, w blasku ognia jej skóra wydaje się różowa.

- Tata szykuje kolację. Jesteś głodna?
- Aha.

- Ja też. Umieram z głodu.

Charlotte siada na sofie z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Jak było w czasie drogi powrotnej? - pytam. - Czy ojciec coś mówił?

- Nie, nic.

- Ani słowa?

- Ani słowa.

- Rety. - Jest to moja odpowiedź uniwersalna, dobra na każdą okazję. Dotykam krawędzi jej dżinsów. - Są mokre - mówię.

- Tylko wilgotne.

- Zamarzniesz.

- Nie, jest w porządku.

- Zaczekaj tutaj.

Idę na górę, do pokoju ojca. Szukam na podłodze sterty czystej bielizny, która odróżnia się od brudnej tylko tym, że jest poskładana. W spodniach ojca Charlotte się utopi.

- Nie mogę - mówi, widząc, co jej przyniosłam.

- Możesz - zachęcam ją. Nie na darmo jestem córką swojego ojca. - Wkładaj, masz tam pasek. I ten sweter też jest dla ciebie. Będzie ci ciepłej.

Charlotte się waha, ale w końcu wstaje, bierze ubranie i idzie z nim do frontowego pokoju.

- Powieś dżinsy, żeby wyschły - wołam za nią. - Na drzwiach czy jakoś inaczej.

Stawiam tace i nalewam mleko, otwierając, a potem zamykając lodówkę, jakby w niej siedziało jakieś dzikie zwierzę i próbowało uciec. Ojciec podaje jajecznicę. Czuję aromatyczny zapach bekonu i leci mi ślinka.

Niosę dwie tace - jedna dla Charlotte, siedzącej na sofie w miejscu, które jakoś dziwnie szybko staje się Jej miejscem". Podwinęła nogawki dżinsów, na swój różowy włożyła sweter ojca. Wygląda jak przebrana za ojca uczestniczka zabawy z okazji Halloween. Stawiam przed nią tacę. Przygląda się jej zawartości, ale nie sięga po widelec.

Wchodzi ojciec ze swoją tacą i lampą; robi wrażenie zaskoczonego widokiem Charlotte ubranej w jego rzeczy. W świetle lampy okna

przypominają czarne lustra. W starej szybie widzę swoją twarz, zniekształconą.

Charlotte bierze do ręki widelec i nieśmiało zaczyna jeść. Wiem, że musi być tak samo głodna jak ja, ale zachowuje się sztywno, oficjalnie. Ja nie jestem tak powściągliwa jak ona i gdyby nie ciasny gorset milczenia, jaki w swojej wściekłości narzucił sobie ojciec, z pewnością bym usłyszała, że się rzucam najedzenie.

Zastanawiam się, co tworzy rodzinę? Formalnie rzecz biorąc, ojciec i ja stanowimy rodzinę, ale żadne z nas by tego określenia nie użyło. Owszem, jesteśmy ojcem i córką, ale ponieważ kiedyś byliśmy członkami rodziny, która została rozdarta, uważamy się za coś w rodzaju połowy rodziny czy rodziny-cienia. Ale kiedy tak siedzimy, z tacami na kolanach, czuję, czy może tylko sobie wyobrażam, „rodzinę” składającą się z ojca, Charlotte i mnie.

Wyobrażam sobie tę rodzinę, ponieważ jej pragnę. Marzy mi się starsza siostra, która nie zastąpi mi mamy ani Clary, ale będzie czymś pomiędzy jedną a drugą. Kimś, kto by mi powiedział, jak mam się czesać, jak rozmawiać z chłopakiem, jak się ubrać. Ojca, Charlotte i mnie nie łączą wprawdzie więzy krwi, ale łączy nas osoba, której obecność w tym pokoju jest prawie namacalna i która z powodzeniem mogłaby tu leżeć na ciepłych, miękkich poduszkach.

- Jakie to dobre - mówi Charlotte. Ojciec wzrusza ramionami.

Dzwoni telefon, którego dźwięk wydaje się obcy, szorstki. Zawsze zapominam, że telefon działa, nawet kiedy nie ma elektryczności. Przez chwilę żadne z nas się nie rusza. Przychodzi mi na myśl detektyw Warren. Zrywam się z miejsca.

- Ja odbiorę - mówię.

Z ulgą słyszę w słuchawce głos Jo.

- Cześć.

- Co robisz? - pyta Jo.

- Jem.

- Okropnie się nudzę.

Spoglądam w stronę pokoju wypoczynkowego. Jo na pewno nie byłaby znudzona, gdyby wiedziała, że naprzeciwko mojego ojca siedzi matka porzuconego dziecka.

- Ta śnieżycyca jest koszmarna -mówi Jo.
- Aha.
- Przedtem byliśmy w kinie.
- Z kim?
- Z moimi kuzynami. Przyjedziesz na narty?
- Aha.
- No to co robiłaś przez cały dzień?

Zabrałam do lasu matkę porzuconego dziecka i widziałam, jak dostaje świra.

- Nic - mówię. - Zapakowałam kilka prezentów.
- Ja też.
- Muszę już kończyć. Zadzwoń później?
- Jasne.

Odkładam słuchawkę i przez chwilę stoję w kuchni. Zjadam kawałek bekonu. Po powrocie do pokoju widzę, że Charlotte skończyła kolację i siedzi sztywno, jakby czekała na polecenia. Ojciec dopiero kończy posiłek.

Charlotte wstaje, bierze od niego tacę i razem ze swoją wynosi do kuchni.

- Co chciała Jo? - pyta ojciec.
- Nic. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się tak zachowujesz.
- Jak się zachowuję? - pyta ojciec, chociaż doskonale wie, o co mi chodzi.

- Nie odzywasz się do Charlotte. Nie mogę tego zrozumieć. Umrzesz, jak się do niej odezwiesz, czy co?

- Ja jej właściwie nie znam - odpowiada ojciec.
- Ona tu nie ma zamiaru zostać. Cały czas mówi, że chce jechać.
- I jak tylko nasza droga będzie odśnieżona, wyjedzie. - Ojciec wstaje. - To nie jest wizyta towarzyska.

- Dużo wiesz o wizytach towarzyskich - odszczekuję się.

Kiedy wchodzę do kuchni, zastaję Charlotte zmywającą naczynia. Stawiam na kuchni lampę. W jej świetle włosy Charlotte mają złocisty odcień.

- Grasz w szachy? - pytam.
- Nie za bardzo.

- A masz ochotę na opiekanie tostów?
- Na ogniu w kominku?
- Tak.
- Hmm, niespecjalnie. Słyszę, jak ojciec odmiata śnieg.
- Ale jeśli masz jakąś grę, to możemy zagrać - dodaje Charlotte.
- A co robiłaś wieczorami? - pytam. - Kiedy byłaś z Jamesem?

Ledwo zadałam to pytanie, poczułam się zmieszana. Prawdopodobnie całymi wieczorami się kochali.

- Wracał późno z praktyki. Potem jedliśmy. Czasem słuchaliśmy muzyki. Potem James się uczył, ja czytałam albo oglądałam telewizję. Albo robiłam na drutach.

- Robisz na drutach? - pytam zdziwiona. Charlotte kiwa głową.
 - Bo ja to ciągle robię na drutach - mówię, nie mogąc opanować podniecenia. - Na przykład tę czapkę, którą nosiłaś. Tę fioletowo-białą. Zrobiłam ją w zeszłym roku.

- Cool - mówi Charlotte.
 - Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by robił na drutach, poza starszymi kobietami. Jak na przykład Marion ze sklepu.
 - Kto cię nauczył?
 - Mama.
 - A mnie babcia. Nauczyła mnie robić na drutach, malować i szyć. I chciała, żebym zawsze mówiła do niej po francusku.

- A nie mama?
 - Moja mama zawsze pracowała w fabryce. - Charlotte wkłada brudne naczynia do zlewozmywaka. Wyciera tace i kładzie je na lodówce. - W lecie siadywaliśmy z Jamesem na podwórku. Właściciel domu pozwolił mi urządzić mały ogródek. Miałam trochę warzyw, ale głównie kwiaty.

Ojciec ustawił piec na dwieście stopni, co wystarczy, żeby ogrzać kuchnię, ale nie ma w niej krzeseł, na których mogłybyśmy usiąść. Wracam więc do pokoju wypoczynkowego i w tej samej chwili ojciec przynosi porcję drewna. Kładzie je bez słowa przy kominku i wychodzi. Po jakimś czasie dołącza do mnie Charlotte.

- Na którym jesteś roku? - pytam.
- Na drugim.

- Nie wracasz do college'u?
- Nie. W każdym razie nie do tamtego.
- Bo on tam będzie?
- On gra w hokeja. Ma z tego powodu stypendium. -Charlotte przerywa. - Chce iść na medycynę.
- Rety - mówię, skubiąc dywanik.
- Dlatego nie mogłam nikomu o tym powiedzieć.
- A nikt nie zauważył?
- Nosłam luźne bluzy i spodnie dresowe - wyjaśnia. - Na jedno seminarium nie chodziłam, a reszta to były wykłady w dużych audytoriach. Ale w końcu w ogóle przestałam chodzić na zajęcia.
- No, a twoi przyjaciele, koleżanka, z którą mieszkałaś w pokoju? Nic nie mówili?
- Cały czas spędzałam u Jamesa. Prawie nie widywałam się z moją koleżanką z pokoju. Pewnie myślała, że utylam, nie wiem. Może byś, patrząc na mnie, tego nie powiedziała, ale ja z natury jestem chuda.
- Trudno mi sobie to wyobrazić. Tak jak jest teraz, Charlotte wygląda wspaniale.
- Ludzie by w końcu zauważyli, tylko że dziecko urodziło się za wcześnie. Chyba jakiś miesiąc.
- Nie wiesz dokładnie?
- Nie za bardzo.
- Twoja rodzina nie wiedziała, że jesteś w ciąży?
- Rodzice by mnie chyba zabili. Są bardzo rygorystycznymi katolikami. A moi bracia... wolę nie myśleć, co by zrobili bracia. - Potrząsa głową, raz, szybko. - Wiem, że to trudno zrozumieć - mówi, patrząc mi prosto w oczy. - Ale ja byłam mu całkowicie oddana. To znaczy Jamesowi.
- Tak?
- Wiesz co, Nicky?
- Co?
- Ja tego dziecka chciałam. Naprawdę chciałam.
- Jakie to uczucie? - pytam.
- Charlotte przechyliła głowę i przygląda mi się.
- Nie masz z kim o tym porozmawiać, tak?

- Nie mam.
- Ojca przecież nie zapytasz.
- No, nie.
- A przyjaciółkę?

Myślę o Jo, bogini wikingów.

- Pewnie wie tyle ja.

Charlotte podciąga kolana pod brodę i obejmuje je ramionami. Ale ta pozycja musi być dla niej bolesna, bo bardzo szybko prostuje nogi.

- To jest niepodobne do niczego, co mogłabyś sobie wyobrazić.

Świat na zewnątrz jest cichy - nie słychać warkotu silników, żadnych pojękiwań pieca, tylko trzaski płonących polan. Od czasu do czasu ciszę przerywa jedynie skrobanie szufli o śnieg.

- Wiesz, że coś jest, może nie źle, ale nie tak - mówi Charlotte. - Od razu. Przestaje ci smakować jedzenie. - Dotyka gardła. - Czujesz tutaj jakiś metaliczny smak. To, co ci dawniej bardzo smakowało, zaczyna śmierdzieć. Zaczynają cię boleć piersi. Robią się nabrzmięte i wrażliwe. Zdajesz sobie nagle sprawę, że nie masz okresu wtedy, kiedy powinnaś go mieć. Więc kupiłam sobie test ciążowy. No i wyszło - jak byk!

Rozumiem, co znaczy „jak byk”.

- Odczekałam jeszcze ze dwa tygodnie, zanim powiedziałam Jamesowi. Ale wtedy już się kiepsko czułam. Było mi niedobrze, nie tylko rano. Męczyły mnie bóle głowy z mdłościami.

- I wtedy mu powiedziałaś, tak?

- Tak, wtedy.

- A on co na to?

- Był zaskoczony i w kółko pytał, jak to się mogło stać. No bo zawsze bardzo uważaliśmy. - Charlotte patrzy na mnie, żeby się zorientować, czy ja wiem, co to znaczy „uważaliśmy”. Kiwam głową, chociaż nie jestem pewna co do szczegółów. - Zaczął chodzić tam i z powrotem i od czasu do czasu pytał: „Co my teraz zrobimy?” i jak ja się czuję. Nie powiem, żeby był szczęśliwy. W wyobraźni widział, jak całe jego życie idzie w kanał.

Nienawidzę Jamesa jeszcze bardziej niż do tej pory.

- A co z twoim życiem? - pytam. - Czy on się troszczył o ciebie?

- Troszczył się. Oczywiście, że się troszczył. Nie mówił, że mam się

pozbyć dziecka. On też jest katolikiem i myślę, że nie był taki głupi, by chociaż słowem o tym wspomnieć. Ale mówił o oddaniu dziecka, jak już się urodzi. Ciągłe powtarzał: „Krok po kroku”. - Charlotte na chwilę przerywa i wygina plecy. Mam wrażenie, że ją boją. - A potem nudności poranne ustępują i człowiek ma takie uczucie... takie wspaniałe uczucie, że... że nie potrafię tego wyrazić. Czujesz, jak maleństwo cię kopie... jakby cię coś od środka łaskotało, jakby krążyły w tobie bąbelki gazu. I wszystko jest inaczej. Inaczej niż to, co kiedykolwiek przeżywałaś. I jesteś taka... pełna. Po prostu pełna. - Uśmiecha się. - Mimo że zawsze masz uczucie głodu. A najbardziej chciało mi się pączków. Bez niczego. Najzwyklejszych, ale gorących, z chrupiącą skórką. Jadłam je z mlekiem.

Charlotte wyciąga nogi przed siebie i odchyła się do tyłu, podpierając się na łokciach. Ziewa.

- Z tobą będzie inaczej - mówi, patrząc na mnie. - Będzie cudownie, idealnie. Bez złego zakończenia. Jestem tego pewna.

Znów ziewa.

- Dziękuję ci, że mnie tam zabrałaś - mówi - i przepraszam, że miałaś z tego powodu kłopoty z ojcem.

- Nic nie szkodzi. Przejdzie mu.

Siadam przy kominku, z boku, od czasu do czasu poprawiając ogień, żeby płonął jaśniej. Dokładam jeszcze jedno polano. Przypominam sobie, że muszę dokończyć naszyjnik dla babci.

Sięgam po latarkę i wstaję.

- Muszę iść do swojego pokoju, żeby przynieść koraliki. Charlotte ziewa kolejny raz.

- Od tego ognia robię się śpiąca.

Znam drogę i bez latarki, ale mimo to jej używam. Znajduję pudełko po butach z paciorkami i rzemykami i wracam do pokoju wypoczynkowego. Stawiam pudło przy kominku, tak żeby w jego blasku widzieć koraliki. Grzebię w pudełku w poszukiwaniu zameczka.

- Piękny jest ten naszyjnik - mówi Charlotte.

- To dla mojej babci.

Naszyjnik składa się z sześciu czarnych okrągłych kenijskich koralików ze srebrnym wisiorkiem pośrodku.

- Ja bym to nosiła - mówi Charlotte. - Twoja babcia musi być w porządku.

Charlotte patrzy, jak dłubię przy zapięciu, bo przymocowanie jest najtrudniejszą częścią tej pracy.

- Muszę wprowadzić koniec rzemyka w to maleńkie uszko - mówię - i zacisnąć metal, tak żeby rzemyk się nie wyślizgnął.

- Aha.

Wsuwam cienki koniuszek rzemyka w otwór zatrzasku i zaciskam, a następnie pociągam za skórkę, żeby się przekonać, czy mocno siedzi. Ale rzemyk wypada.

- Niech to szlag.

W pudełku z paciorkami szukam drugiego zameczka. Możliwe, że mam takie zapięcie w szufladzie biurka, ale nie chce mi się iść na górę.

Koraliki mieniają się, odbijając blask płomieni. Mam różne paciorki - szklane w kształcie koników i kruków, pestki i srebrne koraliki z Bali.

- A ten? - Charlotte unosi do światła niebieski szklany koralik.

- Ten jest z Czechosłowacji. Wypolerowany przez ogień.

- Co to znaczy?

- Nie wiem.

- Jest piękny - zachwyca się Charlotte.

- Powinnaś go obejrzeć w świetle dziennym. Chcesz sobie wziąć?

- Nie, dziękuję - mówi, upuszczając koralik z powrotem do pudełka.

Wyjmują go.

- Mam sześć takich. Też mogłabyś zrobić naszyjnik.

- Ale to są twoje paciorki.

- Mam ich bardzo dużo.

Charlotte patrzy na mnie i przechyla głowę, jak to ma w zwyczaju.

- Dziękuję.

Wręczam jej zwitek rzemyczka i przeszukuję pudełko, próbując znaleźć pozostałe pięć niebieskich szklanych paciorków. Trudno odróżnić ten kolor w ciemności, ale paciorki miały charakterystyczny kształt - były kuliste i wielopłaszczyznowe. Charlotte układa paciorki na podłodze, a następnie zaczyna je nawlekać.

Biorę do ręki naszyjnik babci i podnoszę do światła padającego z kominka. Koraliki mają połysk, a wisiorek znajduje się idealnie

pośrodku.

Spoglądam na Charlotte. Nanizala paciorki na rzemyk.

- Poczekaj sekundę - mówię. - Zapomniałam ci powiedzieć. Jeśli to zrobisz w ten sposób, to koraliki będą się przesuwaly i zapięcie wypadnie z przodu. Musisz porobić supełki po obu stronach każdego koralika. Ponieważ masz ich sześć, to pierwszy węzełek zrób dokładnie w połowie rzemyka.

Sięgam do koralików, żeby jej pokazać, jak to się robi, i wykonuję zwykły supełek.

- W porządku - mówi Charlotte.

Wręczam jej rzemyczek. Patrzą, jak nawleka na niego koralik. Delikatnymi palcami robi zgrabny węzełek w idealnym miejscu. Włosy opadają jej na twarz i musi je co chwila odgarniać, żeby cokolwiek widzieć w padającym od kominka świetle. Patrzą, jak nawleka następny koralik i jeszcze jeden i jak potem zaczyna to samo z drugiej strony. Ten naszyjnik jest łatwy do zrobienia - w gruncie rzeczy wszystkie są łatwe - ale to pierwsza tego rodzaju praca Charlotte i obliczenie odległości supełków w drugiej połowie rzemyka, by było tak samo jak w pierwszej, chwilami wydaje się nie takie proste.

Przez chwilę po prostu ją obserwuję. Ma twarz napiętą w wyrazie skupienia. Pewnie tak samo wygląda, kiedy się uczy - myślę.

Po nanizaniu ostatniego koralika unosi naszyjnik do światła. Płaszczyzny koralików się mieniają.

- Wygląda fantastycznie - mówię.

Charlotte kładzie naszyjnik na dekolcie - trójkącie gołej skóry, widocznym w rozchylonej pod szyją białej koszuli.

- Zobaczysz, jak pięknie będzie wyglądał rano. Wcześniej, grzebiąc w pudełku z koralikami, namacałam drugie zapięcie.

- Muszę mieć tu gdzieś drugi zameczek - mówię, podnosząc pudełko i nachylając je do światła. Przesypuję paciorki między palcami. W kawałku srebra odbija się płomień. - To jest najtrudniejsze.

Dzwoni telefon. Znów w tym przytulnym otoczeniu wydaje się nie na miejscu, jakby coś z jednej epoki przeniknęło do innej. Spoglądam w stronę kuchni.

- Znów Jo - mówię, wstając. - Zaraz wracam. Idę do kuchni i

podnoszę słuchawkę.

- Cześć - odzywam się.
- Nicky?

Odwracam się plecami do pokoju.

- Mówi detektyw Warren. Czy zastałem tatę?

Słyszę rytmiczne szuranie na zewnątrz. Nerwowo wciągam powietrze.

- Tata bierze prysznic.

Słyszę za sobą stojącą w drzwiach Charlotte.

- Jak skończy, to mu powiedz, żeby do mnie zadzwonił, dobrze? -

prosi Warren.

- Oczywiście.
- Podam ci mój numer.

Detektyw Warren podaje mi numer telefonu, którego nie zapisuję.

- Nie macie prądu? - pyta.
- Nie mamy.
- My też nie. Trzymajcie się ciepło.
- Trzymamy się.

Odkładam słuchawkę i odwracam się do Charlotte.

- Boże - mówię.
- Co się stało? - pyta Charlotte.
- To był ten detektyw.

Twarz Charlotte jest całkowicie pozbawiona wyrazu.

- Co chciał?
- Chciał rozmawiać z ojcem. - W poczuciu popełnionego

przestępstwa nie mogę złapać tchu. - Powiedziałam, że ojciec akurat bierze prysznic.

- Rano wyjeżdżam - mówi Charlotte - Dłużej tak być nie może.

Myślę o tym, jak ojciec jechał na policję i jak chciał powiedzieć o wszystkim komendantowi Boydowi. Gdyby go wtedy zastał, Charlotte siedziałyby już w więzieniu.

Charlotte odwraca się i idzie do pokoju wypoczynkowego. Idę za nią. Przez chwilę stoi przy kominku.

- Chyba powinnam się położyć - mówi. Mnie absolutnie nie chce się spać. Charlotte ogarnia wzrokiem cały pokój.

- Mamy tutaj spać?

Rozwijam śpiwory. Jej śpiwór kładę bliżej ognia. Myślę o tym wszystkim, co mi powiedziała. Jak to możliwe, by mężczyzna, który naprawdę kocha kobietę, oczekiwał po niej, że zrezygnuje z dziecka, które urodziła? Sam pomysł zrezygnowania z dziecka - nie mówiąc już o porzuceniu go i skazaniu na śmierć - jest dla mnie kompletnie niezrozumiały. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. Czy nie byłaby to rozpacz na całe życie, tak jak mnie do dziś boli utrata Clary, mimo że nie myślę o niej bez przerwy? Dlatego musiałam sobie wymyślić Clarę ciągle żywą, rosnącą z upływem czasu. Dlatego, kiedy myślę o siostrze, mam przed oczami taką właśnie Clarę.

Charlotte wchodzi do śpiwora i poprawia sobie poduszkę.

Siadam przy kominku i od czasu do czasu grzebię w ogniu, żeby poprawić płomień. Dokładam jeszcze jedno polano. W dalszym ciągu nie chce mi się spać.

Charlotte zasypia natychmiast. Słucham, jak cicho pochrapuje.

Biorę jej naszyjnik, wykańczam go i układam w pudełku. Rano ją namówię, by go włożyła. Włożę do śpiwora i gapię się w sufit. Myślę o porannych mdłościach i o pączkach. I o metalicznym smaku w ustach. Patrzę na Charlotte i po raz kolejny uświadamiam sobie, że jest matką dziecka, które zostało porzucone i skazane na śmierć. Śpi w naszym domu, na podłodze, koło mnie. Może zostać złapana i wsadzona do więzienia. Mój ojciec i ja też możemy iść do więzienia.

Przewracam się na bok i patrzę w ogień. Decyduję, że będę leżała wiele godzin, nie śpiąc. Może pójdę poszukać jakiejś książki do czytania przy świetle latarki.

Ale po jakimś czasie wyobrażam sobie inny scenariusz: Charlotte nie zostanie schwytana; odzyska dziecko; zamieszka z małą, ze mną i z ojcem.

Tę przyszłość widzę z detalami. Białe łóżeczko w gościnnym pokoju; w pokoju wypoczynkowym stare wysokie krzesło z czerwonym siedzeniem ze skóry, które kiedyś widziałam u Sweetsera. Niebieski wózek w przedpokoju; w samochodzie Charlotte miękki dziecienny fotelik. W dzień będę chodziła do szkoły, a po powrocie zastanę w przedpokoju Charlotte, chodzącą tam i z powrotem, z małą na biodrze. Charlotte, w swoim puchatym różowym swetrze i džinsach, będzie na

mnie czekała z czekoladowymi ciasteczkami i będzie mnie pytała o mojego chłopaka. Jeśli zechce załatwić jakąś sprawę albo jeśli będzie chodziła do szkoły wieczorowej, na pewno nieraz mnie poprosi, żebym się zajęła dzieckiem. A wieczorami, przy wspólnym odrabianiu lekcji, będziemy musiały rozmawiać po cichu, by nie obudzić małej. Charlotte zabierze mnie do Hanover do fryzjerki, żeby mi zrobiła pasemka, i będzie woziła mnie i moich przyjaciół do kina.

Jamesa w tym scenariuszu nie ma.

Ojciec będzie - w razie potrzeby.

Zrobię dla Charlotte bransoletkę na kostkę, a dla małej kocyk z melanzowej włóczki, którą zawsze wtyka mi Marion, a ja nigdy nie biorę. Nie, kocyk zrobię z żółtej miękkiej włóczki, jaką kiedyś widziałam u Amesa w Newport. Charlotte zawiezie mnie do sklepu i kupię włóczkę za własne pieniądze. W myśli wybieram już ścieg, ale bijące od kominka ciepło robi swoje i morzy mnie sen, tak samo jak Charlotte. Ostatnim odgłosem, jaki słyszę, jest obtupywanie przez ojca śniegu z butów w przedpokoju.

Rozdział 15

Budzą mnie w nocy jakieś odgłosy, ale jestem tak wykończona odśnieżaniem, wycieczką do lasu i nerwową atmosferą, jaka panuje w domu od chwili pojawienia się Charlotte, że natychmiast zasypiam ponownie. Budzę się jednak wkrótce po raz drugi i słyszę głosy w kuchni. Nie chcę tych głosów, chcę się z powrotem zamknąć w moim śnie, ale głosy są faktem, więc otwieram oczy. Głosy? Słyszę jakieś szepty, potem strumienie sylab i krótkie urywane odpowiedzi, ale słów nie rozróżniam. Ogień prawie całkowicie zgasł, zostało tylko trochę żaru. Widzę, że śpiwór Charlotte jest pusty.

Dopiero później się dowiedziałam, że Charlotte obudziła się w nocy i nie wiedząc, że ojciec śpi w kuchni, poszła tam po kubek mleka i potknęła się o jego śpiwór (z ojcem w środku), boleśnie uderzając się w rękę o żelazną kratę kuchenki. Ojciec obudził się i obejrzał jej dłonie. Zapalił lampę naftową i przygotował dwa plastikowe woreczki z lodem, a następnie kazał usiąść na śpiworze, oprzeć się o szafkę kuchenną i obłożyć potłuczone dłonie zimnym kompresem.

Wysuwam się ze śpiwora i wychodzę na korytarz. Widzę Charlotte trzymającą w dłoniach woreczki z lodem. Ojciec stoi w przeciwległym rogu kuchni, ale blisko, bo kuchnia jest bardzo mała. Opiera się o lady kuchenne w miejscu, gdzie stykają się one pod kątem prostym. Widzę tych dwoje dzięki lampie naftowej, ale w korytarzu jest ciemno, więc oni mnie nie widzą. Mam już wejść do kuchni, kiedy słyszę:

- Niech pan nie wini Nicky za to, co się dzisiaj stało. Zatrzymuję się.
- To był wyłącznie mój pomysł - dodaje Charlotte. - Błagałam ją o to.
- Ale ona powinna być mądrzejsza - mówi ojciec. - Obydwie powinnyście być mądrzejsze.

Odwracam się i opieram o ścianę.

- To było straszne - mówi Charlotte.
- Mogę sobie wyobrazić.

Sama nie wiem, co mnie bardziej dziwi - czy to, że ojciec i Charlotte są razem w kuchni, czy to, że ze sobą rozmawiają.

- Jak twoje ręce? - pyta ojciec.
- Trochę odrętwiałe.

- Dalej trzymaj łód. Zanim się położyłyście, powinienem powiedzieć Nicky, że będę tutaj spał.

- Nie zauważyłam pana.

Osuwam się po ścianie i siadam na podłodze. Podciągam kolana pod brodę.

- Nie jest ci zimno? - pyta ojciec.
- Nie, wszystko w porządku.

Wyobrażam sobie Charlotte, jak siedzi z odchyłoną do tyłu, opartą o szafkę głową i z zamkniętymi oczami.

- Jutro będziesz mogła wyjechać - mówi ojciec po chwili. - Pług śnieżny powinien tu dotrzeć po południu.

W kuchni na dłuższą chwilę zapada cisza.

- Porzucenie dziecka to nie był żaden plan - przerywa ciszę Charlotte. - Chciałabym, żeby pan o tym wiedział.

Ojciec się nie odzywa.

- Ile razy pytałam Jamesa o przyszłość, zawsze mówił: „Krok po kroku”. Myślałam, że jak przyjdzie czas, to będzie wiedział, co robić. Przez semestr pracował w szpitalu i wybierał się na medycynę.

Słyszę dzwonienie kostek lodu w plastikowych woreczkach.

Oddycham tak płytko, że wreszcie muszę głębiej zaczerpnąć powietrza.

- Pewnie ci się wydawało, że go kochasz - mówi ojciec.
- Ja go naprawdę kochałam - odpowiada Charlotte.
- A ty masz... ile lat?
- Dziewiętnaście.

- To wystarczająco dużo, żeby już zacząć samodzielnie myśleć. Nie przyszło ci do głowy, że nie mówiąc nikomu o dziecku, mogłaś narazić jego życie?

- Na przykład lekarzowi?

- Właśnie, na przykład lekarzowi.

- Myślałam o tym. Poszłam nawet do biblioteki i przeczytałam o ciąży i porodzie. Na początku lata zaczęłam odczuwać mdłości. Poranne mdłości, tyle że u mnie trwały cały dzień. Bardzo się tym denerwowałam. Ale bałam się, że jeśli pójdę do lekarza, to dowiedzą się rodzice, a może i szkoła.

- Są kliniki - sugeruje ojciec.

W korytarzu jest zimno, a ja nie mam śpiwora. Zwijam się w kłębek.

- Pracowałam jako tymczasowa pomoc biurowa w firmie ubezpieczeniowej - mówi Charlotte. - Przenosiłam się z biura do biura, zastępując pracowników, którzy szli na urlop. Wtedy już mieszkałam z Jamesem. Rodzice myśleli, że wynajmuję mieszkanie z koleżanką. Kiedyś przyjechali mnie odwiedzić i musieliśmy na cały weekend wszystkie rzeczy Jamesa schować do samochodu. Ojciec znalazł w łazience egzemplarz „Sports Illustrated”, więc opowiedziałam im wyssaną z palca historię o tym, jak to zostałam fanką bejsbolu.

Charlotte przerywa.

- Jesienią - podejmuje opowieść - właściwie przestałam chodzić do szkoły. Zamiast tego chodziłam na długie spacery i trochę nauczyłam się gotować.

- Bawiłaś się w dom - mówi ojciec lekceważąco.

- Pewnie tak.

- Gdzie mieszkają twoi rodzice?

Charlotte nie odpowiada.

- Nie zamierzam do nich dzwonić, jeśli się tego obawiasz - mówi ojciec.

- Nie o to chodzi...

- Na policję też nie mam zamiaru dzwonić - dodaje ojciec. - Gdybym chciał to zrobić, już dawno bym zrobił. To ty musisz podjąć tę decyzję.

Zaczynam się w korytarzu trząść z zimna. Chętnie bym pochuchała w rękę, ale boję się, że się zdradzę. Ojciec wpadłby w furję, gdyby się dowiedział, że podsłuchuję.

- Mieszkają w Rutland - mówi wreszcie Charlotte.

- W Vermoncie?

- Tak. Pracowali w fabryce papieru, ale ich zwolnili. Teraz matka

pracuje w drogerii, a ojciec jest w dalszym ciągu bezrobotny.

- To opłacanie twojej nauki musiało być dla nich wielkim wysiłkiem - mówi ojciec.

- Pomaga jeden z moich braci. Pomagał. Miałam też kredyt studencki, chociaż pewnie już nie mam.

- A samochód?

- To stary samochód mojego brata. Dał mi go.

- A co to za szkoła?

- UVM.

- Jesteś dość daleko od Burlington - mówi ojciec.

- Wiem, gdzie jest Burlington. Zjeżdżałam na nartach z góry Stowe, to niedaleko północnej części miasta Vermont.

- Kiedy zaczął się poród - ciągnie dalej Charlotte - wsiedliśmy do samochodu. James chciał być jak najdalej od college'u. I wtedy poród na chwilę ustał, więc jechaliśmy, jak długo się dało. Kiedy znów się zaczął, postanowiliśmy szukać motelu. Taki był plan Jamesa. Żeby znaleźć motel i tam odbyć poród własnymi siłami. Gdyby coś poszło źle - obiecał mi - będziemy dosłownie kilka minut od szpitala. Ale jeśli nie będzie takiej potrzeby, to po co ryzykować?

Ojciec wydaje odgłos niesmaku.

- Ale, owszem, tak - mówi Charlotte - bawiłam się w dom.

Tłumaczyłam sobie, że się z Jamesem pobierzemy i urodzę dziecko, i będziemy mieszkali u niego, a on pójdzie na medycynę i będzie fantastycznie. A to, że wszystko było takie tajemnicze, tylko dodawało całej sprawie romantyzmu.

Wyobrażam sobie, jak ojciec potrząsa głową.

- I obojętne, co stało się później - podejmuje Charlotte z drzeniem w głosie - czy co stanie się od teraz... - oddycha głęboko, żeby się jakoś pozbierać - zawsze będzie to dla mnie cudowne wspomnienie. Ten czas, który z nią spędziłam. Z moim dzieckiem. Bo ona była we mnie i ja z nią rozmawiałam, i...

Słyszę odgłos darcia papierowego ręcznika.

- Przepraszam - mówi Charlotte.

- Masz, weź to - słyszę głos ojca. Charlotte wyciera nos.

- Dziękuję.

- A skąd on jest? - Z dźwięku głosu ojca wnioskuję, że ojciec znów opiera się o ladę kuchenną.

- A pan nie?...

- Przecież ci mówiłem.

- Jego ojciec jest lekarzem. Mieszkają pod Bostonem. Nie miałam okazji ich poznać.

- Nie chciał, żeby się dowiedzieli.

- Tego się bał najbardziej.

- Jak zamierzał w końcu wytłumaczyć to tobie i dziecku?

- Nie wiem - odpowiada Charlotte. Ojciec chrząka.

- Czy myślisz o tym, żeby odzyskać małą? - pyta.

- Gdzieś w głębi duszy bym chciała.

- A mogłabyś się nią zajmować?

- Nie.

- Nie znam przepisów prawa - mówi ojciec - nie wiem, czy by ci ją oddali. Szczególnie po tym, co będzie w sądzie.

- Kiedy była we mnie, tak bardzo jej pragnęłam - mówi Charlotte.

- Charlotte. - Ojciec ścisza głos. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Jestem w szoku. - Masz przed sobą całe życie. Ale nie odwracaj się. Słuchaj mnie. Każda twoja decyzja będzie miała konsekwencje. Poważne konsekwencje. Z którymi będziesz musiała się zmagać do końca życia. Ale przede wszystkim... pomyśl. Pomyśl o dziecku, o tym, co byłoby najlepsze dla niego. Może powinnaś o nią walczyć, nie wiem. Tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie.

- Pan stracił dziecko - mówi Charlotte z naciskiem.

Jej słowa wywołują rodzaj prądu elektrycznego, który dociera aż do mnie, za róg korytarza. Nasłuchuję odgłosu kroków ojca wychodzącego z kuchni.

- Przepraszam. - Charlotte niemal natychmiast się reflektuje. - Nie powinnam tego mówić.

- To była inna sprawa - mówi ojciec.

- Naprawdę jest mi bardzo przykro - powtarza Charlotte.

- Zupełnie, ale to zupełnie inna.

- Wiem, wiem. To nie była pana wina. Pan nic złego nie zrobił. To się po prostu panu przydarzyło.

- To znaczy, że wiesz o wypadku, tak?
- Tak, Nicky mi powiedziała.
- Aha, więc ci powiedziała?
- Tylko o samym fakcie. Że to się w ogóle wydarzyło. Słyszę na górze skrzypienie.

Drewno osiada - wyjaśnił mi kiedyś ojciec. - Nawet po stu pięćdziesięciu latach dom ciągle jeszcze osiada. Zapada się w ziemię.

- Może powinnaś to już zdjąć - mówi ojciec.
- Chciałabym panu powiedzieć, co się wydarzyło w motelu - mówi Charlotte.

- Nie chcę wiedzieć.
- Ale proszę. Chcę, żeby pan zrozumiał.
- Dlaczego ci na tym zależy?
- Nie wiem. Pan ją znalazł.
- Nicky śpi? - pyta ojciec.
- Kiedy wstawałam, chrapała. Podrywam głowę. Ja chrapię?
- Jechaliśmy z Jamesem już kawał drogi - zaczyna Charlotte. - Raz musiałam wysiąść. Nie mogłam dłużej tego wszystkiego trzymać w sobie. Nie zdążyłabym nawet dotrzeć do lasu. Dlatego wlałam na przymę śniegu. A potem poczułam takie okropne dygotanie i zobaczyłam krew i... inne rzeczy na śniegu. Przeraziłam się i zaczęłam wołać Jamesa. Wsiadł z samochodu i na widok krwi zrobił się biały jak papier. Skurcze były tak bolesne, że nie mogłam się podnieść, więc wtargał mnie jakoś do samochodu i pojechaliśmy do motelu.

Stojąc w dalszym ciągu na korytarzu, zwijam obie dłonie w pięści i podpieram nimi brodę. Mam szeroko otwarte oczy, chociaż i tak nic bym nie zobaczyła.

- Na parkingu stały jeszcze ze dwa samochody - ciągnie Charlotte. - Ale w motelu nie było prawie żywego ducha. Ja zostałam w samochodzie, a on poszedł do recepcji. Przykazał mi, żebym nie wrzeszczała, więc gryzłam palce. Po chwili przyszedł po mnie i wprowadził mnie do motelu. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał pokój. Wiem tylko, że były zasłony. Zielone w kratkę, brzydkie.

- Widziałem ten pokój - mówi ojciec.
- Położyłam się na łóżku. - Charlotte wraca do swojej opowieści. -

Skurcze miałam już mniej więcej co minutę. Właściwie bez przerwy. Stękałam. Myślałam, że z powodu tamtej krwi dziecko urodzi się szybko, ale wcale tak nie było. Wydawało mi się, że to trwa godzinami.

- Nie myślałaś jednak o tym, żeby się zgłosić do szpitala? - pyta ojciec.

- Raz powiedziałam: „Muszę iść do szpitala”, ale te skurcze następowały tak szybko po sobie i sądziłam, że lada chwila urodzę, a nie chciałam, żeby się to stało w samochodzie. To był taki straszny ból, że nie wiedziałam, jakbym w ogóle dotarła do samochodu.

Charlotte robi przerwę.

- Nie miałam pojęcia, jak to jest. Czy to, co czułam, było normalne. Ogarnęło mnie przerażenie. Myślałam, że umrę.

- A co przez cały ten czas robił James?

- Chwilami siedział przy mnie. Pamiętam, że kiedy nadchodził skurcz, wbijałam mu w ramię paznokcie. A tak to spacerował. Od jakiegoś faceta kupił demerol, żeby mieć środek przeciwbólowy pod ręką, i dał mi z wodą dwie tabletki. A kiedy zrobiło się jeszcze gorzej, kazał mi łyknąć kolejne dwie. Nawet się nie zastanawiałam nad właściwą dawką. Wzięłabym i sto, byle mi tylko pomogły.

Słyszę, jak ojciec wzdycha.

- Chciałam zacząć przeć, ale uświadomiłam sobie, że nie dam rady wstać z łóżka i dotrzeć do samochodu. Pomyślałam sobie: co ma być, to będzie, ale w tym motelowym pokoju. I właśnie wtedy James zaczął na dobre pękać. Zaczął wrzeszczeć: „Co my zrobimy?! Nie mam pojęcia, co robić!”. Więc musiałam mu powiedzieć. Musiałam go prowadzić cały czas za rękę. Zapytałam go, czy widzi główkę, i kazałam mu umyć rękę. Wtedy już postękiwałam. Próbowałam głęboko oddychać, tak jak piszą w książkach, ale to nic nie pomagało.

Obejmuję kolana ramionami.

- A potem już nie mogłam przestać przeć, ból był niewyobrażalny. Jakby mnie coś rozrywało. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że umrę. Zaczęłam wrzeszczeć - to cud, że nikt nas nie usłyszał.

W kuchni na dłużej zapada cisza.

- I wreszcie... się urodziła - mówi na koniec Charlotte. - Dziecko przyszło na świat i zaraz zaczęło płakać. James też płakał.

Powiedziałam, żeby wziął małą i obmył ją z tego śluzu. Cała była pokryta takim białym czymś i James myślał, że coś z nią jest nie w porządku. Kazałam mu odciąć pępowninę - nożyczki miałam w torebce w plastikowym woreczku - i on to zrobił. A potem powiedziałam mu, żeby owinał małą w ręcznik. No i żeby uważał na łożysko, łożysko też powinno wyjść. I wtedy nagle poczułam straszny ból, jakby się coś we mnie oderwało. Bardzo mnie to zdziwiło. Cała dygotałam i potwornie bolała mnie głowa. Znow zapada cisza.

- Myślę, że to właśnie w tym momencie zdałam sobie sprawę, jak bardzo James nie chciał dziecka. Tak naprawdę, to już wtedy zaczęłam je tracić. Cały czas okropnie płakałam. Powiedziałam mu, żeby przytulił malutką i policzył jej paluszki u rączek i nóżek. Trochę się wtedy uspokoił. Poprosiłam, żeby mi dał małą, a on mi ją po prostu położył na brzuchu. Przytknęłam do niej rękę, ale powoli zaczęłam tracić świadomość. Na przemian to ją traciłam, to odzyskiwałam. Pamiętam, że podparłam się na łokciu i cały czas się w nią wpatrywałam. Leżała buzią odwrócona do mnie. Poczułam nieprawdopodobną ulgę. A potem znow się położyłam, żeby chwileczkę odpocząć. I w tym czasie musiałam znow stracić świadomość.

- Straciłaś świadomość? - dziwi się ojciec.

- Kiedy się ocknęłam, miałam przed sobą twarz Jamesa, który mówił: „Wstawaj. Musimy stąd iść. Musimy iść do samochodu”. A ja na to: „Gdzie jest mała?”. „W samochodzie, śpi w koszyku, który ze sobą przywieźliśmy - odpowiedział. - Ale jest zimno, musimy jechać”.

Pomógł mi wstać, ale byłam obolała i ledwie się ruszałam. „Idź tak, żeby wyglądało, że wszystko jest w porządku” - powiedział. Zamknął drzwi pokoju i nie oddał klucza w recepcji. Posadził mnie na miejscu pasażera, a potem otworzył tylne drzwi i pochylił się nad koszykiem, jakby otulał małą, jakby patrzył, czy wszystko z nią w porządku, i na koniec powiedział: „Ona teraz śpi”. Ja na to, że muszę ją nakarmić, a on, że nakarmię, jak się obudzi. Pamiętam, że się odwróciłam i zobaczyłam koszyk, nakryty stertą kocyków, które mieliśmy ze sobą, i pomyślałam, że pod nimi jest mała. Musiałam sięgnąć do tyłu, żeby dotknąć kocyków. James wsadził kluczyk w stacyjkę i zapalił silnik. Znow zasnęłam. Obudziłam się raz - nie wiem, jak daleko ujechaliśmy - i spytałam: „Czy

ona dalej śpi?". „Tak" - odpowiedział i to było wszystko. Po prostu „Tak". I wtedy zasnęłam kolejny raz.

- Z tego wynika, że nigdy jej nie widziałaś.
- Tylko raz, wtedy, kiedy leżała na moim brzuchu.
- I co się potem stało? - pyta ojciec, tonem zdecydowanym, wręcz nieustępliwym.

- Kiedy znaleźliśmy się na podjeździe naszego domu, obudziłam się i powiedziałam: „Wyjmij małą. Nie wiem, czy nie stało się coś złego. W ogóle jej nie słyszę". A James na to: „Raz się obudziła, ale ty spałaś. Wszystko w porządku". „Obudziła się?" - zapytałam, a on, żebym weszła do domu, to on przyniesie małą.

No więc James pomógł mi wysiąść, a potem wejść na schody i do mieszkania, a ja przez cały czas: przynieś dziecko i przynieś dziecko. Pomógł mi zdjąć kurtkę i posadził mnie na sofie, a sam poszedł do samochodu po małą, i to wszystko.

Cisza się przedłuża, więc mam wrażenie, że Charlotte skończyła swoją opowieść.

- Znów musiałam się zdrzemnąć na kilka minut - mówi jednak po przerwie - bo kiedy się obudziłam, James siedział naprzeciwko mnie i płakał.

Charlotte ścisza głos, muszę się dobrze wysilać, żeby ją usłyszeć.

- Od razu wiedziałam, że stało się coś złego, więc zaczęłam się dopytywać: „Co się stało? Co się stało?". I wtedy James powiedział, że dziecko umarło. „To nieprawda, słyszałam, jak płakała". James oświadczył, że mała żyła przez kilka minut, a potem umarła. Twierdził, że próbował ją reanimować, robił jej sztuczne oddychanie czy coś w tym rodzaju, ale mimo to nie przeżyła. Wpadł wtedy w panikę, zawiązał ciało w ręcznik, wyniósł za motel i zostawił w śpiworze, który miał w bagażniku.

Myślałam, że oszaleję. Uderzyłam go w twarz, a sama upadłam na podłogę. „Ona mogła żyć!" - wrzeszczałam. - „Nie, nie mogła" - klócił się ze mną. - „To co było w koszyku?" - szalałam. - „Nic". - „Dlaczego mi nie powiedziałaś?" - „Bo myślałem, że zwariujesz i nie wsadzę cię do samochodu. A przede wszystkim chciałem cię zawieźć do domu". - „Do domu? Wolałabym umrzeć".

Oparłam czoło na kolanach.

- Zorientowałam się, że James też płacze, tak samo jak ja, i to mnie przeraziło nie na żarty, bo wtedy mu uwierzyłam. Wiedziałam, że to wszystko prawda, i było mi bardzo, bardzo smutno...

Obejmuję głowę ramionami.

- „To kara” - powiedziałam do Jamesa. - „Kara za co?” -zapytał. - „Za to, że tak to załatwiliśmy. Że nie powiedzieliśmy nikomu. Że nie poszliśmy do szpitala. Gdybym rodziła w szpitalu, mała by żyła”. Odpowiedział, że wcale nie wiadomo. Ale ja nie miałam wątpliwości. I przez to było mi jeszcze gorzej.

Został ze mną przez noc i większą część następnego dnia, ale potem powiedział, że musi jechać do rodziców. Były ferie świąteczne i do tej pory używał różnych wymówek, dlaczego nie ma go w domu. Powiedziałam, że dam sobie radę. Chciałam, żeby jechał. Chciałam być sama. James spakował plecak, powiedział „do widzenia” i pamiętam, że nawet się nie pocałowaliśmy. I że pomyślałam: to coś znaczy. Wiedziałam, że chciał się ode mnie wyrwać, tak samo jak ja chciałam, żeby jechał. - Charlotte przerywa. - On mnie nie kochał, prawda?

- Prawda - mówi ojciec.

- Nie robi się takich rzeczy komuś, kogo się kocha, prawda?

- Prawda.

Charlotte znów zaczyna płakać. Po chwili słyszę, jak wyciera nos.

- Jakaś godzinę później poszłam do sypialni i położyłam się. Usłyszałam, że gra radio. Pamiętam, że byłam zdziwiona, ale nie miałam dość energii, by wstać i je zgasić. Kiedy podawali wiadomości, usłyszałam coś o porzuconym dziecku, którego stan jest stabilny. Usiadłam. Spiker powiedział, że chodzi o Shepherd w New Hampshire. Ale ja nie znałam nazwy miasta, w którym był motel. W samochodzie miałam mapę Nowej Anglii. Poszłam po nią i sprawdziłam, gdzie jest Shepherd, a potem pojechałam do sklepu po gazetę. Znalazłam w niej historię o dziecku. Byłam taka szczęśliwa. Taka szczęśliwa, że jednak mała żyje. - Charlotte przerywa. - I wtedy to do mnie dotarło. Wtedy zrozumiałam, co James zrobił. On ją tam zostawił, skazał na śmierć. W pierwszej chwili nie mogłam w to uwierzyć. Powtarzałam sobie, że popełnił jakiś okropny błąd. Myślał, że mała nie żyje, a ona żyła. Powoli,

powoli zaczęło do mnie docierać, że on wiedział, że ona żyje, a mimo to wyniósł ją na śnieg i tak zostawił. Ledwie mogłam oddychać. Nie płakałam. Nie mogłam nawet krzyżeć. Nic.

- On to zrobił rozmyślnie - mówi ojciec. - Wiedział, że dziecko żyje. Charlotte milczy.

- Z góry to zaplanował.

- Nie sądzę - mówi Charlotte. - Może po prostu wpadł w panikę. Nie wierzę, że jechał przez całą drogę, wiedząc, że ma zamiar ją zabić.

- Dlaczego nie wezwałaś policji?

- Bałam się. Gdybym poszła na policję, zostałabym oskarżona o usiłowanie morderstwa. Byłam wystraszona. Pomyślałam: no tak, teraz już jest dobrze, mała żyje i ktoś się nią zajmie. Ja bym jej nie mogła zapewnić opieki. Nie mam pieniędzy. Muszę opuścić mieszkanie Jamesa. Nie mogłabym wrócić z dzieckiem do domu, do rodziców. Więc wszystko się dobrze skończyło, prawda?

Ojciec milczy.

- Zadzwoiłam do Jamesa, ale go nie zastałam. Matka powiedziała, że pojechał z przyjaciółmi na narty.

- Na narty? - pyta ojciec z niedowierzaniem.

- Byłam tak osłupiała, że bez słowa odłożyłam słuchawkę.

- Nie do wiary - dziwi się ojciec.

- Przez tydzień leżałam w łóżku, prawie nic nie jedząc, tak byłam wykończona. Wreszcie wstałam, pojechałam do czytelnicy i przejrzałam wszystkie gazety z tamtych dni, aż wreszcie natrafiłam na pana nazwisko. - Charlotte zawiesza głos. - I w końcu tu przyjechałam.

- Po co?

- Musiałam się z panem zobaczyć.

- Nie rozumiem.

- Co byłoby warte moje życie, gdybym panu nie podziękowała?

To niezwykle pytanie - chyba jeszcze bardziej zdumiewające od całego wyznania, od całej jej potwornej historii - przepływa przez kuchnię i wydostaje się na korytarz. W lewym uchu zaczyna mi walić puls.

- Chyba pójde się położyć - mówi Charlotte. Słyszę szuranie i głuche uderzenie o szafkę. - Zdrętwiała mi noga.

- Potrząśnij nią.
- Musi być panu trudno tego wszystkiego słuchać - mówi Charlotte.
- Takiej historii każdemu trudno słuchać.
- Ja naprawdę bardzo przepraszam za to, co powiedziałam o stracie dziecka.

- Nic nie szkodzi - uspokaja ją ojciec.
- Ciągłe myślę, czy nie mogłam go powstrzymać. Ekspłduje bomba bez dźwięku. Osłaniam oczy ręką, oślepią światłem. Nasz dom zaczyna nucić.

- Och! - mówi Charlotte, przestraszona.
- Jest światło! - oznajmia ojciec, sam lekko zaskoczony. Mrużę oczy w jaskrawym świetle. Drewniana podłoga lśni, a i malowana ściana rzuca blask. Mam ochotę zamknąć oczy. Świat jest okrutny i brzydki; nienawidzę go. Zmykam i wślizguję się do śpiwora.

Kiedy Charlotte wchodzi do pokoju, podpieram się na łokciu.

- Co się stało? - pytam, mrużąc oczy.
- Włączyli światło - mówi. Wewnętrzne strony dłoni ma bardzo czerwone. Nos różowy, otarty, a głos zachrypnięty.

- Coś niesamowitego.
- Jest środek nocy - mówi Charlotte. - Mam zgasić światło, żebyś mogła spać?

- Gdzie byłaś?
- Wstałam i poszłam do kuchni po mleko.
- A co się stało z twoimi rękami?
- Potknęłam się o twojego ojca. - Charlotte gasi światło i wchodzi do śpiwora.

Ja też się chowam do śpiwora i przyciskam dłonią serce, żeby mi nie wyskoczyło z piersi. Myślę o tym wszystkim, co Charlotte powiedziała ojcu - o krwi na śniegu, o tym, jak co chwilę zasypiała, o tym, jak zorientowała się, że James zostawił dziecko na pewną śmierć. Wszystko to było zbyt straszne, zbyt potworne. Chowam twarz w dłoniach.

A potem zaczyna mi się przypominać, jak jechaliśmy z ojcem z Nowego Jorku na północ i jak osiedliśmy w miasteczku o nazwie Shepherd. Charlotte i James jechali na południe z Burlington, aż znaleźli w Shepherd przypadkowy motel. Nasze drogi się przecięły gdzieś w

lasach. A co by było - zastanawiam się - gdybyśmy drugiego dnia naszej podróży na skomplikowanym rozjeździe w White River Junction pojechali na północ, tak jak pierwotnie zamierzaliśmy? A co by było, gdyby ojciec mimo wszystko zdecydował się zostać w Nowym Jorku? Albo gdyby mama, kupując w centrum handlowym prezent dla swoich rodziców, upuściła na przykład przy kasie dwadzieścia pięć centów i ukucnęła, żeby je podnieść, opóźniając w ten sposób swój powrót do samochodu? Albo co by było, gdyby ojciec nie wszedł pewnego wiosennego poranka - jak mi kiedyś opowiadała mama - do biblioteki, żeby przeczytać o rozegranym poprzedniego dnia meczu Jankesi - Wilgi i nie zobaczył mamy, jak siedzi przy stanowisku wypożyczalni książek, ucząc się jednocześnie do egzaminu z chemii, i nie zapytał jej, całkiem spontanicznie, w jaki sposób mógłby uzyskać pozwolenie na obejrzenie serii rzadkich rysunków Jeffersona, które znajdowały się w zbiorach biblioteki?

Nie byłoby mnie na świecie. Moi rodzice by się nie pobrali. Nie byłoby Clary.

Chcę wierzyć, że przeznaczeniem ojca i moim było natknąć się na Małą Doris i dać jej szansę na życie. Ale teraz nie jestem już tego taka pewna. Zasypiając, myślę o wypadkach i krzyżujących się drogach.

Rozdział 16

Sześć dni po narodzinach Clara dostała kaszlu i gorączki. Mama poszła z nią do pediatry, który zapisał łagodny antybiotyk i chłodne kąpiele, podczas których moja siostra wrzeszczała wniebogłosy. Temperatura spadła i mama myślała, że najgorsze mają już za sobą. Po południu weszłam do pokoju rodziców, żeby zobaczyć Clarę. Spała na wznak, naga, z wyjątkiem pieluszki. Matka, która nie jadła od poprzedniego dnia wieczorem, zeszła do kuchni zagrzać sobie zupy. Usiadłam na łóżku rodziców, patrząc na łóżeczko. Małe ciało Clary było to ostre, to znów nieostre, w zależności od tego, czy skupiłam wzrok na drewnianych prętach, czy na niej. Moją uwagę przyciągnęło pastelowe prześcieradelko, kołderka w kratkę i siedzący w rogu powycierany kaczonek, którego nazywaliśmy Kwa-Kwa. Kwa-Kwa był jak nowy, z wyjątkiem kawałka brakującego pluszu na policzku. Mnie wydawał się dość obrzydliwy, więc byłam zadowolona, że Clara go po mnie odziedziczyła. Kiedy tak siedziałam naprzeciwko mojej siostry, zauważyłam, że jej brzusek, poniżej klatki piersiowej, kurczy się przy każdym oddechu. Prawie nic nie wiedziałam o małych dzieciach i wydało mi się to bardzo fascynujące. Miałam wrażenie, że jej skóra jest cienką gumową błonką, a ktoś z tyłu stoi i wysysa z niej powietrze. Obserwowałam to przez kilka minut i dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że może coś jest nie w porządku. Podeszłam do schodów i zawołałam mamę.

- Mamo! Słyszałam ją w kuchni.
- Mamo! - wrzasnęłam ponownie.
- Co?! - zawołała z dołu.
- Z brzuchem Clary dzieje się coś dziwnego.

Może zauważyłam to dzięki temu, że moje oczy wypadały dokładnie

na poziomie Clary. A może po prostu dlatego, że mi się nudziło i nie miałam co robić. Matka dosłownie wbiegła po schodach.

- O, widzisz, popatrz, jak się podnosi i opada.

- Masz rację - powiedziała matka, w pierwszej chwili nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. - Zadzwoń do doktora Blake'a.

Usiadła na łóżku i zatelefonowała. Była w połowie opisywania objawów Clary, kiedy doktor jej przerwał. Wyprostowała się.

- Tak - powiedziała. - Tak, natychmiast. Odłożyła słuchawkę i wezwała karetkę pogotowia.

- Mamo? - zapytałam. - Co się stało?

- Wszystko w porządku - odparła mama. - Musimy tylko zawieźć Clarę na badania. - Złapała małą na ręce i przytuliła ją do siebie. - Weź torbę z pieluchami - zawołała do mnie.

- Co się dzieje, mamo? - powtórzyłam.

- Czekamy na karetkę pogotowia.

- Żeby jechać do szpitala?

- Tak.

- To dlaczego po prostu nie pojedziemy tam samochodem?

- Doktor Blake powiedział, że tak będzie najszybciej. Matka spacerowała nerwowo przed drzwiami, wypatrując świateł karetki. Stałam koło niej w kurtce i z torbą pieluch na ramieniu. Po upływie kilku minut usłyszałyśmy syrenę.

Ani matce, ani mnie nie pozwolono jechać karetką. Matka wręczyła małą lekarzowi pogotowia i dopiero wiele lat później zrozumiałam, jakie to było dla niej trudne. Kiedy tylko zamknęły się tylne drzwi ambulansu, pobiegła po samochód, zielonego volkswagena.

- Wsiadaj! - krzyknęła do mnie.

Matka, aż śmiesznie ostrożna jako kierowca - chwilami w sposób irytujący dla pasażera, którym najczęściej bywałam ja - gwałtownie wycofała samochód z podjazdu i pałac gumę, ruszyła za ambulansem. Wciskając gaz do deski, starała się nie spuszczać z oczu karetki pogotowia. Jechałam, kurczowo ściskając klamkę i starając się nie odzywać, ponieważ matka, mówiąc bardzo oględnie, nie była wytrawnym kierowcą. Zwykle siedziała wysunięta do przodu i pochylona nad kierownicą, nerwowo oglądając się za siebie na obie

strony, zanim zmieniła pas ruchu - czego nigdy nie widziałam u ojca. Ale dziś była profesjonalistką.

Zostawiła samochód przed wejściem na izbę przyjęć i, nawet nie zamykając drzwi, rzuciła się za wózkami z Claram, której płacz cichł w dali. Biegłam za mamą, z wielką torbą, która objęła mi się o uda, spowalniając moje tempo. Kiedy zobaczyłam pochylonego nad noszami lekarza, zrozumiałam, że sprawa jest poważna. Wwieziono Claram do małego pomieszczenia z białymi zasłonkami po obu stronach i włożono ją do metalowej skrzynki, która mnie wydała się dziwna, a mamie przerażająca.

- Czy mogę ją chociaż przytulić? - błagała mama.
- Proszę się odsunąć - polecił lekarz.
- Gdybym mogła dać małej piersi, toby przestała płakać...
- Karmienie jej teraz to najgorsza rzecz, jaką by pani mogła zrobić.

Nie podobał mi się lekarz, który wszystkich rozstawiał po kątach i krzyczał na pielęgniarki. A mamę traktował jak irytujący przedmiot, który mu zawadzał.

- Czy z małą jest źle? - spytała matka.
- Pani dziecko nie może oddychać - odparł lekarz.

Stałam pod ścianą w drugim końcu pomieszczenia. Torba z pieluchami wypadła mi z ręki.

- Nicky, masz tu dwie dwudziestopięciocentówki - zwróciła się do mnie mama - poszukaj płatnego telefonu i zadzwoń do taty. Znasz numer, prawda?

Znałam. Czasem dzwoniłam do niego z domu po lekcjach, jeśli miałam kłopoty z matematyką.

- Idź już.

Złapałam torbę z pieluchami i ruszyłam na poszukiwanie automatu telefonicznego. Kobieta z recepcji poinformowała mnie, gdzie są publiczne telefony, i wkrótce znalazłam je koło windy.

- Tato, przyjeżdżaj - powiedziałam.
- Dlaczego? - W głosie ojca usłyszałam niepokój.
- Bo Clara nie może oddychać.
- A gdzie jesteście?
- W tym szpitalu, w którym Clara się urodziła.

- Powiedz mamie, że zaraz będę.

Usiadłam pod ścianą, od Clary odgradzała mnie dyżurka pielęgniarek i zasłony. Potem przewieziono moją siostrę do innej części szpitala, a ja przeniosłam się tam ze wszystkimi. W pewnym momencie w ciągu nocy matka spojrzała w moją stronę i powiedziała:

- Rob, ona jest zielona. Ojciec wstał i usiadł obok mnie.
- Clara umrze, prawda? - powiedziałam.
- W żadnym razie - odparł.
- To dlaczego jest wokół niej takie zamieszanie?
- Tak to bywa w szpitalach.

Wiedziałam, że to nieprawda. Kiedy rok temu złamałam rękę w nadgarstku, czekaliśmy na izbie przyjęć dwie godziny, aż wreszcie ojciec stracił cierpliwość i zaczął wrzeszczeć na pielęgniarkę, że jego córka cierpi.

- Zadzwoń do Jeffa i Mary - powiedział ojciec, mając na myśli zaprzyjaźnioną z rodzicami parę małżeńską, mieszkającą niedaleko szpitala. - Zjesz coś u nich i pooglądasz sobie telewizję, a ja później po ciebie przyjadę.

Tej nocy lekarze godzinami ratowali Clarę. Zachorowała na groźne dziecięce zapalenie płuc. Matce powiedziano, że mała może nie przeżyć nocy, o czym miałam się dowiedzieć dopiero znacznie później. U Jeffa i Mary jadłam pizzę i do późna oglądałam telewizję. Spałam w gościnnym pokoju w koszuli Mary. Rano Jeff zawiózł mnie do domu, żebym się mogła przebrać do szkoły. Kiedy przyjechalismy do domu, drzwi były otwarte, w środku panował ziąb. Gazetę, którą matka zostawiła na stoliku, rozwiało po całym pokoju. Jeff kazał mi czekać na zewnątrz, a sam przeszedł po wszystkich pokojach, przygarbiony, jak policjanci w telewizji. Po powrocie zameldował, że dom jest pusty i nic nie zginęło. Mimo to bałam się przekroczyć próg. Jeff musiał mi tłumaczyć, że mama, biegnąc do ambulansu, zapomniała zamknąć drzwi, ale i tak poprosiłam go, żeby poszedł ze mną na górę i stał pod drzwiami pokoju, kiedy się będę przebierała.

Clara spędziła w szpitalu trzy dni i przez cały czas matka nie odstępowała jej ani na krok. Ojciec chodził do pracy tylko rano, żeby być w domu, kiedy przyjeżdżałam autobusem ze szkoły. Razem

jechaliśmy potem do szpitala, spokojniejsi drugiego dnia niż pierwszego i trzeciego niż drugiego. Na trzeci dzień wieczorem przywieźliśmy do domu Clare, która ważyła o kilogram mniej niż w dniu, w którym opuszczała dom. Była chuda jak oskubane kurczę. W ciągu tego i następnego tygodnia matka i ojciec często spoglądali na siebie i wzdychali, jakby chcieli powiedzieć: „Niewiele brakowało”, a kiedyś matka powiedziała do mnie: „Kto wie, czy to nie ty uratowałaś życie swojej siostrze”.

Budzę się o świcie. Z mojego punktu obserwacyjnego na podłodze widzę coś, czego nie widziałam od wielu dni: błękitne niebo, przeszyte jedwabście różowymi strzałami. Obok mnie śpi Charlotte. Wygląda na to, że nawet ojciec się nie krząta.

W północnej Nowej Anglii świt wstaje bardzo szybko. Wiem, że słońce wszędzie za kilka minut, jeśli nie sekund. Czekam, opatulona w śpiwór. Przypominają mi się wydarzenia poprzedniego wieczoru. Usłyszałam historię, która w świetle dnia wydaje się nierealna.

Nad Bott Hill wstaje słońce i opromienia przysypane śniegiem lasy i łąki takim światłem, że wyłączę ze śpiwora, by się na ten widok napatrzyć. Kolor powoli zalewa cały krajobraz i po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie mam aparatu fotograficznego. Wiem, że kiedyś mieliśmy aparat - pamiętam nawet, jak ojciec robił tamto zdjęcie, na którym siedzę na łóżku mamy i trzymam Clare; zresztą jest w moim albumie wiele innych zdjęć, ale od kiedy mieszkamy w New Hampshire, nie widziałam, żeby tata kiedykolwiek je wyjmował. Jak wszystko inne z naszego poprzedniego życia, wspomnienie w postaci fotografii rodzinnych jest dla ojca zbyt bolesne. Ale tego ranka, przez te trzy czy cztery minuty, kiedy płonie śnieg, marzy mi się aparat. Z kciuków i palców wskazujących robię „kadry”, staję w oknie i klikam językiem. A zaraz potem, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, cały ten rozkoszny róż znika i śnieg robi się biały i ostry, i razi w oczy. Niebo nabiera niebieskogranatowej głębi, jak na pocztówkach. Tylko wysokie sosny zachowują zieleni.

Charlotte w dalszym ciągu pochrapuje na podłodze. Może zresztą wszyscy chrapią. To, że ona w ogóle może spać, wydaje mi się zdumiewające - pokój wypoczynkowy jest oświetlony jaśniej, niż był

kiedykolwiek od tygodni, a może nawet od roku. W tym świetle widać cały kurz - popiół na palenisku kominka, cieniutką warstwę kurzu na stoliku i niesamowity, przypominający pajęczynę pył na abażurach lamp. Słońce tworzy na podłodze, na dywanie i na Charlotte, która się przekręca i odwraca tyłem do mnie, bardzo realistycznie wyglądające podłużne cienie.

W kuchni znajduję płatki kukurydziane, mąkę, proszek do pieczenia i jajka. Mieszam w mikserze składniki i czekam, aż się rozgrzeje patelnia. Poruszam się swobodnie między kuchnią a ladą kuchenną. Zastanawiam się, czy w takiej powodzi światła, wlewającego się przez okna, można opowiadać mroczne historie. Kleksy płynnego ciasta posypuję malinami, jak ziarnem. Maliny zamroziliśmy latem, w plastikowych torebkach, i mamy ich w zamrażarce w suterenie masę. Część zmiksuję z cukrem i wleję do małego dzbanuszka, będzie do polewania naleśników.

Z lodówki zdejmuję tace i kładę na nich nakrycia. Ciasto skwierczy na gorącym oleju. Moje naleśniki są zawsze chrupiące - tajemnica to płatki kukurydziane.

Jak zwykle mam problem ze znalezieniem wolnego miejsca na tace. Jedną stawiam na zlewozmywaku, drugą na stercie książek. W drzwiach pojawia się Charlotte.

Zdjęła ubranie ojca i ma na sobie tylko wymiętą białą bluzkę i dżinsy. Jej twarz jest zaróżowiona i pognieciona od snu. Włosy, nieuczesane, rozdzielają się nad uchem. Charlotte obejmuje się ramionami.

- Zwinęłam śpiwory - mówi.

W drugich drzwiach jak na zawołanie pojawia się ojciec. Włosy sterczą mu we wszystkie strony. Ma na sobie brązową bluzę dresową i beżowe mokasyny, przetarte na pięcie. Przez chwilę nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o ojcu i Charlotte rozmawiających wieczorem w kuchni.

- Cześć - mówi ojciec.

Wygląda tak samo jak wczoraj. Zdaję sobie sprawę, że oczekiwałam innego ojca, innego taty.

- Dzień dobry - zwraca się do Charlotte.

- Dzień dobry - odpowiada dziewczyna.

Wodzę wzrokiem od Charlotte do ojca i z powrotem. Czy widzę

jakieś znaki porozumienia pomiędzy nimi, czy tylko mi się wydaje?

- Naleśniki - mówi ojciec. - To dobrze. Umieram z głodu.

Bierze tygielek spod ekspresu i napełnia wodą.

- Co mogłabym robić? - pyta Charlotte.

- Właściwie to nic... - mówię i przerywam. Mam pewien pomysł. -

Dopilnuj, tato. - Pokazuję na patelnię. - Zaraz wracam. Chodź ze mną, Charlotte.

Charlotte idzie za mną do frontowego pokoju, tonącego w jaskrawym świetle. Dotykam orzechowego stołu, owalnego i pięknie wykończonego.

- Co będziemy robiły? - pyta Charlotte.

- Zaniesiemy ten stół do kuchni. Pomóż mi, weź z tamtej strony.

We dwie z Charlotte manewrujemy blatem stołu w drzwiach kuchni i opieramy go o szafki.

Ojciec obserwuje nas z drewnianą szpatułką w ręce.

Charlotte wraca ze mną do pokoju frontowego po dolną część stołu. Ustawiamy stół, który zajmuje większą część powierzchni kuchni. Żeby można było gotować i zmywać naczynia, co najmniej jedna trzecia stołu powinna wystawać na korytarzyk pomiędzy pokojem wypoczynkowym a przedpokojem. Ale przynajmniej mamy w kuchni stół.

- No, no - mówi ojciec.

Stawiam na stole talerze i szklanki, kładę sztuce, tace chowam na miejsce. Dwa krzesła przynoszę z frontowego pokoju, jedno z mojej sypialni. Nalewam do szklanek soku pomarańczowego i napełniam biały dzbanek syropem malinowym.

Ojciec siada u szczytu stołu; Charlotte i ja naprzeciwko siebie. Przez chwilę patrzymy to na siebie nawzajem, to na stertę naleśników, jakbyśmy byli rodziną, która się zastanawia, czy odmówić modlitwę, czy nie. Wspólne siedzenie w kuchni przy stole wydaje się jednocześnie i dziwne, i jakieś swojskie. Jest to zwykła rzecz, ale byliśmy jej z ojcem od dłuższego czasu pozbawieni.

Wpatruję się w miejsce na podłodze, na którym wczoraj w nocy siedziała Charlotte. Przypominam sobie chrząst kostek lodu i padający od lampy mały krąg światła. Pamiętam odgłosy i wszystko, co widziałam, ale słowa, które usłyszałam, wydają mi się jakby częścią snu.

- Jakie dobre - mówi Charlotte.

Biorę widelec i próbuję naleśnika. Dochodzę do wniosku, że dobrze mieć talerzyk na stabilnej podstawie i móc poruszać nogami podczas jedzenia. Podoba mi się widok małego białego dzbanuszka z syropem malinowym na tle ciemnego drewna. Po raz drugi tego dnia żałuję, że nie mam aparatu fotograficznego.

- Ten stół jest bardzo piękny - mówi po jakimś czasie Charlotte.

- Kiedy miałem czternaście lat - zaczyna ojciec - mój tata nauczył mnie podstaw stolarki. Pomagałem mu budować dom.

Nie znałam tego faktu z jego życia. Przyglądam mu się. Może być takich faktów nieskończenie wiele.

- O której przylatuje samolot babci? - pytam.

- O drugiej trzydziści - odpowiada ojciec.

Mieszam gorącą czekoladę. Wiem, że jeśli ją wypiję, to zwymiotuję.

- Masz dla babci prezent? - pyta ojciec.

- Zrobiłam dla niej naszyjnik z koralików.

Słyszę jakiś odgłos, którego w pierwszej chwili nie potrafię zidentyfikować. Wstrzymuję oddech i nasłuchuję. Odgłos jest słaby - silnik, ale nie tylko, który miele i skrobie, miele i skrobie. Odkładam łyżeczkę. W tym cichym i spokojnym świecie jest to odgłos tak niepożądany jak odgłos czołgu wjeżdżającego do wioski, która ma zostać zrównana z ziemią.

- Harry - mówi ojciec.

- Na Harry'ego za wcześnie.

- Wyjdę do niego.

Nasza droga jest ostatnia na jego trasie. Nieraz się zdarza, że ojciec wita go kubkiem kawy, a jeśli jest naprawdę późno, to i piwem. Kiedyś Harry przyszedł skorzystać z łazienki i z godzinę rozmawiał z ojcem, trzymając piwo w ręku. Harry tu mieszka i żyje z tego, że odśnieża drogi dla miasta i dla prywatnych użytkowników. Zimą w New Hampshire nie brakuje pracy.

Charlotte dopija kawę i odstawia kubek.

Czuję w piersi coś w rodzaju paniki.

- Pójdę na górę i przygotuję łóżko - mówi Charlotte. - Jest może czysta bielizna pościelowa, żebyś powłokła pościel dla twojej babci?

- Ale dlaczego?
- No bo przecież przyjeżdża, prawda?
- Nie wiem, gdzie jest czysta bielizna pościelowa - odpowiadam, choć oczywiście doskonale wiem. Jest w górnej szufladzie komody.
- To chociaż zdejmę brudną.

Oczywiście wyobraźni widzę Charlotte, jak zdejmuje brudną pościel, zostawiając goły materac.

- Nie możesz wyjechać - mówię.
- Muszę.
- Mogłabyś z nami zamieszkać. Co w tym złego? Powiedziałibyśmy, że jesteś moją kuzynką i że mieszkasz u nas już od jakiegoś czasu. Znajdziesz sobie jakąś pracę, zarobisz trochę pieniędzy i wrócisz do college'u.

Charlotte szybko potrząsa głową.

- Ale ja już to wszystko przemyślałam - jęczę.
- Gdyby policja mnie tu nakryła, twój ojciec i ty odpowiedzialibyście za współudział.

Znów to słowo.

- Mnie to nie przeszkadza. - I to jest prawda. Nie przeszkadza mi to. Chcę mieć współudział w życiu Charlotte.

Patrzę, jak Charlotte wkłada swoje naczynia do zlewu. Płucze je starannie i wyciera ręce w ściereczkę. Przemyka koło mnie i idzie na górę.

Przez chwilę samotnie siedzę przy stole. Dotykam jego powierzchni i przypomina mi się Charlotte, jak wtedy, tamtego pierwszego dnia, wodziła palcami po meblach. Słyszę, jak się krząta na górze, i znów stają mi przed oczami gołe materace, porządnie poskładane koce i bielizna pościelowa.

Znajduję w przedpokoju kurtkę. Kiedy odjedzie Harry, będę pertraktowała z ojcem. Nie możemy tak po prostu pozbyć się Charlotte, w żadnym razie.

Harry siedzi w swoim samochodzie; okno ma opuszczone, w rękę trzyma kubek kawy. Koło niego stoi ojciec.

- Jak się masz - pozdrawia mnie Harry, kiedy dołączam do ojca.
- Cześć - mówię.

- Jak tam przygotowania świąteczne? - zwraca się do mnie jowialnym tonem, jakim często dorośli zwracają się do dzieci.

- Dobrze.

Harry, starszy od mojego ojca, ma rzadką brodę i cienkiego kucyka. Jego samochód jest oblepiony nalepkami Pink Floydów. Zostawił za sobą gładką szeroką na jakiś metr dwadzieścia drogę. Po prawej stronie jego pług usypał wysoki śnieżny grzbiet. Wracając, oczyści drugą stronę podjazdu.

- Wcześniej dziś jesteś - mówi ojciec.

- Przez całą noc byłem w terenie. Dostałem wezwanie około dziesiątej.

- Musisz być wykończony.

- Nie, czuję się zupełnie dobrze. - Harry poprawia bejsbolową czapkę Red Soxów. - Właśnie jechałem do domu ściąć drzewo.

- Jak głęboki jest śnieg?

- Powiem ci dokładnie: sto dwa i pół centymetra.

- Musi być ciężko odgarniać śnieg, kiedy pod spodem jest lód.

- Mam odśnieżyć aż do stodoły? - pyta Harry.

- Nie, nie potrzeba. Jakoś sobie radzimy. Zrób tylko ten kawałek, którego nie zdążyliśmy załatwić sami.

Harry wręcza ojcu pusty kubek i wrzuca bieg, a następnie wskazuje palcem na mnie.

- Tylko nie zapomnij piwa i ciasteczek dla Świętego Mikołaja.

Wycofujemy się z ojcem. Harry opuszcza pług. Patrzymy, jak robi szeroki zamach.

- Tato - mówię.

- Tylko nie zaczynaj.

- Ale ona nie ma dokąd iść.

- Owszem, ma różne możliwości.

- Nie możemy tak po prostu się jej pozbyć.

- Jest już dorosła. Da sobie radę.

Harry zawraca i zbliża się do nas. Macha nam przez okno i rusza długim podjazdem.

- Tato, proszę...

Ojciec idzie w kierunku stodoły. Rozgląda się, robi wrażenie

zadowolonego i zawraca w stronę domu. Idę jego śladem, żeby zobaczyć, co oglądał. Jego wóz i samochód Charlotte są całkowicie odśnieżone, tylko na dachach leży delikatna warstwa puchu. Po to ojciec pracował całą noc - chciał mieć pewność, że rano Charlotte będzie mogła wyjechać.

Kiedy wchodzimy do domu, Charlotte stoi w drzwiach. Ma na sobie kurtkę i buty; na ramieniu torebkę.

Nie.

- To ja już chyba pojedę - mówi.

- Poczekaj jeszcze minutę czy dwie, żeby Harry odśnieżył cały podjazd - mówi ojciec. - Daj mi kluczyki, to ci rozgrzeję silnik.

Charlotte sięga do kieszeni i wyjmuję kluczyki.

- Nie! - wrzeszczę. - Nie!

Ojciec robi wrażenie zaskoczonego, bardziej tonem mojego głosu niż tym, co powiedziałam. Przez chwilę stoi nieruchomo, następnie otwiera drzwi i wychodzi.

Charlotte zgarnia mi włosy z kołnierza kurtki.

- Rób dalej na drutach - mówi jakby od niechcienia.

- Nie chcę, żebyś jechała.

- Dam sobie radę.

- Nie dasz sobie rady. I skąd będę wiedziała, gdzie jesteś? Napiszesz do mnie? Albo zadzwonisz?

- Oczywiście, że do ciebie napiszę.

- Ale nie znasz naszego adresu. Musisz wziąć nasz adres. - Biegnę do kuchni i przynoszę serwetkę bibułkową i długopis. Najładniej, jak potrafię, zapisuję nasz adres i telefon. Na wszelki wypadek, gdyby Charlotte zapomniała, do kogo adres należy, dopisuję swoje imię.

- Cieszę się, że cię poznałam - mówi Charlotte, kiedy daję jej adres. - Cieszę się, że tu przyjechałam.

- Ale ja bym chciała, żebyś z nami mieszkała - mówię bezradnie.

- Nie mogę. Wiesz przecież, że nie mogę. - Stuka palcami w zęby. - Kiedy to zdejmiesz?

- W kwietniu.

- Będiesz śliczna - mówi z uśmiechem.

Słyszę warkot silnika i widzę, jak ojciec przyprawdza pod dom

niebieski samochód, z którego bucha para.

- Nienawidzę pożegnań - mruczę. - Dlaczego wszyscy muszą mnie opuszczać?

Wchodzi ojciec, obtupuje buty ze śniegu i wręcza Charlotte kluczyki. Nie chcę na niego patrzeć.

- Dziękuję za wszystko - mówi Charlotte.

- Uważaj z górki - przestrzega ojciec. - Jest odśnieżona, ale może być śliska. I jedź wolno po ulicach.

Charlotte wyciąga rękę i ojciec nią potrząsa.

- No to do widzenia.

Charlotte przechyla głowę, a ja obejmuję ją za szyję. Pozwala mi się przytulić. Pod warstwą kurtki czuję jej ciało. Wdycham drożdżowy zapach. Charlotte odsuwa się i wychodzi.

Biegnę do okna i przyklejam twarz do szyby. Patrzę, jak idzie do samochodu, a następnie otwiera drzwi i wsuwa się do środka.

- To wszystko jest do kitu! - krzyczę.

Przez chwilę Charlotte siedzi jeszcze w samochodzie. Może nastawia temperaturę albo radio. A może wkłada rękawiczki. Nagle przypomina mi się naszyjnik z niebieskich paciorków, który zrobiła poprzedniego dnia. Muszę jej go dać; nawet nie wie, że go skończyłam.

Znajduję naszyjnik w pudełku. Przez okno widzę niebieski samochód toczący się już teraz wolno, jakby Charlotte testowała podjazd. Biegnę do drzwi, otwieram je i wrzeszczę:

- Poczekaj! Charlotte, poczekaj!

Wybiegam na podjazd w samych skarpetkach. Trzymam naszyjnik wysoko w nadziei, że Charlotte spojrzy w lusterko wsteczne i go zobaczy.

- Zatrzymaj się! - krzyczę z całych sił. - Charlotte, proszę cię, zatrzymaj się!

Na samym środku podjazdu Harry dokopał się aż do lodu. Na tej lodowej łacie wpadam w poślizg i młócę rękami, żeby utrzymać równowagę. Tam gdzie lód znów jest pokryty śniegiem, zatrzymuję się gwałtownie. Daję do przodu trzy czy cztery ogromne kroki i ostatecznie łapię równowagę.

Kiedy podnoszę wzrok, okazuje się, że samochód jest już za daleko,

bym go mogła złapać.

Pomiędzy drzewami, w miejscu, gdzie długi podjazd skręca, widzę czerwoną smugę. Jakiś mężczyzna wysiada na środku podjazdu. Widzę mrugnięcie świateł stopu, kiedy Charlotte zatrzymuje samochód.

Scandalous

Rozdział 17

Rano, w dniu, w którym wydarzył się wypadek, miałam nocować u Tary, więc spakowałam swój niebieski plecak. Wzięłam też plastikową kosmetyczkę Delta Airlines ze składaną szczoteczką do zębów, małą tubką pasty, grzebieniem, parą skarpetek i cieniem do powiek. Mimo że tej jesieni już kilka razy nocowałam u koleżanek, jeszcze do tej pory nie używałam kosmetyczki. Tym razem coś mi strzeliło do głowy i wzięłam ją ze sobą.

Ubrałam się w różowe sztruksowe ogrodniczki i fioletową koszulę. Kiedy zesłam na dół, matka siedziała przy kuchennym stole. Miała na sobie stary podarty szlafrok w kratkę, który pachniał mamą, nawet kiedy jej w nim nie było. Na ramieniu były trudne do zidentyfikowania plamy, które przypisywałam Clarze. Mama miała pod oczami smugi rozmazanego tuszu i z jednej strony przyklepane włosy. Pod szlafrokiem - jasnoniebieską nylonową nocną koszulę, a na nogach grube białe skarpetki, które na podszwach zrobiły się szare. Clara najwyraźniej jeszcze spała.

Na stole, na moim miejscu, stała miseczka z łyżką, szklanka soku i witaminy Flinstones. Nasypałam sobie do miseczki cheeriosów.

- Spakowana? - zapytała mama.
- Aha.
- Nie zapomnij podziękować.
- Mamo, ja tam jeszcze nie jestem.
- To nie szkodzi. I zaściel łóżko. Żebyś zawsze ścieliła swoje łóżko.
- Śpimy na podłodze.
- To zroluj śpiwór.
- Jasne.

Mama upiła łyk herbaty.

- Masz pieniądze na lunch?

- Nie.

Wstała i z papierowego kubka stojącego w szafce wyjęła trzy dwudziestopięciocentówki.

- Odbierzemy cię o dziesiątej.

- O dziesiątej?

- Babcia i dziadek przychodzą do nas jutro wcześniej z okazji Bożego Narodzenia, zanim wyjadą na Florydę.

Rozejrzałam się.

- A gdzie jest tata?

- Zaraz będzie na dole. Trochę zasnął.

Z góry dochodziły szybkie kroki bosych stóp z łazienki do sypialni.

- Popakowałaś już prezenty? - zapytała mama.

- Nie wszystkie.

- Możesz to zrobić jeszcze jutro.

- Inne dziewczynki zostają do jedenastej - powiedziałam. - Pani Rice robi wspólne duże śniadanie.

- Dziesiąta - powtórzyła mama.

Pamiętam, że podlewała roślinę stojącą na parapecie nad zlewozmywakiem. Z góry przyszedł ojciec, pachnący szamponem Neutrogena. Wypił kawę, nawet nie siadając.

- Widziałaś moje kluczyki? - zwrócił się do matki.

- Są na stole w jadalni.

- A ty, gotowa? - pytanie było skierowane do mnie. Ojciec dźgnął mnie palcem w kark.

Włożyłam kurtkę. Mama schyliła się, żeby mnie uścisnąć.

- Bądź grzeczna. Kocham cię.

- Zawsze jestem grzeczna - powiedziałam zaniepokojona.

Wyszłam z domu, nie oglądając się za siebie. Nie zauważyłam, czy mama stała w drzwiach, trzymając szlafrok pod szyją. Może do mnie machała, a może poszła na górę wziąć prysznic, zanim się Clara obudzi. Nie powiedziałam mamie: „Ja cię też kocham”. Nie powiedziałam Clarze do widzenia. Nie wiem, czy moja siostra spała na brzuchu z rozłożonymi nogami i rękami, z pieluchą odznaczającą się jak pakunek pod śpioszkami, czy wczołgała się w ką, jak to czasem robiła, trzymając

przy buzi biały robiony na szydełku kocyk. Nie wiem też, czy Kwa-Kwa był z nią w łóżeczku. Nie wiem nawet, kiedy widziałam Clarę po raz ostatni - przy kolacji na kolanach ojca, czy leżącą w łóżeczku, kiedy przechodziłam tamtędy do łazienki?

Szłam do szkoły i nie obejrzałam się. Wieczorem byłam umówiona u Tary.

Pojawia się u nas zastępca szeryfa, by nas zawiadomić, że Charlotte odwieziono radiowozem do Concord. Jej samochód zostanie odholowany na posterunek policji w Shepherd. Nam nie wolno się ruszać z domu. Wkrótce przyjedzie do nas policjant, żeby nas przesłuchać.

- A gdzie jest detektyw Warren? - pyta ojciec.

- Pojechał z tą dziewczyną do Concord.

Ojciec zamyka drzwi, ale nadal stoi z ręką na klamce. To niemożliwe, żeby coś takiego przydarzyło się akurat nam, myślę. Od chwili znalezienia dziecka nie myślałam w ten sposób ani razu.

- Pomyśli, że to ty nasłałeś na nią policję. Ojciec stoi jak wrośnięty w ziemię.

- Wezwałeś policję? - pytam.

- Nie.

- To zrób coś! - wrzeszczę. Ojciec zdejmuje rękę z klamki.

- Wiesz, że ona o niczym nie wiedziała! - krzyczę. - Wiesz, że ona tego nie zrobiła!

Ojciec odwraca się do mnie z pytającym wyrazem twarzy.

- Słyszałam waszą rozmowę w kuchni.

- Słyszałaś całą rozmowę?

- Każde słowo - mówię wyzywająco.

- Nicky.

- Charlotte zasnęła. Była na środkach znieczulających. Nie wiedziała, co robi James. To nie fair.

- Dowiedziała się, co zrobił, kiedy przyjechała do domu.

- Była przerażona i chora.

- Mogła wezwać policję.

- A ty byś to zrobił? Mając dziewiętnaście lat, wezwałbyś policję?

Ojciec rozpina kurtkę i rzuca ją na ławkę.

- Tak teraz myślę... że bym wezwał.
- Jeśli teraz czegoś nie zrobisz - wrzeszczę - to ją wsadzą do więzienia. I nigdy nie odzyska dziecka.
- Czy o to w tym wszystkim chodzi? - pyta ojciec, zrzucając buty.
- Nie, chodzi o uratowanie Charlotte.
Mam świadomość, że oboje przesadnie dramatyzujemy, że używamy języka, jakiego normalnie unikamy.

- Musisz zrobić to, co do ciebie należy - mówię stanowczym głosem.
- Po prostu musisz.
- Cokolwiek powiem, nie będzie miało najmniejszego znaczenia - broni się ojciec.

Spoglądam na naszyjnik, który trzymam w ręce. I z całej siły ciskam nim w ojca.

Trafiam go w szczękę. Ze sposobu, w jaki łapie się za policzek, widzę, że musiało go zaboлеć.

- Nicky - jest bardziej zdziwiony niż zły.
- To Charlotte go zrobiła. Ale teraz już nigdy go nie dostanie. Więc masz ty!

Ojciec robi krok do przodu, ale ja się nie cofam. Odejmuje rękę od twarzy. Tam gdzie trafił go naszyjnik, został czerwony ślad.

- Idź do swojego pokoju - mówi ojciec.
- Nie.
- Dość tego. - Głos ojca brzmi teraz bardziej stanowczo.
- Nie, nie pójdę do swojego pokoju i nic na to nie poradzisz!

Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że to jest prawda. Że ojciec nie może zrobić dosłownie nic, żeby mnie zmusić, bym poszła do mojego pokoju. Ta świadomość jest dla mnie zarazem rozweselająca i przerażająca.

- Jesteś słaby, wiesz? - mówię, biorąc się pod boki. - Boisz się iść na policję. Boisz się iść gdziekolwiek. Uciekasz przed światem.

- Daj spokój, Nicky.
- Chowasz się jak tchórz. - Czuję rodzaj podniecającego dreszczyku. Jeszcze nigdy w życiu tak się do ojca nie odzywałam.

- Są po temu powody.
- O, naprawdę? Na wszelki wypadek, gdybyś o tym zapomniał, to ci przypominam, że ja też straciłam matkę i siostrę.

Ojciec na moment zamyka oczy. Czekam, aż cała jego twarz się zamknie w ten koszmarny sposób, jak to mu się zdarza - oczy puste, widzące tylko obrazy z przeszłości. Przez jakiś czas żadne z nas się nie odzywa.

- Wiem, że straciłaś - odzywa się wreszcie.

- Twoje życie jest nienormalne, tato.

- Robię, co mogę. Wysuwam do przodu podbródek.

- Ale moje życie jest z tego powodu też nienormalne. Ciekawe, jakbyś się czuł, będąc na moim miejscu? Żadnych przyjaciół w najbliższej okolicy. Ani telewizji. Nigdzie nie wychodzimy. Nigdy nie odpowiadamy na telefony. Przez pół roku nawet nie mieliśmy telefonu dlatego, że nie chciałeś z nikim rozmawiać. A dlaczego tamtemu facetowi, temu Steve'owi, dałeś niewłaściwy numer, co? Bo nie chciałeś, żeby się do ciebie odezwał. To jest chore, tato. Po prostu chore.

- Chcesz za wiele.

- Chcę tylko odzyskać swoje życie! Czy to jest za wiele? - Nie chcę płakać, bo to psuje całą argumentację, ale płaczę.

- Nie możesz odzyskać tamtego życia - tłumaczy mi ojciec.

Wiem, że posunęłam się za daleko, ale nie mogę się powstrzymać.

- Ale mogłabym mieć przynajmniej jakieś życie. Ojciec odwraca się i patrzy przez okno. Opiera się ręką o parapet.

- Setki razy żałowałem tej decyzji - mówi.

- Mogliśmy zostać w Nowym Jorku.

- Byłaś mała i myślałem, że szybko dasz sobie z tym radę.

- Ale sobie nie dałam.

- Zawsze mi się wydawało, że jesteś w miarę szczęśliwa.

- Bo po prostu udaję. Ze względu na ciebie. Ojciec odwraca się do mnie zdziwiony.

- Udajesz? Przez cały ten czas udawałaś?

- Żebyś nie był smutny - wyjaśniam. - Bo ja tego nie mogę wytrzymać, kiedy ty jesteś smutny.

Ojciec zagryza usta. Widzę, że sprawiłam mu ból.

- Czy ty starasz się być smutny? - pytam. - Żeby być bliżej mamy i Clary?

Ojciec nie odpowiada.

- Bo chodzi o to - mówię - że ja już dłużej nie mogę się tobą opiekować.

Ojciec odwraca głowę. W moje uszy uderza biały krzyk. Ojciec z rozmyślną powolnością wkłada buty i sięga po kurtkę. W trzech krokach pokonuje odległość do drzwi.

Padam na ławkę, skołowana i bez tchu.

Nie będę za nim biegać - decyduję.

Słońce grzeje przez okna przedpokoju. Zrobiło się wyraźnie cieplej. Zdejmuję przemoczone skarpetki.

Nie mam zamiaru przepraszać.

Podnoszę naszyjnik i wciągam się po poręczy na górę, jakbym ważyła sto kilo. Idę do swojego pokoju i kładę się na łóżku na wznak.

Boli mnie brzuch. Zjadłam za dużo naleśników. Przewracam się na bok i łapię za żołądek. Zaczynam się zastanawiać, gdzie może być policjant, który ma tu przyjechać. Czy ojciec i ja zostaniemy aresztowani? Usiłuję sobie to wyobrazić. Ojciec i ja skuci kajdankami, prowadzeni do radiowozu. Ojciec i ja skuci, siedzimy obok siebie. To jest zbyt niesamowite, żeby się nad tym zastanawiać. Co byśmy do siebie mówili? A potem jazda na komisariat. W drugim końcu czekałby na nas Warren z tym swoim uśmiechem na twarzy. Przecież *wygrał*, prawda? A potem zastalibyśmy rozdzieleni i ja bym została zaprowadzona do celi przez dozorkinię podobną do pani Dean ze szkoły i tak samo grubą. Ciekawe, czy Charlotte będzie siedziała w celi obok? Czy będziemy mogły się porozumiewać? Czy musiałybyśmy wymyślić sobie jakiś kod i wystukiwać go o ścianę? Ale dlaczego, och, dlaczego zjadłam tyle naleśników? Czuję okropne skurcze żołądka.

Myślę o ojcu siedzącym samotnie w stodole. Czy jest wściekły, kopie deski i wali narzędziami o warsztat? A może jest jeszcze gorzej? Może siedzi na krześle, w swojej zwykłej „tatusiowej” pozie i tępo patrzy na śnieg? Gdyby mnie tak bardzo nie bolał brzuch, z pewnością bym do niego poszła. Nie wiem, co bym mu powiedziała, ale z pewnością próbowałabym mu powiedzieć, że zrobił w całej tej sprawie, co mógł. Że ja wcale przez cały ten czas nie udawałam. Że tak naprawdę na ogół jestem całkiem szczęśliwa.

Wstaję, żeby iść do łazienki. Przysięgam sobie, że już nigdy więcej

nie wezmę do ust naleśników. Zatrzymuję się przy umywalce i przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Jestem biała jak ściana i wyglądam na chorą. Próbuję się uśmiechać, ale widzę tylko metal. Odwracam się od lustra, rozpinam dzinsy i siadam na sedesie.

Nagle podrywam głowę do góry. Czy to możliwe?

Jeszcze raz przyglądam się moim majtkom.

Plamka jest malutka, ale to niewątpliwie krew.

Może to tylko przypadek. A może skutek awantury. Ale najprawdopodobniej po prostu nadeszła stosowna pora. Trudno jednak w tych dziwnych i radosnych pierwszych chwilach nie myśleć o tym jako o czymś, co zawdzięczam Charlotte. Myślę o mamie z ukłuciem bólu, ale to przede wszystkim Charlotte chciałabym o tym powiedzieć.

Powiem babci, kiedy przyjedzie. Może się popłakać. I powiem Jo w dzień po Bożym Narodzeniu, kiedy pojedziemy na narty. Wyobrażam sobie, jak będzie piszczała. Po troszku powiem i innym albo Jo im powie. Ojciec zobaczy w łazience paczkę podpasek i pomyśli, że zostawiła je Charlotte. I gdzieś je schowa. A wtedy ja je wyjmę i położę na umywalce, dając mu sygnał. W końcu dowie się i tak, bez słowa z mojej strony. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek przyjdzie taka chwila, że ojciec spojrzy na mnie innym okiem i czy ja to zauważę. Mam nadzieję, że nie zasmuci go to, że nie ma z nami mamy, która nie może zobaczyć, jak osiągam ten kamień milowy.

Mam dość smutku na całe życie.

Nie widziałam, żeby Charlotte, wyjeżdżając, zabrała ze sobą podpaski, więc przeszukuję szafkę łazienkową. Znajduję wyciśnięte tubki pasty do zębów i małe kawałki mydła, ale nie podpaski. Idę do pokoju gościnnego i otwieram drzwi szafki, a tam, na górnej półce - na pół ukryte za wełnianym kocem z atlasową obszywką - leży opakowanie podpasek. Biorę je i wracam do łazienki, kombinując, jak, mimo braku doświadczenia, zastosować taką podpaskę.

Znów patrzę w lustro. Jestem kobietą - mówię do mojego odbicia, ćwicząc to.

Kogo ja oszukuję? Jestem tylko dwunastoletnią dziewczynką, czekającą na policjanta, który ma ją zaaresztować. W dalszym ciągu mam skurcze, ale świadomość, że nie będę chora, sprawia, iż ból jest do

zniesienia. Usiłuję sobie przypomnieć, co zawsze bierze Jo, kiedy ją to złapie w szkole. Znajduję w apteczce motrin i biorę dwie tabletki.

Słyszę dźwięk, który poznałabym wszędzie. Wiem, że mam tylko sześćdziesiąt sekund na to, by się znaleźć na miejscu pasażera, bo właśnie tyle czasu ojciec czeka, żeby mu się rozgrzał silnik. Rzucam się do drzwi i biegnę po dwa stopnie naraz. Wkładam jedną rękę do rękawa kurtki i jednocześnie wsuwam nogi w buty. Z kurtką dyndającą mi z ramienia, kuśtykam do samochodu, a za mną ciągną się sznurowadła. Otwieram drzwi i wdrapuję się na siedzenie pasażera. Ojciec ogarnia mnie szybkim spojrzeniem i wrzuca bieg.

- Dostałam miesiączki - mówię.

Scandalous

Rozdział 18

Żeby się dostać do autostrady, prowadzącej na południe, do Concord, musimy z ojcem przejechać przez Shepherd. Na ulicach jest niewiele samochodów; mało kto chce ryzykować jazdę po śliskich ulicach, mimo że miejski pług zrobił już swoje. Ponieważ jest wigilia, w sklepach i w niektórych domach płoną świąteczne lampki. Mrugają słabo w ostrym świetle słonecznym. W tym blasku moje oczy przypominają szparki.

- Dobrze się czujesz? - pyta ojciec.
- Dobrze - odpowiadam, wciskając buty do końca.
- Mam się zatrzymać przed sklepem czy jak?
- Nie, nie potrzeba - odpowiadam szybko.

Niemal słyszę, jak szuka właściwych słów, żeby się odezwać do swojej córki. W ciągu ostatniej godziny zwymyślałam go, zasmuciłam, zraniłam, rozzłościłam. A teraz zaskoczyłam go tą nieoczekiwaną wiadomością bez żadnego uprzedzenia, bez żadnych wstępów. Mój komunikat sprawił go w osłupienie.

- Będzie chciał z tobą rozmawiać? - pytam, kiedy wjeżdżamy na drogę 89.

- Tak myślę - odpowiada ojciec.
- Czy wsadza ją do więzienia?
- Jeśli zostanie skazana, to najprawdopodobniej trafi do więzienia.
- A jakie mogą jej postawić zarzuty?
- Szczerze mówiąc, nie wiem. Lekkomyślne zaniedbanie?

Sprowadzenie śmiertelnego zagrożenia?

Nie powiedział: usiłowanie morderstwa.

- To bardzo źle - mówię.
- To bardzo źle - zgadza się ze mną.

Prowadzi samochód wolno, wydaje się bardziej czujny niż zwykle. Na

autostradzie otwarty jest tylko jeden pas ruchu, śliski w cieniu, pluchowaty w słońcu. Po drugiej stronie, na jezdni północnej, jeden z samochodów wpada w poślizg i ląduje na pasie zieleni, wznosząc wysoki grzebień jasnych kryształków, które porywa wiatr.

Nachylam się do przodu, niespokojna i zniecierpliwiona. Czy Charlotte w dalszym ciągu będzie na komisariacie, czy została już gdzieś przewieziona? Siedzę zgarbiona, z rękami w kieszeniach.

Koło nas śnieg w zaspach przydrożnych wznosi się na wysokość chyba trzech i pół metra. Samochody stoją uwięzione w zaspach, sosny uginają się pod ciężarem śniegu. Kiedy czapy śniegu topnieją albo rozpadają się, elastyczne gałęzie, uwolnione od ciężaru, jedna po drugiej strzelają w górę.

- Czy zostaniemy aresztowani? - pytam.
- Nie wiem.

Trzymaliśmy w domu przestępcę. Warren z pewnością powie, że mieliśmy okazję wezwać policję, że było to naszym obowiązkiem. Właściwie już nam coś takiego powiedział. A skoro tego nie zrobiliśmy, to zostaniemy uznani za winnych.

- Boisz się? - pytam.

Ojciec patrzy najpierw na mnie, a potem na drogę.

- Jesteś dzielną dziewczyną - mówi - jak twoja mama. Wzbierają mi łzy w oczach. Zaciskam ręce tak mocno, że bieleją kłykcie. Nie rozplączę się - powtarzam sobie.

Na przedmieściach Shepherd zjeżdżamy z autostrady i szukamy ulicy, przy której znajduje się komisariat policji.

Na rogu mijamy siedzibę gwardii narodowej, a potem Ministerstwo Transportu i Sąd Najwyższy. Ojciec skręca w prawo i wjeżdża na parking za budynkiem, który jest duży, kwadratowy, nowoczesny i przypomina mi szkołę.

- Idę z tobą - mówię.

Zanim ojciec zdążył zatrzymać samochód, mam już otwarte drzwi. Na najmniejsze wahanie w głosie ojca jestem gotowa wyskoczyć.

- Zamarzniesz tutaj - ustępuje ojciec.

Ma na głowie brązową włóczkową czapkę. Warren pomyśli, że się nigdy nie goli. Plamy na jego kurtce - beżowej, bezkształtnej szubie, do

której tak przywykłam, że niemal przestałam ją widzieć - w jasnym słońcu są bardzo widoczne.

Idę za nim odśnieżoną ścieżką do komisariatu.

Ojciec marszczy czoło. Wygląda na to, że trafiliśmy do działu pojazdów mechanicznych. Sprawdza adres, który napisał na skrawku papieru. Pyta dyżurnego, gdzie może znaleźć detektywa Warrena.

- Tamta winda. - Mężczyzna wskazuje. - Drugie piętro. Wsiadamy do windy. Podłoga jest mokra, a w windzie pachnie papierosami. Na drugim piętrze widzimy tylko system wyfroterowanych korytarzy i rząd drewnianych drzwi. Ojciec wsadza głowę w jedno z nich i pyta o detektywa Warrena.

- O - mówi młoda kobieta - musi pan zjechać do sutereny.

Ojciec robi wrażenie zaskoczonego.

- Chwileczkę - mówi kobieta. - Ja pana tam zaprowadzę. - Kobieta ma na sobie półgolf, spódnicę z wełny i czarne buty. - Niezła burza - mówi w windzie.

W suterenie wysiada z windy, przytrzymuje drzwi i wskazuje w głąb korytarza.

- Tam są pokoje przesłuchań i pokój badania poligrafem.

Prawdopodobnie w jednym z nich znajdzie pan detektywa Warrena. W zasadzie nie wolno tam wchodzić, ale obok jest kawiarenka i jeśli pan kogoś poprosi, to powie detektywowi Warrenowi, że ktoś na niego czeka.

- Dziękuję - mówi ojciec.

W kafejce są ściany z cegieł i świetlówek. Większość stolików z białego laminatu była wolna. Ojciec wskazuje czarne plastikowe krzesło.

- Poczekaj tutaj.

Sam podchodzi do innego stolika i pyta jakiegoś mężczyznę w mundurze, gdzie może znaleźć detektywa Warrena. Podaje swoje nazwisko. Robert Dillon. Kiedy to słyszę, za każdym razem doznaję dziwnego dreszczu, że jest kimś innym niż tylko „moim ojcem” czy „tata”. Policjant prosi ojca, żeby usiadł.

Ojciec wraca do naszego stolika i siada naprzeciwko mnie. Dwoje ludzi w średnim wieku, przy sąsiednim stoliku, zwróconych do siebie, rozmawia ściszymi głosami, posługując się krótkimi zakodowanymi

komunikatami. Kobieta mówi „Ten trzeci”, a minutę później mężczyzna: „Tylko osiemnaście”. Na to kobieta: „Jak będzie?...” I mężczyzna: „Chodzić”.

W drzwiach pojawia się detektyw Warren.

- Tato. - Pokazuję na drzwi. Ojciec wstaje.

- Zaraz wracam. Masz tu trochę pieniędzy. Tam są automaty, a może chcesz kanapkę?

Patrzę, jak przeciska się obok detektywa. Wzrok Warrena jest spokojny, usta zaciśnięte. W najmniejszy nawet sposób nie daje po sobie poznać, że kiedykolwiek spotkał ojca. Zanim odwrócił się, żeby za nim iść, spogląda na mnie. Nie uśmiecha się.

Nie wiem, o czym mówiono w małym pokoju, do którego Warren zaprowadził ojca. Nie ma mnie tam. Dopiero później ze strzępów wspomnień ojca zrekonstruuje sobie przebieg tamtej rozmowy.

Na stole jest lustro weneckie i magnetofon. Ojcu nie zaproponowano ani kawy, ani nawet szklanki wody. Polecono mu natomiast zdjąć kurtkę. Nie widzi śladu Charlotte, wtedy ani później.

Każą mu opowiedzieć całą historię od samego początku.

- Od chwili znalezienia dziecka? - pyta ojciec.

- Od samego początku - mówi Warren.

Ojciec opowiada historię znalezienia dziecka w śpiworze. Mówi wolno, uważnie, starając się nie pominąć żadnych szczegółów.

- Czy kiedykolwiek przedtem spotkał pan Charlotte Thiel? - pyta Warren.

- Nie - odpowiada ojciec.

Mówi, że po raz pierwszy zobaczył Charlotte u nas w przedpokoju, kiedy przyjechała swoim niebieskim malibu. Powiedziała, że szuka jakiegoś prezentu gwiazdkowego dla rodziców - pretekst, który nawet wtedy, kiedy dziś na to patrzy, wydał mu się bardzo naciągany. Przypomina sobie, że później Charlotte wyznała wprost, że nie miała zamiaru nic kupować, tylko przyjechała, żeby się z nim zobaczyć.

- Po co? - pyta Warren.

- Żeby mi podziękować.

- Podziękować panu?

- Tak.

- Za co?

- Za znalezienie dziecka. - Ojciec zastanawia się przez chwilę. -

Chciała też, żeby ją zaprowadzić w tamto miejsce, gdzie znaleźliśmy dziecko.

- W lesie?

- W lesie.

- Zabrał ją pan tam?

- Nie... to znaczy... tak. Ja nie, ale Nicky z nią poszła. Na drugi dzień.

Ojciec wyjaśnia, że chciał, żeby Charlotte natychmiast sobie poszła.

- Szczerze mówiąc, próbowała jechać - mówi. Opowiada

Warrenowi, jak zemdląca.

Jak ją nakarmiliśmy i jak pozwoliliśmy jej się przespać. O tym, że nie chciał wiedzieć więcej, niż musiał. O tym, jak Charlotte potknęła się o śpiwór i otarła sobie rękę.

Relacjonuje jej opowieść.

- Chciałbym wyjaśnić jedną sprawę - mówi Warren, przysuwając sobie krzesło do ojca. - Powiedziała panu, że James zapewnił ją, że dziecko było w samochodzie. Żadnego nazwiska?

- Żadnego.

- I że kiedy wsiadła do samochodu, dotknęła dziecka?

- Nie, dotknęła warstwy kocyków. Myślała, że pod nimi jest dziecko.

- I nic nie podejrzewała?

- Nie.

- I pan jej uwierzył?

- Tak, uwierzyłem.

Ale ojciec nie wiedział - i miał się o tym dowiedzieć dopiero znacznie później - że Warren już słyszał tę historię. Wersja ojca - niezależnie od tego, że mogła ujawnić nowe fakty - jest sposobem na sprawdzenie spójności zeznań Charlotte.

- Czy pan zamierza mnie aresztować? - pyta ojciec.

- Dojdziemy do tego w stosownym czasie.

- Moja córka nie ma z tym nic wspólnego.

- Zdaje się, że pan powiedział, iż Nicky chciała zaprowadzić Charlotte Thiel do tego miejsca w lesie.

- No... tak.
- I co tam się stało?
- Nic. Zorientowałem się, że ich nie ma, poszedłem po nie i przyprowadziłem, zanim zdążyły dojść na miejsce.
- Ktoś tam był - mówi Warren - i zostawił w tym miejscu niezły bałagan.

Ojciec natychmiast się orientuje, że popełnił fatalny błąd. Nie wie wprawdzie, że Charlotte już zeznawała, ale wie, że będzie. I nie ma zielonego pojęcia, co działo się na miejscu ogrodzonym pomarańczową taśmą.

- Miałem wrażenie, że gdzieś poszły i nie wracają - wyjaśnia ojciec mało przekonująco, próbując odzyskać wiarygodność i mnie chronić. Ale z Warrenem nie ma szans.

- Dlaczego nie zadzwonił pan na policję? - pyta detektyw.
- Bo wiedziałem, że jak tylko wezmę do ręki słuchawkę, to dziewczyna sobie pójdzie.
- Ale przecież pan chciał, żeby sobie poszła.
- No, tak, ale ona była chora. Źle się czuła.
- To można było wezwać pogotowie.
- Nie sądzę, żeby ambulans zdołał do nas podjechać.
- Mnie się to udało. Ojciec przez chwilę milczy.
- Czy powinienem już zadzwonić do swojego adwokata? - pyta. Warren ignoruje pytanie.
- Na dobre opuściła wasz dom dziś rano - mówi.
- Tak.
- Dokąd zamierzała jechać?
- Nie wiem.
- Nie zapytał pan?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie chciałem wiedzieć.

Do kawiarenki przyprowadzają kilkunastoletniego chłopaka i oddają go siedzącej przy sąsiednim stoliku parze w średnim wieku. Syn jest nadąsany, a ojciec robi wrażenie, jakby już się nie mógł doczekać, kiedy go zobaczy całego i żywego. Chłopak zostanie zwrócony rodzicom -

mówi policjant -ale będzie musiał po południu przyjść, ponieważ zostaną mu przedstawione zarzuty. Patrząc, jak cała trójka opuszcza kawiarenkę i jak zdruzgotani rodzice wloką się za chłopakiem.

Wstaję i podchodzę do automatów. Jest maszyna z napojami i druga ze słodyczami. Biorę sobie coca-colę i torebkę M&M-sów i wracam na miejsce.

Kończę colę i słodycze. Mundurowy policjant podnosi się do wyjścia. Myślę o tym, żeby sobie wziąć jeszcze fritosy. Po upływie trzech kwadransów zaczynam się niepokoić. A jeśli aresztują ojca i zapomną mi o tym powiedzieć? Jak wrócę do domu? Kto odbierze babcię z lotniska? Czy ojciec będzie musiał spędzić Boże Narodzenie w więzieniu?

- Czy powiedziała panu coś jeszcze na temat swojego chłopaka?
- Że chodził z nią do college'u. Grał w hokeja. Jego rodzice mieszkają pod Bostonem. Powiedziała, że dzwoniła tam, ale matka poinformowała ją, że syn wyjechał na narty.
- Niewiarygodne - mówi Warren.
- Niewiarygodne - powtarza ojciec w jednej z nielicznych chwil porozumienia między nimi.

Uświadamiam sobie, że moje bóle ustąpiły. Motrin dokazał cudu. Zastanawiam się, czy nie powinnam zmienić podpaski. Skąd mam to wiedzieć? Czy sprzedają je w toaletach, tak jak w szkole? Na szczęście zostało mi jeszcze trochę pieniędzy.

Wychodzę z kawiarenki i rozglądam się za znakiem „Toalety”. Znajduję go i idę po strzałkach, zastanawiając się, za którymi z zamkniętych drzwi może być mój ojciec. Nasłuchuję głosów. Znajduję damską toaletę. Trudno byłoby jej nie zauważyć. Postać kobiety na drzwiach jest duża, jeszcze takiej nie widziałam.

Po powrocie do kawiarenki z rozczarowaniem widzę, że ojciec na mnie nie czeka. A jeśli przyszedł akurat wtedy, kiedy mnie nie było? W kącie widzę mężczyznę w garniturze, z filiżanką kawy i gazetą. Biorę głęboki oddech i podchodzę do niego.

- Przepraszam pana bardzo.
- Tak, słucham? - Mężczyzna podnosi głowę.
- Czy pan tutaj pracuje?

- Tak.
- Mój tata poszedł gdzieś z detektywem Warrenem...
- To najprawdopodobniej w dalszym ciągu jest z detektywem Warrenem - odpowiada.
- To... to niemożliwe, żeby wyszedł stąd beze mnie, prawda?
- Tak, jestem przekonany, że ktoś przyjdzie i cię o wszystkim poinformuje.

Nie jest to szczególnie pocieszająca odpowiedź, ale widzę, że na żadną inną nie mogę liczyć.

- Dziękuję - mówię.
- Co się stało po tym, jak Charlotte i James wsiedli do samochodu? - pyta Warren ojca.

- Pojechali do domu.
- I co potem?
- Charlotte powiedziała, że chce sama wnieść dziecko, ale chłopak na to, że woli, by najpierw ona weszła, a potem on jej przyniesie małą. No więc ona weszła. Powiedziała, że musiała zasnąć, bo kiedy się obudziła, naprzeciwko niej siedział James i płakał.

- I co potem?
- Potem powiedział, że dziecko nie żyje.
- I pan uwierzył, że młoda matka poszłaby do domu, zostawiając swoje nowo narodzone dziecko w koszyku na tylnym siedzeniu samochodu?

- W tej sytuacji... uznałem to za możliwe. Tak, byłem wtedy przekonany, że mówi prawdę.

- Dlaczego nie zawiadomił pan policji?

Warren już wcześniej zadawał to pytanie. Ojcu serce podjeżdża do gardła.

- Już to wyjaśniałem.

Warren kładzie złożone ręce na stole.

- Charlotte była u was... ile?... czterdzieści osiem godzin? W tym czasie dosłownie w każdej chwili mógł pan wziąć słuchawkę... To bardzo długi czas na podjęcie decyzji o tym, żeby nie zadzwonić.

Ojciec milczy.

- Mógłbym pana wsadzić na rok, a co najmniej na pół roku. Kto by

się wtedy zajął pana córką?

- Niech pan mi nie grozi - mówi ojciec, wstając
- Proszę usiąść, panie Dillon. Dlaczego nie podniósł pan słuchawki?
- Już mówiłem - odpowiada ojciec. - Chciałem, żeby wyjechała

natychmiast. Kiedy wyczuła, że nie zabiorę jej w to miejsce... w lesie... powiedziała, że jedzie. Ale właśnie wtedy zemdląca. Martwiłem się... Powiedziałem, że wezwę pogotowie, ale uczepiła się mojego ramienia. Powiedziała, że jeśli pójdzie do szpitala, to ją... to ją aresztują. Co było zgodne z prawdą.

- I?
- Nie mogłem jej przecież na siłę wsadzić do samochodu. A z własnej woli nie chciała. Z drugiej strony bałem się, że znów zemdleje.
- To dlaczego nie wezwał pan policji? - pyta Warren po raz trzeci.
- O co chodzi?
- Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie zawiadomił pan policji?
- Ja już skończyłem - mówi ojciec. - Wychodzę.
- I co jeszcze? - pyta Warren.
- Co jeszcze? Nie wiem, o co panu chodzi. Pamiętam, że

pomyślałem: jeśli zabiorę tę kobietę do szpitala, zakładając, że zdołam ją zapakować do mojego samochodu, to bardzo szybko policja dowie się o pacjentce, która dopiero co urodziła, i o zdezelowanej ciężarówce, którą przyjechała. I będę jeszcze bardziej zamieszany w sprawę niż dotychczas. Co, mówiąc szczerze, tak znów bardzo mnie nie martwiło. Nie, najbardziej martwiłem się o Nicky. Gdybym został zatrzymany albo, co gorsza, aresztowany, co by się z nią stało? Każda decyzja, jaką teraz podejmę, dotyczy Nicky.

Ojciec nachyla się do Warrena.

- I jeszcze jedno - mówi. - Moja córka we wszystkim wzoruje się na mnie. Liczy na mnie, że zawsze postąpię właściwie. To, że Charlotte jest niewinna, było bardzo możliwe. Nie zadzwoniłem. Czekałem. A im dłużej czekałem, tym bardziej sprawa się komplikowała.

Warren wpatruje się w ojca. Ojciec ma wrażenie, że ustala datę spotkania w sądzie, mimo to ma potrzebę wyjaśnienia całej sprawy - już jeśli nie przed kimkolwiek innym, to przed samym sobą.

- Nie chciałem jej tak po prostu zostawić - mówi. - Zostawić jej

wam, jeśli chce pan znać prawdę. Za każdym razem, kiedy próbowałem sięgnąć po słuchawkę, ogarniał mnie niesmak.

Ojciec ponownie wstaje od stołu i zapina kurtkę.

- Rozstała się z chłopakiem - mówi Warren. Ta wiadomość zaskakuje ojca.

- Pan z nią już rozmawiał?

- On jest w Szwajcarii.

- Opowiedziała już panu całą tę historię?

- Na nartach - dodaje Warren.

W drzwiach kawiarenki pojawiają się detektyw i mój ojciec.

Podskakuję na ich widok.

- Wszystko w porządku - mówi ojciec.

- A co z Charlotte? - pytam.

- Zostaną jej przedstawione zarzuty - wyjaśnia Warren - i będzie wyznaczona data wezwania do sądu.

- Czy ja mogę się z nią zobaczyć?

- To jest niemożliwe - odpowiada detektyw, a następnie zwraca się do ojca: - Mam parę spraw do załatwienia, ale pan będzie uchwytany, prawda?

- Tak, będę.

- Bo może będę musiał jeszcze z panem porozmawiać.

- A jak pan wpadł na to, żeby przyjść do nas do domu wtedy rano? - pyta ojciec.

Warren dzwoni drobnymi w kieszeni spodni.

- Właściciel sklepu żelaznego powiedział, że ostatniego dnia widział tylko trójkę obcych ludzi - parę z Nowego Jorku i kobietę, która pytała, gdzie może kupić stół.

Detektyw spogląda w moją stronę. Nie mówi, że powodem, dla którego mógł pytać Sweetsera po raz drugi, był fakt, iż powiedziałam w sklepie, że podpaski są nie dla mnie, albo że skłamałam o ojcu i siekierze, albo że dom, położony za miastem i czerpiący wodę ze studni, może potrzebować elektryczności do uruchomienia pompy, która by podczas wyłączenia prądu zapewniła dostateczną ilość wody na prysznic.

- Dlatego pług przyjechał tak wcześnie - domyśla się ojciec.

- Długo trwało, zanim udało się dojechać do waszej drogi. Właśnie podjeżdżaliśmy, kiedy zobaczyliśmy malibu.

- To bardzo smutne - mówi ojciec.

- Oni wszyscy są smutni - dodaje Warren.

Wychodzimy z ojcem w jaskrawe światło. Ojciec nakłada okulary przeciwsłoneczne. Osłaniam dłonią oczy.

- Co się działo? - pytam

- Zadał mi wiele pytań.

- Czy mieli tam lustro weneckie?

- Tak.

- A ostre światło na suficie?

- To był zupełnie zwyczajny pokój ze stołem i dwoma krzesłami.

- I tylko rozmawialiście?

- Mniej więcej - odpowiada ojciec i patrzy na mnie. - A dlaczego pytasz? Co sobie wyobrażałaś, że tam się może odbywać?

- Nie wiem. Coś.

Wsiadamy do wyziębionego samochodu. Ojciec zapala silnik i wycofuje samochód. Ostrożnie włącza się do ruchu. Za późno zmienia pas i zajeżdża jakiemuś kierowcy drogę. Facet trąbi, ale ojciec jakby nie słyszy. Jego ruchy są powolne, oczy szklane. Zatrzymuje się na czerwonym świetle.

- Czy myślisz, że jeszcze kiedyś zobaczymy Charlotte? - pytam.

- Nie wiem.

Światło się zmienia, ale ojciec nie rusza z miejsca. Stojący za nami samochód znów trąbi.

- Zielone światło - mówię.

Opuszczamy miasto Concord, mój ojciec jedzie jak emeryt, kierując się do naszego odległego domu na skraju lasu. Jest pogrążony w myślach albo oczyma wyobraźni widzi różne sceny, które przeżywa od nowa, może wspomina słowa detektywa Warrena, który powiedział, że człowiek ma potrzebę wracania do miejsc, które go kiedyś poruszyły. Obserwuję drogę, jakbym jechała z kierowcą, który lada chwila zaśnie. Oba pasy są wolne, samochody jadą szybko. Jest wigilia Bożego Narodzenia i każdy się gdzieś spieszy.

Rozdział 19

W drodze z Concord do domu przejeżdżamy przez miasto. Już nie potrzebuję powtarzać ojcu, żeby uważał na światła. Zatrzymuje się przed Remy i mówi, że musi kupić kilka rzeczy z listy babci. Co roku babcia dzwoni przed świętami i mówi ojcu, jakie produkty będą jej potrzebne do przygotowania kolacji wigilijnej. Kiedy przyjeżdża, z miejsca zabiera się do gotowania.

Czekam w samochodzie sześć czy siedem minut - tyle, ile zajmuje ojcu załatwienie sprawunków. Jest chyba najszybszy w robieniu zakupów w całym południowym New Hampshire. Czuję się zapyziała i potrzebuję prysznic. Zębów nie myłam od śniadania poprzedniego dnia. Ale jestem zadowolona, siedząc tak sobie z nogami na desce rozdzielczej i patrząc, jak ludzie uwijają się między Remy, Sweetserem a podziemiem kościoła kongregacjonistów, gdzie co roku przed Bożym Narodzeniem odbywa się kiermasz świąteczny. Nawet mężczyźni drepczą drobnymi kroczkami po śliskich chodnikach, wyciągając ręce dla złapania równowagi. Widzę panią Kelly, matkę mojego kolegi Rogera, jak idzie na pocztę. Na widok pani Trisk, mojej nauczycielki hiszpańskiego, zdejmuję nogi z deski rozdzielczej. Ojciec wychodzi z Remy, z papierową torbą w ręku, z której wystaje, o dziwo, gazeta. Kładzie zakupy na siedzeniu między nami i rzuca mi ciastko czekoladowe.

Rankami wypieka je siostra Muriel i zwykle około dziesiątej już ich nie ma. Ojciec odwija drugie ciastko dla siebie i - zatapiając w nim zęby - wycofuje samochód, po czym włącza się do ruchu.

- Czy możemy odwiedzić Charlotte w więzieniu? - pytam, zlizując krem, który wycisnęłam z ciastka i który wyłazi bokami.

- Będziemy próbowali.

- Czy mogę jej zanieść ten naszyjnik?

- Nie znam przepisów.

Mijamy trzy szacowne budynki, „Serenity Carpets” i straż pożarną.

- Są dwie zasady, których nie wolno ci nigdy złamać. Zastygam w bezruchu, z językiem przylepionym, jakby przymarzniętym, do ciastka.

- Nigdy nie uprawiaj seksu bez zabezpieczenia - ojciec robi pauzę, żeby sens tych słów do mnie dotarł. - I nigdy, ale to nigdy nie wsiadaj do samochodu, którego kierowca, również gdy jesteś nim ty, pił alkohol.

Te zasady ojciec wygłasza poważnym ojcowskim tonem. Jestem pewna, że słowo „seks” nigdy do tej pory między nami nie padło.

Chowam język. Skąd się to ojcu wzięło? - zastanawiam się. I... tak, wiem: wygłosił to przemówienie niecałe trzy godziny po moim wyznaniu, że dostałam miesiączki; to nie mógł być przypadek.

W przyszłości, pośród zgiełku życia, miałam zawsze pamiętać o tych dwóch zasadach.

Ojciec patrzy prosto przed siebie, jakby nic nie powiedział.

- W porządku - mówię cicho.

Twarz ojca wyraźnie się rozluźnia. Dopiero po minucie odważam się ugryźć następny kęs ciastka. Gdy kończę jeść, wyglądam przez okno i widzę, że ze śniegiem stało się coś dziwnego. Najpierw stopniał, a potem ponownie zamarzył, przyjmując postać drobnych kryształków, mieniących się na każdej powierzchni. Oblizuję palce, a potem nimi klikam.

- Co ty robisz? - pyta ojciec.

- Robię zdjęcia. Dzisiaj cały dzień robię zdjęcia.

- A co fotografujesz?

- Śnieg - odpowiadam - i kształty, jakie przybiera. I to, jak leży na różnych rzeczach. Na przykład na drzewach. Na płotach. I jak się mieni. I jak przypomina diamenty.

Mijamy dom, w którym mieszkają chłopcy. Sanki stoją oparte o frontowy ganek. Zauważam wianek na drzwiach. Wpatruję się w okna. Chyba widzę kominek, a zresztą może tylko mi się tak wydaje. Na podjeździe, z boku domu, uwiązał mały szary samochód. W środku siedzi kobieta i chłopiec, który wygląda na jakieś osiem lat. Przejeżdżając,

słyszemy rżenie silnika i widzimy buksujące koła.

Ojciec zjeżdża na bok i zatrzymuje się. Otwiera drzwi i wysiada. Z rękami w kieszeniach podchodzi do szarego samochodu. Przechyliłam się i odkręcam okno po jego stronie.

- Dzień dobry - mówi.
- Dzień dobry - odpowiada kobieta.
- Może pomóc?
- Cofałam się i utknęłam - jakby się usprawiedliwia.
- Może ja spróbuję - proponuje ojciec.

Kobieta wysiada z samochodu. Ma na sobie zieloną kurtkę z kapturem i dzinsy wetknięte w gumowce, które sięgają prawie do kolan. Spod dzianej granatowej czapki nie widać włosów. Chłopiec też wysiada z samochodu.

Patrzemy, jak ojciec gazuje silnik i jak koła buksują. I znów, i jeszcze raz, a potem wysiada.

- Jest tu może łopata? - pyta.
- Nie chciałabym pana fatygować. - Kobieta mruży oczy przed słońcem.
- To drobiazg.
- No to... dziękuję bardzo. - Robi krok do przodu i wyciąga rękę. - A, przy okazji, jestem Leslie.
- Robert. - Ojciec potrząsa jej ręką. Odwraca się w stronę samochodu i pokazuje na mnie. Jest to znak, że mam wysiąść. - A to moja córka Nicky.

- A to jest Jake. - Kobieta kładzie rękę na ramieniu chłopca. Podchodzę do ojca, w tym czasie kobieta przynosi z garażu łopatę.

Kiedy ojciec bierze łopatę, kobieta uśmiecha się lekko. Ponad ramieniem ojca widzę starszego chłopca, może dziesięcio- czy jedenastoletniego, który wygląda przez okno.

Jake podchodzi do mnie.

- To ty znalazłaś dziecko. - Ma okrągłą twarz z lekko cofniętym podbródkiem. Na górnej wardze zamarzył mu gil i jest kandydatem do stałego aparatu ortodontycznego. Widzę, że ma odgryziony czubek rękawiczki. Kto gryzie nici?

- Mój ojciec i ja - prostuję.

- A dziecko było żywe?
- Nadal jest żywe.
- Dziewczynka? - pyta chłopak.
- Tak.
- I nie miała palca?
- Nie, miała wszystkie palce - wyjaśniam - tylko jeden sobie

odmroziła i musieli jej amputować.

- Kurczę.
- No, trudno.

Zaglądam do wszystkich okien po kolei, odnotowując białe marszczone firanki, tapetę w kwiatki, rolkę srebrnego papieru do pakowania i lampę w kształcie samolotu. Widzę, że w domu jest kominek. Z miejsca, w którym stoję na pryzmie śniegu, mogę zajrzeć do kuchni, gdzie w dalszym ciągu pali się światło. Ktoś zrobił na stole niesamowity bałagan. Są okruchy ciasta, cienka warstwa mąki i pognieciona torebka king arthurów. Na ladzie kuchennej stoi butelka oranżady i obok kubek z torebką herbaty ekspresowej. Na drzwiach, które mogą prowadzić do piwnicy albo do spizarni, widzę wyhaftowanego Świętego Mikołaja.

- Chcesz lepić bałwana? - pyta chłopak.
- Jasne - mówię. - Dlaczego nie?

Jake i ja posuwamy się w przeciwnych kierunkach - ja toczę spód bałwana, on górę. Wygniatamy nieregularne tory na podwórku. Pcham moją monstrualną kulę w stronę nieco skromniejszej Jake'a. Spoglądam na ojca, który odkopuje tylne koła samochodu, od czasu do czasu robiąc krótki odpoczynek dla złapania tchu.

- W porządku - mówię. - Położmy teraz twoją kulę na mojej.

Siłujemy się we dwójkę, żeby tułów bałwana ułożyć na jego podstawie. Szybko toczę małą kulkę na głowę. Wydłubujemy w niej dziurki na oczy.

- Potrzebna nam będzie marchewka. I dwa kamyki.
- Mamo! - wrzeszczy chłopak. - Czy mamy marchewkę?
- Jest w lodówce.

Chłopak rusza do domu, a ja, nieproszona, za nim. Obłupuję buty w przedpokoju, ale Jake biegnie prosto do lodówki, zostawiając po drodze

małe grudki śniegu.

Starszy chłopak, którego widziałam w oknie, i ten młodszy, sześciocząty może siedmioletni, stają w progu kuchni. Starszy chłopak ma na sobie koszulkę Niedźwiedzi; młodszy grube okulary, które sprawiają, że jego oczy robią wrażenie wyłupiastych.

- Mieszkacie na górcie - mówi starszy chłopak. - To ty znalazłaś dziecko, tak?

- Miało odmrożony palec - oznajmia Jake, zamykając szufladkę z warzywami.

- Wiem, głupku - odpowiada starszy.

Kuchnia, pomalowana na żółto, jest mniejsza, niż mi się wydawało. Koło tosterka stoi słoik z galaretką, z którego sterczy nóż. Na podłodze widzę pudełko ciasteczek kakaowych. Na stole panuje nieopisany bałagan; na lodówce stoją dwa talerzyki ciasteczek w plastikowym opakowaniu.

- Potrzebne nam są kamyki - mówi Jake.

- Po co?

- Na oczy.

Starszy chłopak wzrokiem przeszukuje kuchnię. Zatrzymuje spojrzenie na pudełku czekoladek. Zrywa celofan, unosi pokrywkę i ukazuje dwanaście ciemnych okrągłych czekoladek.

Idealne, myślę.

Chłopak puszcza czekoladki obiegiem i bierzemy po jednej. Wyjmuję z pudełka jeszcze dwie i kładę na otwartej dłoni. Chłopcy wkładają kurtki i buty. Starszy z nich bierze dodatkową czapkę i szalik dla bałwana.

- Jak masz na imię? - pytam.

- Jonah - odpowiada. - A on jest Jeremy. - Wskazuje malca w okularach.

Wszyscy są podobni do matki: mają małe zadarte nosy i wystające kości policzkowe, ale tylko Jonah i Jake są brunetami. Jeremy ma włosy prawie białe.

Wykańczamy naszego bałwana. Marchewka i czekoladki nadają mu poczciwy, ale głupkowaty wygląd. Kiedy nie patrzymy, Jonah zjada mu jedno oko. Jake, bliski łez z wściekłości, rzuca w starszego brata

pospiesznie ulepioną kulą ze śniegu. Błyskawicznie staję się uczestniczką walki na śnieżki, chociaż nie bardzo wiem, po czyjej jestem stronie.

- Chłopcy - woła matka zmęczonym głosem, jakby powtarzała to pięćdziesiąt tysięcy razy.

Jonah pada na śnieg i ruchami ramion robi orła. Nie mogę się opanować i też padam na wznak. Śnieg dostaje mi się pod kurtkę i pod koszulę. Uświadamiam sobie, że właśnie dostałam miesiączki, i szybko siadam. Jestem już na to za stara, myślę.

Ojciec ponownie wsiada do samochodu, dodaje gazu i rusza do przodu. Kobieta o imieniu Leslie zdejmuje czapkę. Ciemnoblonde loki rozsypują się na ramiona; grzywka przylepiła się do czoła. Ojciec wysiada z samochodu i coś mówi. Nie słyszę jednak słów. Kobieta wskazuje na dom, a ja się domyślam, że zaprasza go na filiżankę kawy albo gorącej czekolady. Ojciec patrzy na mnie i gestem zaprasza do samochodu. Zakupy - pewnie wyjaśnia kobiecie. - Muszę odebrać matkę z lotniska. Kobieta uśmiecha się i nie mam wątpliwości, że bardzo wylewnie mu dziękuje. Ojciec potrząsa głową. To drobiazg.

- Nicky! - woła na mnie.

- To do zobaczenia - mówią chłopcy.

Wsiadamy z ojcem do samochodu. Mam śnieg w skarpetkach i za paskiem dzinsów. Kobieta macha do nas aż do zakrętu.

- No tak - mówi ojciec.

Podczas gdy ojciec odbiera babcię z lotniska, sortuję ozdoby choinkowe. Mam jednak do dyspozycji tylko zabawki drugiej kategorii. Pudełko z najlepszymi gdzieś przepadło i ani ojciec, ani ja nie wiemy, co się z nim stało. Wśród ozdób, które nam zostały, jest sześć ręcznie malowanych, wyciętych z drewna bałwanków. Od razu można poznać, które malowałam ja, a które mama. Jest też pięć srebrnych kul, oblepionych sztucznymi brylancikami - inny przykład rękodzieła z czasów, kiedy miałam osiem lat. Pamiętam zapach kleju, pamiętam, jak brylanciki spadały na stół i jak jeszcze wiele miesięcy później migotały we włoskach dywanu. Jest też kilkanaście małych czerwonych jabłuszek z drewna, w większości pokrytych pajęczyną drobnych pęknięć od gwałtownych zmian temperatury na strychu. Jest papierowy talerzyk z

przyklepionym do niego złotym makaronem i moim zdjęciem jako sześćioletniej dziewczynki. Mama powiedziała, że to najlepszy prezent, jaki w tamtym roku dostała. Jedne ozdoby mają przyzwoite haczyki, inne nie. Wykonuję więc zaimprovizowane haczyki ze spinaczy do papieru. Z lampek zdejmuję resztki ubiegłorocznych srebrnych sopli i włączam je do gniazdka, żeby sprawdzić, czy działają. Owszem, działają, ale są okropnie splątane. Co roku obiecujemy sobie, że przed schowaniem do pudełka porządnie je zwiniemy, ale nigdy tego nie robimy. Po prostu wrzucamy byle jak.

Po drodze ojciec opowiada babci o znalezieniu dziecka, o detektywie i o Charlotte. Mówi jej też o swojej wizycie na policji i o aresztowaniu dziewczyny. Babcia jest oszołomiona i trochę przerażona. Ojciec musiał jej też powiedzieć, że dostałam miesięczki, bo na powitanie przytula mnie tak jak nigdy, kołysząc lekko w ramionach. Ma białą pergaminową cerę, z plamami na policzkach i czole. Pachnie jak lawendowa szaszetka, którą mi włoży do pończochy. Wydaje mi się, że ma sztuczne zęby, ale nie jestem tego pewna. Lubię się do niej przytulać, ponieważ jej ciało wypełnia wszystkie puste miejsca.

Zanim zdążyła się na dobre rozebrać z płaszcza, zagląda do szafek i do lodówki, żeby sprawdzić, czy ojciec kupił wszystkie produkty potrzebne do wigilijnej kolacji. Słyszę, jak je wymienia pod nosem: cebulka perłowa, gałka muszkatołowa, rosół wołowy. Przywiozła ze sobą swój fartuszek i obieraczkę do kartofli. Obieranie kartofli należy do moich obowiązków, ale nowy przyrząd działa tak wspaniale, że bez przykrości wypełniam powierzone mi zadanie. Cały czas robię to pod słabym strumykiem wody z kranu, co ułatwia obieranie i jednocześnie mycie kartofli. Obok mnie babcia okrawa twardą skórę z rzepy. Ma nóż długości ponad ćwierć metra jakby rodem z filmu grozy. Z całej siły przyciska go oburącz. W chwili zetknięcia się z deską ostrze wydaje charakterystyczny dźwięk. Jestem zaskoczona siłą babci. Z tyłu wygląda jak jedna wielka bryła z małą główką, pełną ciasno zwiniętych siwych loczków. Z boku jest prawie ładna.

- Dostałam miesięczki - mówię.

Babcia odkłada nóż i wyciera ręce w fartuch. Udaje, że jeszcze nie wiedziała. Obejmuje mnie ramionami. Mam w dalszym ciągu w rękach

obieraczkę i kartofel.

- Jak się czujesz? - pyta, trzymając mnie na odległość wyciągniętego ramienia.

- Dobrze. Mam bóleści, ale... nie wiem.

- Masz podpaski? Kiwam głową.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Chyba nie. Unosi mi brodę.

- Gdybyś kiedykolwiek chciała porozmawiać na jakikolwiek temat, to mów. Od dawna nie miałam z tymi sprawami do czynienia, ale to nie znaczy, że nie wiem, co w tej sytuacji robić.

Przytula mnie raz jeszcze, a ja czuję jej niechęć do wypuszczenia mnie z uścisku.

- Babciu - mówię po jakimś czasie.

- Co, kochanie?

- Czy ty wiesz, co to jest pfeffernusse?

Gdy babcia jest zajęta gotowaniem, idziemy z ojcem do lasu wyciąć drzewko. Martwię się, że wyszliśmy za późno - słońce chyli się już ku zachodowi. Mamy setki drzewek do wyboru; problem będzie z odgarnięciem śniegu wokół tego, które wybierzemy, tak żeby można było je ściąć. Oboje mamy łopaty, a ojciec dodatkowo niesie siekierę.

Przez cały czas, kiedy jesteśmy w lesie, żadne z nas się nie odzywa. Cisza w lesie wydaje się czymś całkowicie naturalnym i właściwym, ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero znacznie później. Na nogach mamy rakiety śnieżne, a ja idę po śladach ojca. Niosę łopatę, więc nie mogę zetknąć kciuków z palcami wskazującymi, ale mimo to cały czas pstrykam zdjęcia. Różowego śniegu, wpełzającego na pień drzewa. Czubków sosen, rdzawych i jakby płonących. Delikatnych strzałkowatych śladów na śniegu, rozsypanych wokół krzewu. Ojciec zatrzymuje się i potrząsa gałązkami czegoś, co przypomina spiczasty krzak. Następnie zaczyna zgarniać śnieg z dolnych gałęzi. Tam gdzie śnieg jest ubity, używamy łopat. Oczyszczenie sporego kręgu ziemi wokół pnia nie zabiera nam zbyt wiele czasu. Ojciec nachyla się i kilkakrotnie uderza siekierą. Drzewko pada, a my odciągamy je i kładziemy obok. Jest dość rzadkie i świeci łysinami, ale jakoś musi nam wystarczyć. Ojciec chwyta za grubszy koniec, ja za cieńszy i ruszamy do

domu.

Choinka okazuje się za wysoka, więc trzeba ją wynieść na zewnątrz i odpiłować około piętnastu centymetrów. Po oprawieniu w stojak cofam się o kilka kroków i widzę, że jest krzywa. Przez chwilę próbujemy ją wyprostować, aż w końcu ojciec decyduje się przywiązać ją do klamki, żeby się nie przewróciła na pokój, następnie zawiesza na niej światełka, gdy tymczasem ja układam ozdoby na stole.

W tym roku jestem już dostatecznie wysoka, żeby dosięgnąć najwyższych gałęzi. Rozmieszczam zabawki równomiernie, starając się zachowywać jednakowe odstępki. Ojciec zostawia mnie z tą robotą, a sam idzie na górę wziąć prysznic. Nasza choinka jest ubrana w kolorowe światełka, takie same, jakie tata miał w dzieciństwie. W ubiegłym roku drzewko Jo było przystrojone w małe białe lampki ze srebrnymi kuleczkami i czerwonymi wstążeczkami, jak na okładce pisma ilustrowanego.

Gdy kończę ubierać drzewko, cofam się parę kroków i oceniam swoje dzieło. Odbija się w trzech ciemnych oknach. Wołam babcię, żeby podziwiała drzewko razem ze mną. Siadam w skórzanym fotelu ojca i zastanawiam się, czy przewiesić talerzyk z makaronem, żeby zasłonić łyse miejsce, kiedy nagle przypomina mi się Charlotte. W więzieniu. W wigilię Bożego Narodzenia. Chowam twarz w dłoniach. Charlotte siedzi w celi. Jej rodzice z pewnością już do tej pory dowiedzieli się o dziecku. Niewykluczone, że będzie długo siedziała.

Odchylam głowę do tyłu i patrzę w sufit. Wiem, że Charlotte już na zawsze ze mną zostanie, że będę o niej myślała dzień w dzień. Dołączę do niewielkiego grona postaci, z którymi często rozmawiam, których życie śledzę w wyobraźni.

W moim scenariuszu są cztery takie osoby: mama, ale w tym wieku, w którym zginęła, udzielająca mi rad, jak mam postępować z ojcem; Clara, która ma trzy lata i dostaje na Gwiazdkę szmacianą Lale Kapuścianą; Charlotte, która mnie będzie czesała, kupowała ze mną ubrania i zastąpi mi przyjaciółkę, no i Mała Doris, która może właśnie w tej chwili dostaje butelkę. Albo śpi.

Siedzę tak przez kilka minut. Postanawiam ułożyć prezenty pod choinką. Nie ma ich wiele, ale na kilku widzę swoje imię. Rano podaruję

ojcu rękawiczki, które mu zrobiłam, a babci naszyjnik z wisiorkiem. Babcia narobi dużo szumu i będzie wykrzykiwała, że jest piękny, ale jestem przekonana, że po wyjeździe od nas nie włoży go ani razu.

Babcia prosi mnie, żebym nakryła do stołu, który w dalszym ciągu w połowie wystaje z kuchni. Robię to najuroczyściej, jak tylko umiem, pośrodku ustawiając na pół wypalone świece. Zastanawiam się, czy nie mamy w domu czegoś, co mogłoby pełnić funkcję obrączek do serwetek, kiedy nagle widzę na podjeździe światła. Samochód zatrzymuje się, światła gasną.

Ojciec, który siedzi w pokoju wypoczynkowym, rozkoszując się tym, że nie musi gotować, zdejmuje okulary do czytania.

- Zostańcie tutaj - zwraca się do nas.

Babcia staje koło mnie. Słyszemy odgłos zamykania drzwi samochodu, a kilka sekund później męski głos.

Do domu wchodzi detektyw Warren.

No tak, stało się, myślę.

Martwię się o babcię, o kolację, którą przygotowała. O prezenty pod choinką. Kto je będzie rozpakowywał?

- Wiem, że przyszedłem nie w porę - mówi Warren.

- Proszę, niech pan wejdzie - zaprasza go ojciec, zamykając za nim drzwi. Granatowy płaszcz detektywa jest rozpięty, szalik zwisa luźno. Jestem przyzwyczajona do jego twarzy, ale zastanawiam się, jakie wrażenie zrobią na babci chropowate blizny i obwisła skóra.

- Nicky - mówi Warren.

- Cześć.

- To jest moja matka - przedstawia babcię ojciec.

- Dzień dobry. Jestem George Warren. Żaden tam detektyw. Żadna policja stanowa.

Babcia, która trzyma obie ręce na moich ramionach, ledwie zdobywa się na skinienie głową. Gdyby Warren chciał mnie aresztować, musiałby mnie wyrwać z jej uchwytu.

- O, widzę, że zaraz siadacie do stołu, co za wspaniałe zapachy.

- Czym mogę służyć? - pyta ojciec.

- Wiem, że pora jest wyjątkowo nieodpowiednia - sumituje się - ale uważam, że jest coś, co pan powinien zobaczyć.

- Gdzie?
- Niedaleko stąd.
- Czy ta sprawa nie może poczekać? - pyta ojciec.
- Uważam, że powinien pan to zobaczyć teraz.

Widzę wymianę spojrzeń między ojcem a detektywem - coś w rodzaju rozejmu?

- Ile czasu nam to zajmie? - pyta ojciec.
- Pół godziny? Czterdzieści minut?

Babcia zwalnia mnie ze swego uchwytu i zdejmuję fartuch przez głowę.

- Nie przejmuj się kolacją - mówi do ojca. - Tak czy owak, muszę iść na górę i rozpakować się. - Zwija fartuch i kładzie na krześle.

Ojciec zdejmuje kurtkę z wieszaka.

- Myślę, że Nicky powinna jechać z nami - mówi Warren.

Ojciec zajmuje miejsce pasażera; ja siadam z tyłu. Warren zawraca i zjeżdża w dół. W kieszeni przy tylnym siedzeniu widzę snickersa.

- Zjawił się brat Charlotte Thiel i wpłacił za nią kaucję - mówi Warren. Dżip podskakuje na koleinach. - Problem polega na tym, że nie wolno jej opuszczać granic stanu. Na razie zatrzyma się u jakiejś ciotki.

- Do sprawy - dodaje ojciec.

- Albo dopóki nie przyzna się do winy.

- A jaki może dostać wyrok? - pyta ojciec. Warren skręca w stronę drogi prowadzącej do miasta.

- To zależy od Jamesa Lamonta, czy będzie chciał jej pomóc, czy nie. I od jego adwokata. Może trzy lata? W najgorszym razie wyjdzie po piętnastu miesiącach.

- A Lamont? Gdzie on jest?

- Rodzice pojechali po niego do Szwajcarii. A co do niego... to sprawa wygląda poważnie. Dziesięć, może dwanaście lat. Mógłby wyjść po sześciu. Ławie przysięgłych nie spodoba się, że uciekł z kraju. A o kaucji nie ma mowy.

- Czy Charlotte ma adwokata? - pyta ojciec.

- Zajmuje się tym jej brat.

Zastanawiam się, jak wygląda brat Charlotte. Jak wyglądało ich pierwsze spotkanie. Czy padli sobie w ramiona, jak to bywa w chwili

kryzysu rodzinnego? Czy był oburzony? Wściekły? Oniemiały?

- Gdzie mieszka ta ciotka? - pyta ojciec.
- W Manchester - mówi Warren. - Mogę się postarać o adres.
- Będę wdzięczny. Dzięki ci, tato.

Poślę Charlotte naszyjnik - decyduję. - Powiem jej, że jak tylko od nas wyjechała, dostałam miesięczki. Po wyjściu z więzienia na pewno się do mnie odezwie.

Wyjeżdżamy z Shepherd i jedziemy szosą 89. Drogi są całkowicie opustoszałe. Po upływie jakichś dwudziestu minut Warren zwalnia i skręca w prawo. Znajdujemy się w miasteczku, które wygląda dziwnie znajomo - może to jedno z tych, o które zawadziliśmy w czasie naszych letnich wycieczek po okolicy.

Mijamy miasteczko kompletnie nieoświetlone, jeśli nie liczyć stacji Shella na rogu. Latarnie uliczne wzdłuż kilku przecznic są ozdobione wieńcami. Zastanawiam się, która może być godzina: Piąta? Szósta? Warren skręca w lewo, potem w prawo i jedzie pod górę. Zaglądam w okna domów. Mijamy budynek z wielką liczbą zaparkowanych przed nim samochodów. Przez okna widzę mężczyzn w marynarkach i panie w sukniach, trzymających drinki. Przyjęcie. Przyjęcie... jakby to było fajnie - myślę.

Warren zerka na kartkę z adresem, po czym znów skręca. Jedziemy ulicą z rzędami jednopiętrowych domów. Niektóre mają światła na drzwiach; inne wzdłuż linii dachów i w oknach. Jeden z domów jest całkowicie nieoświetlony, z wyjątkiem gołej niebieskiej żarówki w każdym oknie. Wywołuje to jakiś niezmiernie zimny nastrój. Droga jest odśnieżona, ale w dalszym ciągu biała. Po obu jej stronach wznoszą się wysokie zasy. Liczę choinki.

Warren przygląda się numerom na domach. Zwalnia i podjeżdża do krawężnika na rogu. Odkręca okno i przygląda się domowi.

- To powinno być tutaj - mówi.

Jest to piętrowy dom ze spadzistym dachem i pokojem wystającym po stronie, od której podjechaliśmy. Pokój ma wiele okien i przypomina ganek. Właściciele z pewnością przeznaczili ganek na jadalnię, bo wokół dużego owalnego stołu siedzi spora grupa osób.

Otwieram okno i do samochodu wpada zimne powietrze.

- Jakąś godzinę temu dostałem adres - mówi Warren - i chciałem zobaczyć to miejsce. Wygląda, że mieliśmy szczęście.

Stół jest dobrze oświetlony przez wiszący nad nim żyrandol. Widzę indyka, czerwone kwiaty, białe miseczki z jedzeniem. Liczę uczestników kolacji i wychodzi mi sześćoro dzieci i mniej więcej tyle samo dorosłych osób. W jednym końcu stołu siedzi stara kobieta, a naprzeciwko niej mężczyzna. Jakiś chłopiec sięga po dzbanek. Jakaś kobieta przechadza się tam i z powrotem pod szerokim łukiem między jadalnią a resztą domu. Na rękach trzyma przytulone do ramienia niemowlę.

Błyskawicznie zerkam na ojca.

Dziecko jest zawinięte w biały kocyk, z którego wygląda tylko mała twarzączka i sterczące czarne włoski. Kobieta chodzi, lekko poskakując, jakby chciała uspić małeństwo albo sprowokować je do odbeknięcia. Śmieje się i mówi coś do siedzącego przy stole mężczyzny. Główna niemowlaka podskakuje, twarzączka chowa się na ramieniu kobiety, która niemal machinalnie całuje czubek ciemnego łebka.

- To jest rodzina zastępcza - oznajmia Warren. - Dziecko prawie na pewno pójdzie do adopcji. Białe dziecko. Niemowlę. Ale to jest bardzo dobre miejsce dla niego, przynajmniej na razie. Nie wszystkie rodziny są takie dobre jak ta. Potem już nie będę znał miejsca pobytu małej. Dlatego chciałem, żebyście ją teraz zobaczyli.

Ojciec siedzi nieruchomo, jakby patrzył na kulminacyjną scenę filmową, która zapiera dech. Wiem, że myśli o Clarze i że gdzieś tam w środku odczuwa wielki ból. Ale scena, którą oglądamy, ma także właściwości kojące, jest czymś w rodzaju westchnienia ulgi. Przez oświetlone okno obserwujemy Małą Doris, której prawdziwego imienia nigdy nie poznamy.

Po jakimś czasie ojciec się odwraca.

- Gotowa? - pyta.

Usiłuję coś powiedzieć. Potrząsam głową. Na skinienie ojca Warren wrzuca bieg.